

PODGLĄD



Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
ISSN 2392-2753
Rok III • Nr 1 (8)
2017

J. Andrzejczak	K. Lenkowska
A. Bańkowska	A. Lizakowski
Z. Bieszczńska	G. Łatuszyński
K. Beśka	J. Marciniak
K. Bielecki	J. Moskwa
J. Binkowski	P. Müldner-Nieckowski
T. Bołdak-Janowska	A. Nasiłowska
J.L. Borges	M. Olbromski
K. Boruń-Jagodzińska	W. Oramus
W. Boyd	J. Pankiewicz
S. Chwin	J. Papużyńska
W. Chmielewski	M. Pawlikowska-Jasnorzewska
J. Dassin	N. Payne
J. Drzeżdżon	A. Patey-Grabowska
P. Dunin-Wąsowicz	J.K. Piasecki
K. Dybcia	M.K. Piekarska i M. Piekarski
W. Faulkner	A. Pieńkowski
D. Gałęcka-Krajewska	K. Rodowska
J.W. Goethe	B. Rosiek
W. Golding	K. Rudziński
G. Gortat	K.S. Schreyer
J.P. Grabowski	J. Sendłak
R. Grzybowska	J. Sikora
J. Jagiełło	A. Sobol-Jurczykowski
K. Januszewska	A. Stabro
M. Jentys-Borełowska	M. Strękowska-Zaremba
B. Jovanović Kastel	K. Sutarski
K. Kalinowska	J. Śleszyński
E. Kasjanowicz	K. Świegocki
A.T. Kijowski	G. Walczak
J.A. Kobierski	P. Wojciechowski
G. Kurylewicz	E. Woźniak
K. Lars	K. Wójcik
J. Lechoń	Z. Zbikowski



Krystyna Rodowska



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753
Rok II Nr 1 (8) 2017

Adres Redakcji
<http://podglad.com.pl>
e-mail: redakcja@podglad.com.pl
00-079 Warszawa
ul. Krakowskie Przedmieście 87/89
tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89
Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna
Małgorzata Karolina Piekarska
Prezes OW SPP
Zastępca redaktora naczelnego
Piotr Müldner-Nieckowski
(*poezja, dramat*)
Sekretarz redakcji
Katarzyna Boruń-Jagodzińska
Kolegium
Grzegorz Łatuszyński (*esej, krytyka*)
Maciej Parowski (*proza, esej*)
Małgorzata Strękowska-Zaremba (*proza*)
Wydawca
Zarząd Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
Korekta Małgorzata Strękowska-Zaremba
Skład Piotr Müldner-Nieckowski
Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii
05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Czekając na wiosnę3

Jan Lechoń

Herostrates4

Krystyna Kalinowska

i Jacek Moskwa laureatami nagrody

„In Arte Libertas” 20

WIERSE NA GWIAZDKĘ

Joanna Jagiełło

Na granicy.6

Eugeniusz Kasjanowicz

Kolęda dla zesłanych, Wigilia7

Antoni Pieńkowski

Wigilia, Prośba.8

Piotr Wojciechowski

Wszystko inne,
Kolęda za drzwiami 201610

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Gwiazdka nieregularna
choć stała się święto 12

Krystyna Lenkowska

Kolęda Trójka14

Grzegorz Gortat

Wysokie rejestry i niskie loty...16

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Zachcianka17

Krzysztof Saturnin Schreyer

Gwiazdy.18

Zbigniew Zbikowski

W pyle Witkacego19

DLA DZIECI – MŁODZIEŻY

Zofia Beszczyńska

Wiersze o ptakach, Zielony Konik ..21

Alicja Patey-Grabowska

Wiersze 28

ESEJ – TRAKTAT – FELIETON

Grzegorz Łatuszyński

Jak się rodziły Czarnogórskie
klimaty? 30

Kazimierz Świądecki

Traktat o ciszy 34

KRYTYKA

Paweł Dunin-Wąsowicz	
Żoliborski przewodnik literacki ...	36
Maria Jentys-Borełowska	
„Pergamonia” – pieśń wyzwolenia ..	41
Grzegorz Łatuszyński	
W ciszy i skupieniu	48
Piotr Müldner-Nieckowski	
K. Boruń-Jagodzińska, S. Chwin, D. Gałęcka-Krajewska, K. Lars, A. Nasiłowska, M. K. Piekarska ...	52
Jerzy Sikora	
Dybciak o krytyce i eseju	64
Agnieszka Stabro	
Duch w salonie	67
Katarzyna Wójcik	
Warszawski mit o Orfeuszu	72

POEZJA

Jerzy Binkowski	
Alfons Jerzy Popiełuszko...	75
Jan P. Grabowski	
Poranne światła na niebie, Łącząca ich więź...	76
Joanna Jagiełło	
***	78
Eugeniusz Kasjanowicz	
Aleksandria, Ty i ona.	79
Andrzej Tadeusz Kijowski	
Elegia dla Marka Rosiaka	81
ks. Janusz Adam Kobierski	
Impresje włoskie	83
Gabriela Kurylewicz	
Tren na odejście kultury, Oda do kwiatów i lasu, ***, Nie możemy zginąć	84
Adam Lizakowski	
Lwów, Łyczakowska 55, Kaplica Boimów	87
Jerzy Marciniak	
Ostatnia Noc	90
Mariusz Olbromski	
Plejady, Strofy listopadowe, Tiutiubejki	92

Joanna Papużyńska	
Perz, ***, ***, ***	94
Alicja Patey-Grabowska	
Chwila, Jestem	96
Krystyna Rodowska	
Bezsensowność, Jest się czymś więcej, OM, Kocie Memento, Ze snów o wolności	98
Barbara Rosiek	
***, ***, ***	101
Krzysztof Rudziński	
Oda do Księgi Życia Jana Pawła II, Wciąż dziękować	103
Piotr Müldner-Nieckowski	
* * *	105
Jerzy Śleszyński	
Skąd, Głosowanie.	106
Małgorzata Strękowska-Zaremba	
Beztroski dar, Wróżba, Pole widzenia, Spowiedź.	108
Konrad Sutarski	
Wezwanie o zmierzchu o świecie, Wiara	110

PROZA

Janusz Andrzejczak	
Szaaa... ..	112
Krzysztof Beška	
Konstelacja zbrodni	116
Krzysztof Bielecki	
Nóż	125
Tamara Bołdak-Janowska	
Krótką rozmowę... ..	130
Wojciech Chmielewski	
Trapista	135
Krystyna Januszewska	
Długa droga, Od autorki.	140
Jacek Moskwa	
Węgierska siostrzyczka	148
Wiesława Oramus	
Praca szefa.	162
Jacek Pankiewicz	
Doniesienia z ostatniego dnia	166

dok. na str. 224

Małgorzata Karolina Piekarska

Czekając na wiosnę

Usłyszałam jakiś czas temu opinię, że „Podgląd” to taka zbieranina tekstów, z których wynika, że pismo nie ma żadnej linii programowej. Cóż... Stowarzyszenie Pisarzy Polskich zrzesza w swoich szeregach różnych twórców piszących różne utwory dla różnych odbiorców, a to właśnie powoduje tę różnorodność. Dlatego ta nasza lina programowa to po prostu prezentowanie twórczości członków.

Tym razem numer jest grubszy od poprzedniego. Dość obszerny jest dział „z życia OW SPP” co wynika m.in. z faktu, że znalazły się w nim wiersze poświęcone „Gwiazdce”, które nasi członkowie napisali na opłatkowe spotkanie. To taka literacka zabawa, którą dzielimy się z czytelnikami. Zapewne w jednym z kolejnych numerów znajdą się wiersze ze spotkania wielkanocnego zwanego potocznie „jajeczkiem”, które też planujemy i zapewne też nie będzie wolne od wierszowanej zabawy. Takie spotkania bardzo integrują środowisko. Rozmawiamy, a co za tym idzie dobrze się poznajemy. Ich plon pozwala lepiej zaprezentować się czytelnikom.

„Podgląd” wychodzi już trzeci rok. Myślę, że przez ten czas nasi czytelnicy poznali nas choć trochę, są bowiem autorzy, którzy swoją twórczość publikują niemal w każdym numerze. Bywają jednak tacy, którzy dzielą się nią rzadko na naszych łamach. Dlatego gorąco polecam tłumaczenie sztuki autorstwa Elżbiety Woźniak, której niejeden przekład zawojował polskie sceny teatralne. Polecam też fragmenty nowej książki Pawła Dunin-Wąsowicza, który tworzy kolejny przewodnik literacki. Po raz pierwszy też prezentujemy fragmenty twórczości naszych nowych koleżanek Joanny Sendłak oraz Joanny Jagiełło.

Myślę, że zanim przeczytamy od deski do deski to nadejdzie wiosna, którą tym numerem staramy się przywołać. A z rozmów wiem, że wszyscy na nią czekamy. Może niektórzy trochę inaczej niż Jan Lechoń w swoim słynnym wierszu „Herostrates”, a może tak samo?

Jan Lechoń

Herostrates

Czyli to będzie w Sofii, czy też w Waszyngtonie.
Od egipskich piramid do śniegów Tobolska
Na tysiączne się wiorsty rozsiadła nam Polska,
Papuga wszystkich ludów – w cierniowej koronie.

Kaleka, jak beznodzy żołnierze szpitalni,
Co będą ze łąz wieczną chodzili po świecie,
Taka wyszła nam Polska z urzędu w powiecie
I taka się powlokła do robót – w kopalni.

Dziewczyna, na matczyne niepomna przestrogi,
Nieprawny dóbr sukcesor, oranych przez dzieci,
Robaczek świętojański, co w nocy zaświeci,
Wspomnieniem dawnych bogactw żyjący ubogi.

A dzisiaj mi się w zimnym powiewie jesieni,
W szeleście rdzawych liści, lecących z kasztanów,
Wydała kościotrupem spod wszystkich kurhanów,
Co czeka trwożny chwili, gdy ciało odmieni.

O! zwalcieź mi Łazienki królewskie w Warszawie,
Bezduśne, zimnym rylcem drapane marmury,
Pokruszcie na kawałki gipsowe figury
A Ceres kłosoñołą utopcie mi w stawie.

Czy widzisz te kolumny na wyspie w teatrze,
Co widok mi zamknęły daleki na ścieżaj?
Ja tobie rozkazuję! W te słupy uderzaj
I bij w nie, aż rozkruszysz, aż ślad się ich zatrze.

Jeżeli gdzieś na Starym pokaże się Mieście
I utkwi w was Kiliński swe oczy zielone,
Zabijcie go! – A trupa zawleczcie na stronę
I tylko wieść mi o tym radosną przynieście.

Ja nie chcę nic innego, niech jeno mi płacze
Jesiennych wiatrów gędźba w półnagich badyłach;
A latem niech się słońce przegląda w motylach,
A wiosną – niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczę.

Bo w nocy spać nie mogę i we dnie się trudzę
Myślami, co mi w serce wrastają zwątpieniem,
I chciałbym raz zobaczyć, gdy przeszłość wyżeniem,
Czy wszystko w pył rozkruszę, czy... Polskę obudzę.

1920

WIERSZY NA GWIAZDKĘ

Członkowie Oddziału Warszawskiego SPP zbierają się przed Bożym Narodzeniem, żeby się zobaczyć i życzyć sobie nawzajem wiele dobrego. Towarzyszą temu wspólnie czytane wiersze, napisane specjalnie na tę okazję albo i bez okazji, a ku zamyśleniu, pokrzepieniu, radości – w związku ze sławnymi urodzinami. Oto garść utworów z Wigilii 2016.

Joanna Jagiełło

Na granicy

Uformowała kulę
Zaokrągliła troskliwie
Głaszcze suchymi palcami
Tu brakuje nawet pasty do zębów
Nie mówiąc o oliwce

Wypuszcza ją w niebo
Małe drobiny światła odbijają się
w ostrych kątach poczekalni

A ona błaga wznosząc do góry ręce
Może jeśli nie przyjmiecie mnie
To choćby ten brzuch?
Patrzcie jaki piękny i jasny!
Jest posłuszny, mało wymaga
Mówi każdym językiem
Nie nosi karabinu ani bomb

Ale dziś nie wigilia
Gwiazda betlejemka
Spada w mrok

Eugeniusz Kasjanowicz

Kolęda dla zesłanych

Powracajcie w progi domu
niech Gwiazda was prowadzi
tułacze wieczni koczownicy
w serca bogaci a nadzy

niech przyodzieje was chaty strzecha
ogaci wasze zziębnięte ciała
co dzień kamieniem się łamiecie
dzisiaj przyjmijcie okruszek biały

niech wam zapachnie rodzinne siano
niech się zagoją blizny
miejsce na was zawsze czekało
w sercach otwartych ojcowizny

i wy co w obłokach się łamiecie
bo obca ziemia was już zmogła
nad swoim gniazdem przystaniecie
i łzy zamarznięte zastukają w okna

Wigilia

Spójrz już wieczór się zbliża
nasze spory waśnie i rany
pierwsza Gwiazda opatrzy
i kolęda wspólnie śpiewana

dzielimy się opłatkiem
w którym żyje dobre słowo
z nadzieją świeczki na choince
rozbłyły światłem dzisiaj znowu

pod próg przychodzi zimy wojowanie
a serca ciepłe jak narodzin smak
siedzimy przy stole który pachnie sianem
i spada gwiazdka śniegu na twarz

Eugeniusz Kasjanowicz

Antoni Pieńkowski

Wigilia

Mróz szczypie. Zając trop swój zgubił.
Starą jabłoń mróz w nocy roztrzaskał na dwoje.
Czas konie w chrzęszczącą uprząż ubrać
I dzwonki przytroczyć miedziane nowe.

Zapiąć kozuch świeżą owcą pachnący.
Opatulić ramiona żony, dorastających dzieci.
Szarpnąć za lejce. Ogarnąć oczami zimowy widnokrąg.
Przyprószony śniegiem wczorajszej zamieci.

Podkowy brzęczą. Poskrzypują płozy.
Puste zaśnieżone pola. Do nieba rwie się dusza.
Kuropatwy ślad drobi tuż za drogą.
Jego śladem bezpański pies na łowy wyrusza.

Powracamy o zmroku. Kościółki migają po drodze.
Cisza aż echem się odbija, w uszach dzwoni.
Mróz tężeje. Lodową taflę wyrzeźbił
Na parujących zadach gniadych koni.

Wiatr do tańca prosi topole.
Mróz tężeje. Trzeba mocno rozcierać zziębnięte dłonie.
Czas siano pod obrus położyć. Siadać do wigilijnej wieczerzy
Bo już pierwsza gwiazdka rozbłysła na nieboskłonie.

Prośba

Przyjdź do nas gwiazdko z rozgwieżdżonego nieba,
Bo tutaj co niektórych trochę udobruchać trzeba.

Jesteś tutaj gwiazdko potrzebna w tej ziemskiej otchłani,
Aby serca z żelaza płomieniem miłości rozpalić.

Aby przerwać pasmo dni w nienawiści i wiecznej udręce,
Aby zbliżyły się do siebie rozgniewane ręce.

A kiedy tutaj gwiazdeczko zagościsz na pobyt stały
Każdego dnia będziemy na twoją cześć wiwatowali.

Przyjdź tutaj, jak najrychlej gwiazdko z zachmurzonego nieba,
Bo tutaj, co niektórych trochę udobruchać trzeba.

Piotr Wojciechowski

Wszystko inne

Wiersz na rok 2017

Zmierzysz, sprawdzisz, policzysz
Nie wymkniesz się tajemnicy
Na ścianie jak twarde milczenie
jej profil ledwie jest cieniem
I żadnej rysy ni szpary
Już nie licz na wagary.
Za sceną za kulisami
Jej szeptu nie słyszysz wcale
Bawi się włosów pasmami
Twoje życie nawija na palec.
Ty zapisałeś się w porę
I miałeś na koncie co roku.
Ktoś kopnął zwrotnicę i torem
Już innym toczysz się w mroku
Objęły cię ręce mocne
Na karku gorący oddech.
Nie opłacisz żadnym przelewem
Gdy los ci mówi nic nie wiem.
Nie kupiłeś w dogodnych ratach
Tego wiatru co wiosny ma zapach
Tej wichury co ma ciemność na imię
Domek z kart ci na lodzie rozsypie
Po co tęsknić za labiryntem –
Jest jak chciałeś. A wszystko inne.

Kolęda za drzwiami 2016

Czarną wodą z jezior na niebie
Anioły płyną do snu
Choinka nie widzi siebie.
W mieszkaniu zamkniętym na klucz

Wycięty z tekturki lichej
Malowany kredką do ust
Jezus do szopki przyszedł
W mieszkaniu zamkniętym na klucz

Na drzwiach smugami kredy
Jakiś rok, nie odczytasz, bo kurz
Swoich imion nie znajdą mędracy
Na mieszkaniu zamkniętym na klucz

Trzeba było wyjechać
Na rozdroża pomyłek stu
Została moc i pociecha
W mieszkaniu zamkniętym na klucz

Na autostradzie w ekspresie
W niepogodach zbłąkanych dróg
Kolęda się płaczem zaniesie
Z mieszkania zamkniętego na klucz

W ekspresie na skrzyżowaniach
Światła kłują bez gwiazdy już
Mędrcom ciemność powrócić zabrania
Do ich mieszkań zamkniętych na klucz

W ekspresie na autostradzie
Sięgnij w kieszeń żelazo i chłód
Klucz ci drogę wskaże i znajdzie
Do mieszkania zamkniętego na klucz

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Gwiazdka nieregularna chociaż stałe święto

Noc tak długa
i nagle jak zwykle ;)
zapadła.
A myśmy się zapadli
w otchłanie i w siebie.
Pograżając w ten zwykły,
kolejny z wieczorów.

Gwiazdka jak główka gwoździa
wystawała z nieba.
Pośród zawiei rojów tych innych na niebie,
karuzeli Zwierzyńca,
dostojnych, statecznych, zimnych gwiazdozbiorów.

Zuchwała, nadmiernie ruchliwa
ciągnęła za sobą
bicz zamglony czy pęk różeg włókła
wcale nie wesoły –
zahaczyć mógł anioła, rozedrzeć mu pióra.
Nad miasteczkiem nie bardzo podłym
zawracała głowy
by pokręcić się krzyne, pokazać się ludziom,
bo okolica nudna a noc tak ponura.

Zdradliwa czy prorocza swym rogiem jak palcem
wskazała nam Dziecinę przy piersi matczynej.
Zakręciła się krótko nad uśpionym rynkiem,
jak za sznurek ciągniona w orszaku herodów,
by uciszyć, zabawić rozkrzyczane dziecko
i pobiegła dalej własną mleczną drogą.

Gwiazda pokazywała, gdzie jest czyje miejsce,
to mrugając, to gasnąc, raz duża, raz mała.
I tym trzem, co myśleli, że zjedli rozumy,
komu, co i dlaczego, i jak, po co, kogo.
Oczy szerzej otwórzcie, gdy wysoko nosy.
Dużo można zrozumieć, choć może nie wszystko.
Co na dole, to i wyżej znajdziecie,
jak w lustrze.
Odbite w każdej kropli rosy,
co upada nisko.

Niebiosa z góry, jak chcieliście,
tak zrzuciły dziecię.
I spytacie czy dobrze ma się
noc tak długa nad światem?
Ku końcom się miała.
Ku końcowi się ma.
A gwiazdka nic nie mówi, ale jeszcze mruga.

Krystyna Lenkowska

Kolęda Trójka

I

Jeden Jezus gipsowy, krasny, kolorowy
W koronie z czułkami jak motyl z Macondo.

Mama czarnobrewa dzieciátku śpiewa
A Józef pod wąsem jak macho wygląda.

Czterech Trzech Króli prosto z targu w Morelli
Dźwiga mirrę, złoto, kadzidło.

Latynoscy pasterze oddają pokłon w ofierze
A święte wytchnienie – ich trzoda i bydło.

Ref.

Na przybycie syna chleb się zaczyna i szopki wyciąga z pudełka
Na przybycie syna drzewko się zaklina
Cuda, cuda, cudenka.

II

W żłóbku z rattanu, Jezusik z hebanu
Podłużny, przystojny, czarny i gorący.

Czarni rodzice, czarni pasterze, czarni królowie i czarne zwierzę
Pod naszym plafonem stoją jak w słońcu.

Ref. ...

III

Trzecie dzieciátko, miękkie zawiniátko
Patyczki, słoma, materii kapeczka.

Rączki i nóżki małe ma i białe,
Na poduszce z siana świeci mu główeczka.

A my się radujemy i się dziwujemy,
Że leży od wieków taki cichuśki.

Jakby nie chodził po światach, nie konał w kazamatach,
Był tutaj z nami wiecznie maluśki.

Ref. ...

Muzyka: Marek Michalak

Grzegorz Gortat

Wysokie rejestry i niskie loty, albo krótki żywot niedoszej gwiazdy

O, gwiazdo najgwiaździsta! Celebrycka panno,
co po niebie się wspinasz słów lotnych fontanną.
Z mroków nocy świat dobywasz wszędobylskim okiem,
grotem sławy osadzona na stolcu wysokiem,
a jednak...

Hm?

W
y
s
o
k
i
e
m....?

Wy... wy...wy... wyso...kiem...?

Tu autor pobladał.
Nie znalazłszy obiektu
już rymem nie władał.
I myśl przyszła spóźniona
jak po grillu musztarda:
że to nie gwiazda była,
lecz chińska petarda.



Małgorzata Strękowska-Zaremba

Zachcianka

Przez dziury w niebie
aniołowie odpinają guziki gwiazdom,
by je uczłowieczyć.

Nagła wolność nie zostawia czasu do namysłu,
więc spadają twarzą w dół,
na oślep dopadają ziemi – raju dla upadłych.

A to nie raj, gwiazdeczko, to nie raj,
to tylko ktoś w nocnej ciszy pomyślał życzenie,
abyś spadła.

Krzysztof Saturnin Schreyer

Gwiazdy

Świat jest jak welon wróżki zdobiony gwiazdami.
Nie o tych gwiazdach myślę, co błyszczą nad nami,
lecz o tych, co ozdobie służą lub znaczeniu,
na nalepce na winie, żołnierza ramieniu,
święteczne na balkonach w mojej kamienicy
i wielkie na frontonie ratusza w dzielnicy.
Są w diademach na balu, na drzewach, na szczytach...
Gdy kwiat literatury o gwiazdę się pyta,
ja odpowiem przewrotnie, że często mi błyska
gwiazda w naszym języku, zrodzona w umysłach.
Rano gwiazda zaranna, a gdy mamy gości,
śpiewem mury porusza gwiazda pomyślności,
zaś życie nasze całe od kolebki zmienia
dziwna i tajemnicza gwiazda przeznaczenia.
Dlatego pod dobrą gwiazdą lepiej się urodzić,
gwiazdą ekranu zostać, gwiezdny szlakiem chodzić;
a gdy na rzadkie sporty przyjdzie nam ochota,
brać udział w wielkich rajdach i gwiazdzistych zlotach.
By nie znużyć, przykładów więcej nie przytaczam,
tylko wrócę nieśmiało z refleksją tłumacza
o ojczystym języku, że w stan zachwycenia
wprawiają mnie zwyczajne i czułe drobnostki:
starowinka, staruszek, albo staruszczyk,
lub gwiazdeńka, gwiazdunia, gwiazdka i gwiazdeczka.
Czy tak miły, subtelny, znacie język inny,
który lepiej opisze świat doznań dziecinnych?
We współczesnych nam czasach obszar naukowy
w posiadanie wziął język, o którym „handlowy”
powiadano w przeszłości – teraz bez różnicy
pisują w nim światowi uczeni fizycy,
na przykład wyjaśniając świat gwiazdy szalony,
gdzie w piekle temperatur pędzą neutrony

i jak z gwiazdy ogromnej, kiedy się zapada,
powstaje czarna dziura i jak to się bada.
A teraz wielkim kołem wracam do wieczora,
kiedy gwiazdka na niebie mówi, że już pora.
Dorośli przy opłatku, dzieci pędem lecą,
a ich oczy szerokie, niczym gwiazdy świecą.

20 XII 2016

Zbigniew Zbikowski

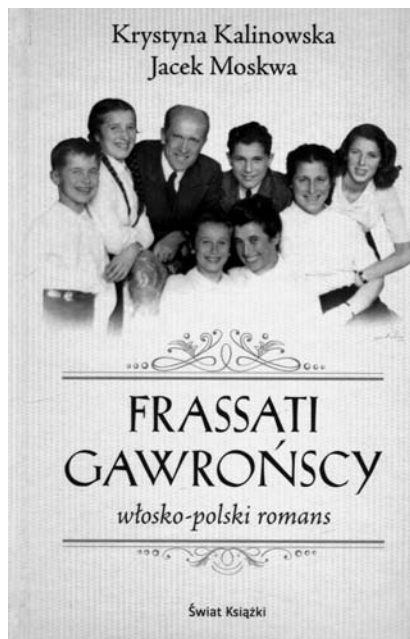
W pyle Witkacego

Raz pewien artysta (o, ludzie!)
przełożył majówkę na grudzień.
I wyszło, że gdy lud natchniony
biegł oddać Dziecinie pokłony,
on w śniegu oddawał się nudzie.

A inny ekscentryk w tym kraju
urządził był Gwiazdkę już w maju.
Że formę oderwał od treści?
I że tradycję zbezczescił?
Niektórzy artyści tak mają.

Krystyna Kalinowska i Jacek Moskwa laureatami nagrody „In Arte Libertas”

Napisana wspólnie z żoną, Krystyną Kalinowską, książka naszego kolegi Jacka Moskwy *Frassati Gawrońscy, włosko-polski romans* została odznaczona nagrodą „In Arte Libertas”. To honorowe wyróżnienie ustanowiła wybitna piosenkarka Sława Przybylska dla uczczenia 60-lecia swojej pracy artystycznej. Laureatami nagrody są m.in. poetki Ewa Lipska i Urszula Kozioł, filozof Maria Szyszkowska, aktorzy Grażyna Barszczewska, Marta Lipińska, Janusz Gajos.



Zofia Beszczyńska

wiersze o ptakach

wilga wildze

powiedziała wilga wildze
że wyrzały już zawilce
spod śniegu
a ona na to: Co z tego?

sowa wróblowi

powiedziała sowa wróblowi:
A cóż to się tak bezhołowi?
za dnia może jeszcze
ale w nocy?
w nocy to ja
otwieram oczy!

bocian

bocian nad łąką leci
trzyma w dziobie dzieci
dokąd je zanieś?

to tłuste
na grządkę kapusty

to duże
na klomb między róże

to roześmiane
na świeży stóg siana

a to małe na ostatku
do mojego pokoju
do łóżeczka z siatką

w ogrodzie

na gałęzi siedzi kos
śpiewa na cały głos

gałąź jest na brzozie
brzoza – w moim ogrodzie

ja stoję pod brzozą boso
i śpiewam razem z kosem

jaskółko

jaskółko
czemu lataasz w kółko?
skrzydłami tniesz powietrze
aż do wieczora?

bo wieczór to moja pora

ptasi las

z gałązki na gałązkę
rośnie
i kląska

liściaste skrzydła
skrzydlate korzenie:

za chwilę las
w ptaka się zmieni

ptasie kolory

ptak wiosenny jest zielony
 letni – złocisty jak słońce
 jesienny – brązowy jak liście
 zimowy – biały oczywiście

a mój ptak jest niebieski jak niebo
 i puchaty jak chmurka
 kiedy śpię on śpi obok
 i widzę
 że ma czerwone pazurki

na dębie

siedziały gołębice
 na dębie
 patrzyły na Pełnię
 i wzdychały:
 Ale przyjemnie!

a Pełnia im na to:
 Wzajemnie!

sikora sikorze

powiedziała sikora sikorze
 że poleciałaby nad morze
 ale nie może

powiedziała kawka kawce
 że woli wąchać dmuchawce
 na zielonej trawce

powiedziała kura kurze
 że najlepsze są podróże
 dokoła podwórza

powiedziała sowa sowie
że ma dużo spraw na głowie
i słabe zdrowie

więc żeby nie gadały tyle
i by zamilkły byle
na chwilę

noc i dzień

sowa pod niebem krąży
nikt za nią nie zdąży

zapala gwiazdy jak świece:
dlatego na niebie świecą

a kiedy świecić przestaną
będzie rano

Zofia Beszczyńska

Zofia Beszczyńska

Zielony Konik

Był sobie raz Konik, który mieszkał na łące. I jak łąka w kwietniu był cały zielony. A że przy tym niewielki, nie można go było odróżnić od trawy, ziół i liści.

Konik bardzo to lubił. Podobnie jak to, że nie przypominał nikogo, kogo spotykał po drodze, nawet tego samego koloru.

Ani świerszcza, ani żaby.

Ani gąsienicy, ani motyla.

Ani nawet smoka! Prawda, że go jeszcze nie spotkał, ale nie tracił nadziei. Biegał to tu, to tam, pił rosę z liści i jadł wszystko, co zielone, świeże i słodkie: trawę i kielki, mech i (oczywiście) koniczynę.

Aż któregoś ranka na łące zobaczył coś nowego: żółte kaczeńce. Powąchał je ostrożnie, potem polizał, a potem spróbował, jak smakują. Były pyszne! W końcu zjadł je wszystkie – i stał się żółty jak Słońce. Przestał być Zielonym Konikiem: teraz nazywał się Żółty Konik. Słońce go lubiło i on je lubił. Całymi dniami leżał na żółtym piasku nad strumieniem pełnym złotych kamieni, patrzył na fruujące w górze cytrynki i wygrzewał się bez opamiętania.

Aż któregoś dnia zakwitły niezapominajki. Wieczorem ich nie było, za to rano – śmiały się jak szalone, taplając się w wodzie, i pachniały, pachniały...

Konikowi zakręciło się w głowie. Poczuł, że jest w niebie, biega i tańczy, i że otaczają go niebieskie obłoki i niebiesko pachnące niezapominajki. Zjadł wszystkie do ostatniego płatka – i stał się niebieski jak one. Stał się Niebieskim Konikiem. Śnił i marzył na jawie, unosząc się w powietrzu... w niebie!

Krzewy bzów na łące – wszystkie nazywały się Lilak – wszystkie zakwitły jednego dnia i wszystkie na liliowo; Konik zjadł je po trochu, bez namysłu i z wielką radością. Potem z daleka pachniał jak bzuwy bukiet, i tak wyglądał: liliowy i puchaty. Liliowy Konik! Nocami pachniała maciejka,

konwalie i kwiaty dzikiej jabłoni, ale on nie chciał ich dotknąć: nawet księżyc świecił mu liliowo jak bez.

I było tak do dnia, gdy łąkę przykrył dywan czerwonych maków. Błyszczące i pełne rosy wyglądały jak klejnoty. Ale że były tylko kwiatami, Konik zjadł je co do jednego. I stał się czerwony jak mak: stał się Czerwonym Konikiem. Hasał i brykał jak ogień, szukając czerwonych poziomek i malin, goniąc za czerwonymi biedronkami, obлизując się językiem czerwonym jak płatki nasturcji.

A później, nie wiadomo kiedy, na łące – w trawie, mchu, pod krzewami – wyrosły brązowe grzyby.

Konik zjadł je także, nie zważając na czmychające spod kapeluszy ludziki w brązowych kubrakach, pająki, ślimaki i mrówki. Trochę go potem bolał brzuch, ale co tam. Był odtąd brązowy jak kasztany, owoce leszczyny, kora drzew. Brązowy Konik – o oczach jak żółędzie i sierści niczym liście dębu – to brzmi dumnie!

Tymczasem trawa na łące zrudziała, stała się brunatna, a potem szara, i w końcu znikła. Liście – te złotobrązowe, ciemnobrązowe i prawie czarne – też powoli wsiąkały w ziemię.

Konik posmutniał. Czy można jeść ziemię? – pytał sam siebie. – Czarną i szarą... A ja, jak ja mam się teraz nazywać? Brunatny, Szary, a może Czarny Konik? Nie podoba mi się to!

Spadł szary deszcz, po nim szara mgła... ranki stawały się coraz podobniejsze do wieczorów, a dni do nocy.

Konik, trochę jeszcze Brązowy, lecz coraz bardziej Ciemnoszary, kulił się z zimna pod nagimi gałęziami, w stertach liści, w jamkach pod kamieniami. Chciał spać długo i jeszcze dłużej, nieruchomy i milczący jak one.

Ale któregoś ranka obudził się i omal nie podskoczył ze zdziwienia i radości: świat zmienił się znowu i teraz wszystko wokół było białe! Biała ziemia i niebo, i drzewa przykryte białym puchem. Nawet wrony z jasnym pyłem na smolistych skrzydłach skrzeczały radośnie, podskakując po białym dywanie. Ich stopy zostawiały na nim znaki, jakby pisały list... do kogo?

Nazywam się Śnieg – powiedział śnieg miękko.

Konik podniósł głowę i zobaczył, jak Śnieg sfruwa z białego nieba białymi gwiazdami. Cicho okrywał niewidzialną trawę, szare kamienie i czarne gałęzie drzew, i chyba słońce, bo nie było go widać na niebie.

Konik próbował jeść te gwiazdy, zimne i szczypiące, ale czuł, że je wodę. I staje się coraz bardziej biały. Staje się Białym Konikiem. Coraz lżejszym, bardziej sennym...

Schowaj się we mnie! – poradził mu Śnieg.

I Konik wygrzebał w nim jamkę, i zakopał się w niej z głową i nogami.
Zamknął oczy i śnił o wszystkich kolorach tęczy.

Obudziło go słońce, białozłote jak kropla miodu.

Hej! – powiedziało. – Nazywam się Słońce, a ty?

Ja nazywam się Zielony Konik! – wykrzyknął Konik z dumą.

I rzeczywiście był zielony.

Był Zielonym Konikiem.

Alicja Patey-Grabowska

Sen jak rumak

Sen jak rumak.
Ma różowe chrapy,
mleczną grzywę
i podkowy
z gwiazd.
I stuka kopytkiem
jak serce.

Tik-tak
Tik-tak

Zając i księżyc

Biega księżyc bosy po rosie.
Jeszcze zaziębi się!
Prosi mama – Nocka:
– Włóż buty!
Ale księżyc
jak to księżyc,
uparty.
Przybiegł zając
i przyniósł kalosze.
– W tych kaloszach
możesz chodzić
po rosie.

Nocny strażnik

Spaceruje księżyc po niebie.
Latarką świeci w oczy
Małgosi.

– Daj mi spać...
Małgosia prosi.
Ale księżyc – ten strażnik nocy
lubi zaglądać do okien.
Co robić?
Zasunę firanki.
Ale księżyc i tak zajrzy
przez szparki.

Kaktus

Założyliście się o lody,
że kaktus nie urośnie na dłoni...
A przecież
na dłoni okna,
na parapecie
zakwitł kaktus.

I co powiecie?

Grzegorz Łatuszyński

Jak się rodziły Czarnogórskie klimaty?

(fragment)

– Rodziły się przez długie lata fascynacji tym krajem, jego literaturą, historią, tradycją. To się zaczęło od studenckiej lektury – od wielkiego romantycznego poematu *Górski wieniec* czarnogórskiego władcy Petara II Petrovicia Njegoša, poety zaledwie piętnaście lat młodszego od Adama Mickiewicza i Aleksandra Puszkina. Ci trzej najwięksi bardowie zachodniej, wschodniej i południowej Słowiańszczyzny żyli bowiem niemalże w tych samych latach, a Puszkini i Njegoš dokładnie w tym samym wieku trzydziestu ośmiu lat pożegnali się z życiem.

Czarnogóra Njegoša była w tamtym czasie jedynym w Europie, obok Rosji Mikołaja I, niepodległym państwem słowiańskim, gdyż wszystkie pozostałe, od chwili opanowania i zlikwidowania w 1808 roku Republiki Dubrownickiej przez Napoleona I, pozostawały pod zaborami – tureckim, austriackim, rosyjskim i niemieckim.

Czarnogóra to kraj o powierzchni zaledwie województwa lubuskiego, ludności zaś ma tyle co Wrocław, jeśli nie liczyć diaspory, największej oczywiście w Serbii, ale także w krajach skandynawskich, w Ameryce Południowej i Północnej. Jeśliby zliczyć wszystkich rozsianych po świecie, byłoby ich może nawet więcej niż w samej Czarnogórze. Wyjeżdżali przecież nie tylko za chlebem, lecz także z ciekawości świata, której w tym górzystym kraju uczyli się od zawsze, chcąc wiedzieć, co jest za górą, jedną czy drugą, a nawet za tą dalszą i najdalszą.

Czarnogórcy, którzy od wieków musieli bronić swojego górzystego skrawka ziemi, przyzwyczajeni byli do życia aktywnego, z adrenaliną i z szablą w rękę. Cenili odwagę, honor, poświęcenie i spolegliwość. Nie straszne było dla nich iść na wojnę. Weszła im w krew, była przygodą, a łupy wojenne pozwalały im przeżyć w tej surowej i jałowej, kamienistej ojczyźnie, nieprzystępnej dla obcych, hartującej, do życia trudnego przysposabiającej swoich. Tu się utrzymać mogły tylko wilki i twardzi czarnogórscy górale, żywotni i wytrwali niczym wilki. Pewnie dlatego tak popularne jest u nich

imię Vuk (Wilk) i nazwisko Vuković, Vučić, Vukanović (Wilkiewicz, Wilczek, Wilczyński), choć są też różne inne tłumaczenia.

Czarnogóra jest mała, ale nie wszyscy Czarnogórcy tak sądzą. Niektórzy twierdzą, że w odróżnieniu od innych dwuwymiarowych krajów, mierzonych długością i szerokością geograficzną, Czarnogórę należy mierzyć trójwymiarowo, również wysokością, bo cała przecież składa się z gór. „Gdyby tak rozciągnąć ją, wyprostować i wyprasować, wcale nie byłaby mała” – twierdzą. Ma ona dwie strefy klimatyczne, łagodną śródziemnomorską oraz kontynentalną, z surową zimą i skwarnym latem. W swej najdawniejszej historii nazywała się Duklją, w średniowieczu Zetą, a w nowszych czasach tak jak dziś, w świecie Montenegro, w Polsce Czarnogórą, a we własnym języku – Crna Gora, ale też i Montenegro.

Podobno w jej górach kryje się cała tablica Mendelejewa, a niektórzy uważają, że nawet więcej. I ja im wierzę z tej prostej przyczyny, że tablica Mendelejewa jest martwa, a czarnogórskie góry są żywe, mają duszę, mają swoją barwną historię i niepowtarzalny klimat, daleko wykraczający poza to wszystko, co pod tym terminem rozumieją meteorolodzy. Co więcej, czarnogórski klimat łączy w jedno dwie wspomniane już geograficzne strefy klimatyczne, kontynentalną i śródziemnomorską oraz ludność zamieszkującą od wieków ten kraj i wytwarzającą swoistą temperaturę codziennego współżycia.

Ten klimat tworzą więc nie tylko góry i morze, najpiękniejsze na wybrzeżu adriatyckim, z pełną uroku, unikalną Boką Kotorską, z riwierą, rozciągającą się od Ulcinja poprzez Bar, Petrovac, Sveti Stefan, po Herceg Novi, ale i ludzie, przede wszystkim ludzie, otwarci, serdeczni, o dużej inteligencji wrodzonej, niezależnej jakby od stopnia wykształcenia, z którymi kontakt jest łatwy, a rozmowa zawsze ciekawa, gdyż znamionuje ich życiowa mądrość, zdobywana w trudnych geograficznych i historycznych warunkach, przekazywana z pokolenia na pokolenie w żywych do dziś przysłowiach i powiedzeniach.

Czarnogórcy chętnie opowiadają o dawnych zwyczajach i dziejach swojego kraju, których pamięć, przechowywana w legendach i pieśniach ludowych, ciągle jest żywa, i równie chętnie o tym, co u nich warto jest obeerzenia i godne podziwu, zarówno z tego, co stworzyła natura, jak i tego, co jest dziełem człowieka. A mówić potrafią barwnie i żywo, językiem pełnym ekspresji. I nie wiedzieć kiedy, słuchając ich, jak zahipnotyzowani, zaczynamy patrzeć na ten kraj, na jego historię i na nich samych ich oczyma, wierzyć gotowi, że tę piękną ziemię Bóg specjalnie dla nich stworzył, żeby

była osłodą dla ich nie najłatwiejszej przecież ludzkiej doli. Bo „są tu miejsca najpiękniejsze na świecie, a może nawet i w samej Czarnogórze” – twierdzili, gdziekolwiek byłem i z kimkolwiek rozmawiałem.

I zaczynamy im zazdrościć również tego uмиłowania własnej ojczyzny, własnej historii, a także poczucia godności i dumy, jaką daje wola i umiejętność pokonywania przeciwności oraz spełnienie w życiu indywidualnym i zbiorowym.

Tak, Czarnogórcy są ludźmi spełnionymi. Nie cierpią na kompleks niższości. Nie cierpią, że kraj ich jest mały. Dumni są, że umieli ten skrawek ziemi przez wieki zachować przed nawałą turecką i wszelką inną, by móc tu żyć z poczuciem, że jako lud wolny są u siebie, na swojej ziemi, i że nikt z zewnątrz obcych praw dyktować im nie będzie, ani się szarogęsić na ich ziemi.

Oczywiście, kreślę to wszystko w wielkim uproszczeniu, nie wdając się w szczegóły, w meandry, bez których nie może się obyć historia tysiącletniego narodu. Ale nie one decydowały i decydują o jego rozwoju, o wartościach, którym ten naród wiernie hołduje i które chroni dla dobra pospolitego.

Dzisiejsza Czarnogóra jest, rzecz jasna, inna niż ta, którą rządził Petar II Petrović Njegoš, ale i czasy dziś są inne, i naturalna warowność obszaru nie ta, co w tamtych latach, i sposób prowadzenia wojen nie ten, co kiedyś. On się zmienia na naszych oczach, co ilustrują właśnie walki na Ukrainie, więc i wysiłki prowadzące do utrzymania integralności kraju muszą być inne, muszą inaczej determinować zarówno politykę wewnętrzną, jak i zagraniczną.

Czarnogóra jest dziś tego naocznym przykładem, przejrzystym dzięki małej skali. Wszystko tu się odbywa jak w jakimś laboratorium, jak eksperyment w próbowni. Co nie znaczy że bezpiecznie. Próbowki też potrafią wybuchać. Miejmy jednak nadzieję, że obecnemu kierownictwu starczy rozsądku, przewidywalności i dalekowzroczności w kreowaniu obecnej polityki, żeby takiego wybuchu uniknąć.

Przed laty, kiedy Miloševićowska Jugosławia prowadziła wojnę z wyzwalającą się Słowenią i Chorwacją, podczas dziennikarskiej rozmowy ze mną Milovan Djilas powiedział: „Dziś na pierwszym planie jest problem słoweński, ale podstawowy konflikt, który niszczy Jugosławię, rozgrywa się między Chorwatami i Serbami, z owym przeniesieniem na Bośnię i Hercegowinę. Boję się o Bośnię i boję się o Czarnogórę, bo i ona będzie się chciała wyzwolić. Mówię to jako Czarnogórzec. Jeśli tam się wojna prze-rzuci, będzie strasznie”.

To są klimaty, w których rodziła się wolność dzisiejszej Czarnogóry. Dobrze je oddają, moim zdaniem, dziennikarskie rozmowy, jakie przeprowadziłem m.in. z Milovanem Djilasem, Mirkiem Kovačem, Jevremem Brkovićem i premierem Milo Djukanovićem, architektem czarnogórskiej polityki zarówno dochodzenia do niepodległości, jak i pierwszego dziesięciolecia niezawisłości; z człowiekiem, którego konsekwencji i determinacji zawdzięczają dziś to, że żyją w wolnym kraju zarówno ci, którzy tego chcieli, jak i ci, którzy nie chcieli. Ale ci ostatni zaczynają już inaczej patrzeć na tę sprawę. Wielu z nich widzi bowiem, że wolność stworzyła również im lepszą perspektywę na przyszłość.

Nie będę tu jednak wdawać się w analizy ani ekonomiczne, ani socjologiczne. Nie moja to dziedzina. Na Czarnogórę patrzę okiem pisarza i dziennikarza, i tak ją próbuję przedstawić, trochę prozą, trochę wierszem, trochę eseistyką i publicystyką, z nadzieją, że teksty te będą się wzajemnie uzupełniać i wspierać, nawiązując bliską relację z Czytelnikiem, dostarczając mu faktów i emocji, które te fakty ożywiają. Uważam bowiem, że to wszystko, co dziś można znaleźć w encyklopediach i w Internecie, jest mniej warte niż to, co doznane i przeżyte. Gdybym myślał inaczej, musiałbym odłożyć pióro i zająć się jakąś inną pożyteczną działalnością czy wziąć kilof do ręki, bo praca fizyczna też może być twórcza i dać człowiekowi sporo satysfakcji, co również nieraz mogłem zaobserwować w obcowaniu z Czarnogórcami.

Grzegorz Łatuszyński
Czarnogórskie klimaty.
Ogląd literacki i dziennikarski.
 Oficyna Wydawnicza „Agawa”,
 Warszawa 2016. Format S6, str. 298



Kazimierz Świągocki

Traktat o ciszy

Od muzyki piękniejsza jest tylko cisza
zasłyszane

Cisza jest naturalnym symbolem nieskończoności. Nie da się określić jej granic, a istotą nieskończoności jest właśnie bezgraniczność, bezkresność. Cisza jest wewnętrznie niezróżnicowana, jednorodna, monotonna, jednowymiarowa, jakby z jednej czystej odlana substancji.

Hałas to coś, co można zrozumieć tylko w odniesieniu do ciszy, gdyż hałas to ciszy zakłócenie, odebranie jej owej jednostajności, czystej całościowej jednakowości. Hałas posiada granice. I to wyraźne. Dostrzegamy je w miejscu, gdzie styka się z ciszą i rozbija się o nią. Właśnie cisza jest zawsze jego granicą. Nie może się hałas rozlegać w nieskończoność. A cisza może. Zawsze gdzieś wyczerpuje się jego trwanie i gaśnie. Cisza nie gaśnie nigdy. Zawsze ją można myślać wykryć poza hałasem. Im większy hałas, tym większa za nim stoi cisza. Doświadczamy tego, gdy wielki hałas nagle ustaje.

Wtedy też uświadamiamy sobie, że naturą rzeczy, istotą świata jest cisza, a hałas jedynie przypadłością – powstającą w czasie i w czasie ginącą. Cisza zaś trwa ponad czasem. Jest przecież niezmienna, więc czas, będący miarą wszelkiej fizycznej zmiany, jej nie dotyczy. Nie podlegając czasowi, cisza jest domeną wieczności. I nie wydaje się być w błędzie ten, kto wyobraźnią pojmując ją jako swoisty ogród, w którym wszelkie byty pojedyncze owocują własną dojrzałością, a byt w sensie kolektywnym – uniwersum wszelkich rzeczy, znajduje w niej swój najgłębszy fundament, oparcie i tło.

Można o niej powiedzieć i to, że jeśli byt ostateczny istnieje poza czasem i przestrzenią, więc nie ma w nim czasu, ani przestrzeni, a zatem i zmiany żadnej, ni związanego ze zmianą ruchu i wynikającego z ruchu głosu żadnego, a my mimo to, chcielibyśmy sobie jakoś możliwie obrazowo przedstawić bycie owego Bytu, to doświadczenie ciszy, zmysłowe jej odczuwanie i jakiś wewnętrzny enigmatyczny jej ogląd, który w nas żyje, może nasunąć

spontaniczną myśl, że cisza jest najwierniejszym z dostępnych nam obrazów Bytu.

Kto wie, czy daleko odeszlibyśmy od prawdy, jeśli wielkie malarские pejzaże tak byśmy postrzegali, jakby wszelkie przedstawione na nich rzeczy stały w opozycji do ciszy, która rozpościera się za nimi, znikając gdzieś w czeluści poza rzeczywistością płótna, ram i całego obrazu, jakby rzeczy te były wynaturzeniem ciszy, jakimś ontologicznym hałasem, który został po to jedynie przywołany i uobecniony, ażeby obwieszczał ciszę – wieczne świętowanie bytu i bytu najczystsze tworzywo.

Może więc błogosławiony Giotto, ekstatyczny El Greco i wielki Rembrandt, a także urzeczony boskością przyrody Caspar David Friedrich nieświadomi tego, w natchnieniu swoim malowali nie tyle drogie ich sercom i umysłom postaci ludzkie i przedmioty tego świata, co ową Wielką Ciszę, której nieskończoności nie sposób przedstawić naocznie, a którą można jedynie wskazać milczeniem jako odwieczną obecność tej głębi, z której nic się nie wynurza i do której nic nie powraca, choć wszystkie widzialne i słyszalne rzeczy tylko dzięki niej możemy widzieć jako istniejące dla naszych nietrwałych spojrzeń i dla myśli szukającej w ich pojawach – bytu.

Może też muzyka, nawet ta największa i najświętsza – muzyka gregoriańskiego chorału jest owej ciszy zakłóceniem? Mieszkająca na jej obrzeżach, pokorna wobec jej milczenia, usiłuje świadczyć jej obecności słowem poruszającym boskie struny powietrza, słowem posłusznym światłu gwiazd i przemieniającym je w światło miłości. Gregoriańska muzyka aniołów zamienionych przygodnie w ludzi, wołająca o powrót do Pana! Może nawet ta muzyka jest ciszy owej zakłóceniem? Muzyka Wielkiego Powrotu, muzyka rozpalonych do świętości gwiazd!

Cisza jest zatem syjamską siostrą wieczności. Bije w nich jedno serce wszechrzeczy. Bije rytmem znoszącym wszelkie przeciwieństwa, także przeciwieństwo początku i końca, nicości i bytu.

Tylko świat rzeczy daremnie szuka w sobie ukojenia. Jego wzburzony hałas rozbija się jak niedorzeczne morze o brzegi wiekuistej ciszy, skąd słychać wielki dzwon, błogosławiony dzwon milczenia.

2001

Paweł Dunin-Wąsowicz

Żoliborski przewodnik literacki

(fragmenty)

Antykwariaty między Merkurym a Urzędem Dzielnicy funkcjonują od początku lat 90. – początkowo bukiniści działali w plastikowych budkach, a w 1999 r. przenieśli się do zbudowanego wówczas pawilonu, tworząc własną alejkę (kiedyś cztery, obecnie trzy sklepy). O ile na Żoliborzu niezależne księgarnie z nowościami zamykały się w XXI wieku jedna po drugiej, przybywało miejsc wtórnego obiegu książki – bukiniści funkcjonowali ostatnio także na bazarku pod Halą Marymoncką oraz w CH Żoliborz (nad supermarketem Simply).

„Żeby poprawić sobie nastrój, uspokoić skołatane nerwy, ruszyłem spod empiku do pana Krzysztofa. Pan Krzysztof? Kto to taki? Historyk samouk. Oryginał. Erudyta. Właściciel antykwariatu przy Słowackiego. Pan i władca na kilku metrach kwadratowych pawilonu, gdzie wśród piramid wypełnionych książkami pudel po bananach tłoczą się jego akolici, słuchacze, petenci – profesorowie wyższych uczelni i kloszardzi, gospodynie domowe i poeci, alkoholicy, wariaci, sportowcy... Warszawski Hyde Park, agora, klub dyskusyjny dla samotnych. Pan Krzysztof, mężczyzna w sile wieku, którego powierzchowność, strój i sposób bycia przeczą wszelkim konwenansom, wyczuwa organiczny komizm życia nawet i w takich sytuacjach, które dla innych są dowodami na życia okrucieństwo” – tak Zbigniew Mentzel opisuje w powieści *Spadający nóż* [2016] najbardziej znanego z żoliborskich antykwariuszy.

Mowa o Krzysztofie Jastrzębskim zwanym też Panem Krzysiem. Ten historyk po lubelskim UMCS pracował krótko jako nauczyciel, był kierownikiem hotelu robotniczego w Chorzowie-Batorym, a od ćwierć wieku jego głównym zajęciem jest handel książkami na własny rachunek. Swe życie – oraz historię rodzinnego Opola Lubelskiego – opisuje w opasłych tomach (m.in. *Wspomnienia żoliborskiego antykwariusza* [2009], dalsze odcinki drukowane były też do 2014 w czasopiśmie „Lampa”), które można kupić tylko u niego bezpośrednio. Był bohaterem kilku filmów dokumentalnych, z których najbardziej znany jest nagradzany *Antykwariat* Macieja Cuske

z 2006 r. – przedstawiający Pana Krzysia, jego stałych klientów i dostawców (źródłem książek sprzedawanych po „jeden złoty” są głównie likwidowane księgozbiory po zmarłych), a kręcony przez pół roku.

Alejka antykwariatów przy Słowackiego zainspirowała już autorkę powieści dla dzieci Ewę Karwan-Jastrzębską (zbieżność nazwisk przypadkowa), która zawarła ich wątek w *Bandzie Michałka* [2013] charakteryzując ją słowami mieszkającego w kamienicy opodal młodego narratora jako „istne zagłębie sklepów ze starymi książkami”. Bukiniści występują w niej jako pan Poeta, pan Zdzisław i pan Leopold. Ten ostatni wydaje się narratorowi najbardziej zabawny: „do każdego zwraca się per szanowny klientcie, a do wybranych «panie doktorze», «panie profesorze», a nawet u pana Leopolda «mistrzu» (...) u pana Leopolda pojawiają się naprawdę dziwni ludzie. Mam na myśli jego dostawców. Z reguły są to bardzo spragnieni panowie. Sam tak o nich mówi, a my od dawna zastanawiamy się dlaczego i mamy teraz na ten temat różne teorie”. Od jednego z takich spragnionych dostawców pan Leopold kupuje za 50200 groszy torbę widokówek skradzionych z piwnicy pewnej babci, co wykrywa i ujawnia banda Michałka, która zmusza chciwego antykwariusza do zwrotu. Pocztywki zostają odkupione za tę samą kwotę 502 zł, a zysk ze sprzedaży tylko dziesięciu z nich na Allegro (10 sztuk za 4780 zł) trafia do prawowitej właścicielki. Współczesne dzieciaki z co najmniej dostatnich żoliborskich rodzin (patrz Halloween na PLACU SŁONECZNYM, przyjaciele Marysi mają stadninę) z *Bandy Michałka* są w ogóle nadzwyczaj dobrze zorientowane w ekonomii – patrz PLAC WILSONA.

Oprócz antykwariatów realnych, w literaturze o Żoliborzu pojawiają się zmyślane – ta sama Ewa Karwan-Jastrzębska jest autorką powieści *Antykwariusz* [2006], gdzie taki lokal w kamienicy przy pl. Wilsona jest bramą do podróży w czasie i przestrzeni (patrz FANTASTYKA) zaś w dwóch powieściach kryminalnych Artura Górskiego *Zdrada Kopernika* [2010] i *Zemsta Fahrenheita* [2011] występuje antykwariat przy Czarnieckiego, którego właściciel jest ekspertem w sprawach związanych z dawnymi księgami (patrz KRYMINAŁ).

* * *

Opowiadanie Antoniego Libery *Widok z góry i z dołu* napisane do antologii *Mówi Warszawa* [2011] rozgrywa się w dwóch planach czasowych. Jego bohater, który w dzieciństwie tuż przed wybuchem II wojny światowej

wyjechał z Polski do Ameryki i tam pozostał, wspomina pod koniec lat 90. poległego w powstaniu warszawskim swego stryja Oskara – architekta, który pokazywał mu niegdyś budujący się Żoliborz. Najmocniejsze wspomnienie pochodzi z 1929 r. i wiąże się z WSM-owską kotłownią przy ul. Suzina, pierwszym takim obiektem w Polsce zapewniającym centralne ogrzewanie całemu osiedlu a nie pojedynczej kamienicy.

„– No, a teraz uważaj, zbliżamy się do celu – stryj Oskar, nim wysiedli, zasłonił mu oczy ręką. Odslonił je dopiero, gdy stanęli na ziemi, a stali tyłem do domu podobnego do statku.

Przed nimi rozciągał się placzyk wielkości sporego boiska, leżący ze dwa metry poniżej poziomu ulicy. Pusta, ubita ziemia, jedynie gdzieś tam po bokach rosła spłowieła trawa. Za nim, po drugiej stronie, widniało żwirowisko, a jeszcze dalej, w głębi, ukazywał się widok doprawdy niebywały. Na tle masywnej budowli o łukowatym dachu, podobnej do hali fabrycznej lub lotniczego hangaru, wyrastał prosto z ziemi ogromny, ceglany komin, opleciony spiralą wąziutkich żelaznych schodków, a u góry zwieńczony okrągłą galeryjką. Ten przypominał z kolei kształtną latarnie morską, tyle że u wierzchołka nie było reflektora. Wszystko to razem, z oddali, wyglądało jak jakaś ogromna machina parowa, która została tutaj jakoś doholowana, aż zaryła się w błocie i utknęła na dobre”.

Komin kotłowni służył zarazem za wieżę widokową i bohater opowiadania zapamiętał widok z góry widziany z galeryjki oraz objaśnienia stryja, że dzielnica powstaje na przekór stuletniej blokady, na przekór twierdzy i będzie dumą niepodległej Polski.

W ostatnich latach XX wieku, korzystając z internetowej wyszukiwarki odnajduje nieznanego mu kuzyna: syna Oskara – pogrobowca noszącego jego imię. Po raz pierwszy od czasu emigracji odwiedza Warszawę, oprowadzany przez stryjecznego brata, który jako historyk objaśnia mu degenerację miasta, jaką zafundowała Warszawie komunistyczna władza. Wpisuje się w nią także kotłownia przy Suzina – komin odbudowano bez galeryjki widokowej, dobudówka kina „Tęcza” nie pasuje architektonicznie do oryginalnej kotłowni, zaś z zaniedbanego podwórka przepędza gości ordynarny cieć. „I przyszło mu do głowy, że tamten dobroduszny, jowialny strażnik z wąsem, który go wpuszczał na schodki siedemdziesiąt lat temu, ostrzegając przyjaźnie przed serpentyną stopni, ostrzegał w istocie przed życiem”.

Stary komin runął w trzecim tygodniu Powstania Warszawskiego od niemieckich pocisków. Wydarzenie to znalazło wówczas swoje literackie odbicie w wierszyku *Cztery kąty, komin piąty* napisanym przez Marię

Kownacką (pod koniec 2016 roku wyszła jej biografia pióra Olgi Szmit: *Kownacka. Ta od Plastusia*) do ukazującej się na Żoliborzu gazetki dla dzieci – początkowo pod tytułem „Jawnutka” a potem „Dziennik Dziecięcy”.

W kolonii piątej
są cztery kąty:
W pierwszym kącie
martwią się mamy,
że działki mają aż na Marymoncie...
W drugim kącie w piwnicy
siedzą ludzie przy świecy,
a w tym kąciku trzecim
ktoś dzielny i kochany
idzie, dla najmłodszych dzieci
po mleko na Bielany...
A tam w tym kącie czwartym
toczy się bój zażarty:
karabiny, rozpylacz, powstanie,
kule się sypią gradem –
zdobyliśmy barykadę,
z łózka polowego szaniec!!...
Niech nikt się nie przybliża,
kula – to nie zabawka!
Siostry Czerwonego Krzyża –
rannych opatrzą na ławkach.
Więc mamy cztery kąty,
mieliśmy komin piąty –
Zwalili. Już go nie ma.

Był to skądinąd jeden z nielicznych utworów odnoszących się do powstańczej rzeczywistości publikowanych w tej gazetce, wypełnianej głównie tekstami pochodzącymi z przedwojennego „Płomyka”, bogato zasilanego przez autorkę, lokatorkę V kolonii WSM (dziś w mieszkaniu przy Słowackiego 5/13 m. 74 znajduje się Izba Pamięci Marii Kownackiej).

Już wkrótce po uruchomieniu kotłowni okazało się, że nowoczesne urządzenia zajmują mniej miejsca niż się spodziewano. W wolnej części urządzono początkowo Teatr imienia Stefana Żeromskiego, który w sezonie 1932–1933 działał pod kierownictwem Ireny Solskiej (pisze o nim

w swoim *Pamiętniku* wydanym w 1978 roku), eksperyment nie udał się jednak i sala przeznaczona została na kino. Funkcjonowało ono i po wojnie pod nazwą Tęcza do końca 1997 r. – przy czym w ostatnich latach jako placówka Akademii Ruchu. Zabudowana została wówczas scena i w Tęczy znów odbywały się przedstawienia teatralne, koncerty oraz składanki literackie organizowane między innymi przez redakcję pism „brulion” i „Lampa i Iskra Boża”. Po długiej przerwie w 2014 r. do Tęczy wróciła kultura – wprowadził się do niej teatr TrzyRzecz. W dawnej głównej części kotłowni działają natomiast restauracje – jedną z nich opisał Zbigniew Mentzel w powieści *Spadający nóż* [2016] – korespondentowi „Die Welt” narrator opowiada o swoich giełdowych doświadczeniach w restauracji Guccio Domagoj przy Suzina („Chodzi się tu po prostu «do Chorwata»”) przy jagnięcinie, świeżych mulach i winie winie Vranac Pro Corde.

Paweł Dunin-Wąsowicz

Maria Jentys-Borelowska

„Pergamonia” – pieśń wyzwolenia

*Widzi świat jak Munch
w rodowodzie Światowid
śmiech z Gombrowicza
(Henryk Bereza)¹*

Jan Drzeżdżon zmarł 22 sierpnia 1992 roku, przeżywszy lat zaledwie pięćdziesiąt pięć. W krótkim, bo niespełna trzydziestoletnim okresie swojej aktywności twórczej napisał: dwadzieścia osiem powieści, cztery tomy baśni, kilkadziesiąt wierszy i pięć rozpraw naukowych w języku polskim oraz jedną powieść, trzy zbiory opowiadań i trzy zbiorki poezji w języku kaszubskim. Z tego obfitego dorobku za życia autora w formie książkowej ukazało się dziewiętnaście powieści polskojęzycznych, wszystkie utwory prozatorskie i poetyckie kaszubskojęzyczne, trzy prace naukowe. Po śmierci pisarza do roku 2015 łącznie wydano: trzy polskojęzyczne utwory prozatorskie (*Czerwony Dwór* 1992, *Szary człowiek* 1993, *Michał Drzymała albo tragedia narodowa* 2007), wybór baśni polskich (*Baśnie* 2012) i wybór wierszy pisanych po polsku (*Łąka wiecznego istnienia* 2012), ponadto jedyną powieść kaszubskojęzyczną (*Twarz Smętka* 1993). Jeśli do tego rachunku doliczyć prezentacje fragmentów powieści i opowiadań autora *Oczu diabła* w kilku periodykach literackich, ogólnopolskich i regionalnych, obraz recepcji jego dzieł w Polsce przedstawi się całkiem dobrze.

Gdzież więc tu powód do utyskiwań? – rzec by można nie bez słowa racji. Czyż ci, którzy oskarżali wydawców i krytyków o niewybaczalne zaniechania wobec dzieł późnego (1885-1992) okresu twórczości Jana Drzeżdżona, nie przesadzali? Przecież pisarz ten zaistniał w naszym życiu literackim naprawdę mocno i znacząco, tak mocno i tak znacząco, że ćwierć wieku po śmierci – powraca.

A jednak powód do utyskiwań był, oskarżyciele, choć może i nazbyt emocjonalni w ekspresji oskarżeń, nie przesadzali: zaniechanie edytowania

¹ *Nagrobek Jana Drzeżdżona*, w: Henryk Bereza: *Miary: 99 trójwierszy*. Świat Literacki, Warszawa 2003.

kolejnych powieści Jana Drzeżdżona po roku 1985 było zakneblowaniem go w trakcie artykułowania nowej wiary artystycznej, było zatrzymaniem w wędrówce do poszukiwanej od wielu lat i wreszcie rysującej się na horyzoncie Prawdy, jego własnej, przez niego, Jana Drzeżdżona, odkrytej Prawdy o Istocie Bytu. Było zatem, ni mniej, ni więcej, tylko pozbawieniem go prawa do zaistnienia w pełni możliwości intelektualnych, duchowych i artystycznych. Bronił się autor *Pergamonii* jak potrafił przed skutkami obezwładniających recenzenckich werdyktów, pisał tak, jak nakazywały mu zasady jego nowej wiary artystycznej, walczył jak umiał o swoje pisarskie trwanie, próbując wydawać niechciane powieści własnym sump-tem, lecz w gruncie rzeczy był bez szans: negatywny werdykt oznaczał dlań śmierć pisarską. Czas, który nadszedł – czas fundamentalnych przemian polityczno-ustrojowych – był dla niego (i podobnych mu) nieubłagany. Wcale nie dlatego, że w wydawnictwach i redakcjach zabrakło nagle ludzi sprzyjających radykalnemu eksperymentatorstwu i gotowych wziąć na siebie odpowiedzialność za ryzykowne artystycznie decyzje wydawnicze, bo takich znalazłoby się pewnie wielu. Dlatego po prostu, że w kapitalistycznej gospodarce rynkowej wytwory kultury duchowej (jak np. książki) zostały zrównane w prawach z wytworami kultury materialnej (jak np. buty) i utraciły swoje specjalne przywileje: żeby zaistnieć na rynku, musiały zacząć „na siebie” zarabiać, jak wszystkie przedmioty codziennego użytku. Powieści Jana Drzeżdżona z lat 1985-1992 nie mogły liczyć ani na masowego czytelnika-nabywcę, ani też na wspaiałomyślnego sponsora. Były coraz „dziwniejsze” i coraz „trudniejsze”, zarazem coraz obszerniejsze, a więc i coraz droższe produkcyjnie. Wydawców nie było na nie stać; żeby utrzymać się na rynku, musieli sięgać po utwory wysokodochodowe, popularne; mecenas i sponsorzy mieli obowiązek wspierania przede wszystkim literatury zwanej zaangażowaną.

Jeżeli dziś, ćwierć bez mała wieku po śmierci autora *Rotardanii* zapala się zielone światło dla jego wzgardzonych wówczas powieści, to nie dlatego, że nadszedł lepszy dla nich czas. Przeciwnie, czas dla kultury duchowej nastał jeszcze gorszy, bardziej nieubłagany. W tym przypadku jednak zdarzył się – żeby użyć poręcznego wyjaśnienia – „cud”: oto w Szczecinie, stolicy Pomorza Zachodniego, znaleźli się ludzie, którzy zawierzili Janowi Drzeżdżonowi, stanęli po stronie Wielkiego Przegranego i wbrew zniechęcającym kalkulacjom i pesymistycznym prognozom podjęli zamysł wydania jego dzieł. Najpierw nieznanych, a potem, być może, wybranych

z całego obszaru trzydziestoletniej twórczości pisarza. Może, bo kto wie, co przyniesie nieubłagany czas.

Zamysł dojrzewał powoli, lecz niezawodnie. Zapewne nie bez istotnego udziału Henryka Berezy, który dla swych rewolucyjnych i siłą rzeczy kontrowersyjnych teorii z zakresu aksjologii literatury znalazł zrozumienie właśnie w Szczecinie i przez grupę szczecińskich wydawców, pisarzy i krytyków został uhonorowany nie tylko pięknymi edycjami swych ostatnich prac, ale również czymś nie mniej ważnym z punktu widzenia rozwoju kultury literackiej, mianowicie Fundacją Literatury imienia Henryka Berezy, powołaną po to, by promować literaturę odmiennych stanów świadomości (odmiennych w znaczeniu estetycznym). I oto w wyniku starań i zabiegów Fundacji ukazuje się pierwsza z nieznanых powieści Jana Drzeżdżona, prawie legendarna *Pergamonia*.

[...]

Dlaczego właśnie tę powieść wybrał Paweł Nowakowski jako pierwszą? Przecież w grupie utworów z lat ostatnich pisarza chronologicznie pierwsza nie była. Zatem nie chronologią się kierował, ale rangą i wagą *Pergamonii*, która w ambitnym autorskim zamyśle miała być Wielką Sagą Człowieka. Podpowieź, jak się zdaje, znalazł wydawca w krótkiej wykładni znaczeń utworu, jaką sporządził sam autor, zapewne na użytek redaktorów, dziennikarzy, studentów, przeważnie bezradnych wobec stosowanych przez niego „szyfrów” i kodów językowych:

Pergamonia to książka napisana w dramatycznych dla Europy i całego świata latach osiemdziesiątych, a dokładnie w drugiej połowie tej dekady. Wydarzenia jedyne w dziejach, początek upadku Bloku Wschodniego – początek, który miał miejsce w Polsce – wstrząsnęły do głębi każdym. Książką, która stanowi wyraz duchowy tego czasu, zamieniony w sztukę słowa, jest *PERGAMONIA*. Zaczyna się powstaniem oddziałów szturmowych, które ciągną na rynek. W *Pergamonii* jest i ratusz, i są urzędnicy, i oczywiście walczące oddziały szturmowe. Wydarzenia od samego początku są, można powiedzieć, Sagą Rodu. W swej zmitologizowanej postaci są czymś, co usiłuje poruszyć dzieje, a jednocześnie dotknąć transcendencji. Sama walka na miny albo na gesty jest już szczytem absurdu, przy czym należy zaznaczyć, iż nie ma to nic wspólnego z pisarstwem Gombrowicza.

Niezwykły jest świat *Pergamonii*, w którym człowiek gdzieś usiłuje się schronić, najchętniej w zaułku, ale i tam widać pędzące oddziały szturmowe.

Wielokrotnie powtarza się zdanie, iż Pergamonia jest wielka, ale czuje się, iż jest to *requiem* dla świata w takim wymiarze. Z drugiej strony samo utrwale nie go, stworzenie, kreacja daje i rozpoznanie, gdzie jesteśmy, i – co dla sztuki słowa jest najważniejsze – dzięki sile słowa tworzy pewną autonomiczną, kosmiczną i nienaruszalną całość. I ten fakt dopiero zadecyduje o przetrwaniu zarówno tego świata literackiego, jak i znaku rzeczywistości, którym jest.

Pergamonia jest w zamierzeniu Wielką Sagą Człowieka, a o tym, czy nią będzie, zadecydują czytelnicy.²

[...] Autor miał niezłomne przekonanie, że stworzył dzieło ogromne, ponadczasowe, rewolucyjne, przełomowe, że wyśpiewał potężną i piękną „pieśń wyzwolenia z ciemnej mocy pozorów i mistyfikacji”. W przekonaniu tym utwierdzał zresztą pisarza jego najwierniejszy czytelnik, admira tor i orędownik, jedyny znawca wszystkich utworów Drzeżdżona, tych wydanych i tych niewydanych, czytanych w maszynopisie na długo przed wydaniem (lub odrzuceniem). W eseju o fluktuacyjności znaczeniowej ostatnich powieści Drzeżdżona, fluktuacyjności nie tylko „fundamentalnych kategorii ontologicznych”, lecz także „całej zjawiskowej pojęciowości świata historycznego”, Henryk Bereza napisał:

W Pergamonii przepływ znaczeń dokonuje się głównie w obrębie dzisiejszej formacji cywilizacyjno-kulturalnej i dzisiejszego doświadczenia historycznego (kto chce, niech odczytuje z Pergamonii polskie dzieje ostatnich lat kilkudziesięciu), przepływ znaczeń polega jednak na swobodzie i jakby dowolności odniesień znaczeniowych, porządek może się więc realizować jedynie w kreacji zmysłowego świata, w tym świecie „każde poruszenie i każdy głos” muszą podlegać logice literackiej kreacji przedstawiającej, logice kreacji plastycznej lub muzycznej, logice synkretycznego spektaklu.

Logika typu artystycznego i estetycznego jest w *Pergamonii* szczególnie wyrazista, ponieważ musi ona zastąpić odrzuconą logikę świadomościową, czyli (w realnym sensie społecznym) logikę zdroworoządkowych stereotypów i komunałów, poprzez które – na skutek automatyzmów świadomościowych – dochodzi do likwidacji (często całkowitej, ludzie bardziej niż sądzimy, niczego nie widzą i nie słyszą) wszelkich zmysłowych procedur poznawczych.³

2 Nota znaleziona w spuściźnie pisarza, w jego władysławowskim gabinecie.

3 Cytuję za: *Pułapka*, w: Henryk Bereza: *Obroty: szkice literackie*. Spółka Wydawniczo-Księgarska, Warszawa 1996 s. 80.

To, co w perspektywie filozofii literatury jawi się jako wyraz nowej wiary artystycznej Jana Drzeżdżona, w przeciętnym czytelnicznym odbiorze może być uznane za objaw zagubienia, zbłąkania, a nawet i obłąkania pisarza. Może, ale nie musi. Jeżeli wrażliwość, ciekawość, otwartość i uczciwość (poznawcza) przeważą nad sztywnymi nawykami czytelnicznymi i stereotypowymi oczekiwaniami, lektura powieści o Wielkiej Pergamonii *może* stać się Wielką i Niepowtarzalną Przygodą. Może też dać asumpt do przemyśleń i przewartościowań w myśleniu o literaturze, a także otworzyć niejedne zamknięte na głucho drzwi – umysłu, serca, wyobraźni. Trzeba jednak podejść do niej z najlepszą wolą i życzliwością, pochylić się nad jej stronicami z największą uwagą i delikatnością, trzymać na wodzy skłonność do pochopnych ocen i niewyważonych sądów. I pozwolić się nieść narracji – powolnej, pozornie bezcelowej, pozornie bezsensownej, jakby baśniowej, jakby onirycznej, przeważnie groteskowej, niekiedy lirycznej, patetycznej, komicznej. A przecież zgodnej z rytmem ludzkiego życia, jeżeli na to życie patrzeć z perspektywy ontologicznej, a nie społecznej, politycznej, historycznej, psychologicznej, moralistycznej etc. Tylko pod tym warunkiem odczuje się „żar Pergamonii” i usłyszysz „jej muzykę, którą wykrzesali swoimi rękami tacy ludzie jak Jonatan”.

„Śpiewam pieśń o Pergamonii” – oznajmia w pierwszych słowach powieści narrator i przywołuje obraz starego człowieka, który klęczy w swoim domu z głową opartą o łóżko.

Wokół panuje cisza. Jest sam. Najpewniej się modli. Nie ma niczego, co można by mu zabrać. Nie wiadomo też, czy zareagowałby, gdyby coś do niego powiedzieć. Może już zresztą nie żyje od tysięcy lat, a jedynie istnieją o nim pieśni. W każdym razie widzę jego pochylone plecy, które są świadectwem jego istnienia.

„Jakież ma imię ten człowiek? Jaką ma twarz? – pyta retorycznie narrator. – „Może to idiota, który nie panuje ani nad światem, ani nad swoimi pragnieniami?”. A kilka akapitów dalej obwieszcza: „Wielka jest Pergamonia, a sprawy, którymi żyje, mają wymiar wieczny”. Bo tak już jest, i wiedzą o tym mieszkańcy Pergamonii, że „wielkie rzeczy zawarte są w codziennych drobiazgach”. I z tych „drobiazgów” właśnie, ze szczegółów i szczegółików, buduje Drzeżdżon mały / WIELKI, codzienny / WIECZNY świat Jonatana.

Swój własny świat? Wewnętrzny? Duchowy? Bez granic i bez początku oraz końca?

[...]

Jonatan mieszka sam w małym domku na obrzeżach Pergamonii. Sam ze swoimi myślami. „Gdy w Pergamonii świta, dom Jonatana jest cały ozłocony promieniami słońca. To jego Arka na głębinach tego miasta z horyzontem, na którym pojawia się sylwetka Abrahama, a masztem jest miejsce, na którym siedział kiedyś wilk-człowiek”. Jonatan na nikogo nie czeka, własne myśli mu wystarczają. A one wciąż wybiegają ku łące widocznej „tuż pod kręgiem horyzontu” i ku niewielkiej jodle, gdzie pośród mgieł i cieni drzew widnieje coś, co może jest złudą, a może też wypatrywanym widokiem. Jonatan wpatruje się tam każdego dnia, powodowany nieugaszoną tęsknotą, by „dotrzeć do tej postaci” i poznać „najgłębszą tajemnicę” Pergamonii. Mówi się bowiem, że „ten, kto zamieni słowo z Abrahamem”, dostąpi wtajemniczenia.

Wielki Abraham – jak wiadomo – to nie motyw ani symbol literacki, nie zwid ani wymysł Jonatana, to postać historyczna, bohater narodowy Kaszubów w latach niewoli, ich „król”, Antoni Abraham (1869-1923), ten, który rozerwał nałożone mu na ręce pruskie kajdany. Przywołując jego imię i wywołując jego Ducha w większości swych utworów, Jan Drzeżdżon wskazuje, dyskretnie i aluzyjnie, lecz dobitnie, na swój duchowy rodowód.

[...]

„Widzi świat jak Munch / w rodowodzie Światowid / śmiech z Gombrowicza” – napisał Henryk Bereza o Janie Drzeżdżonie po śmierci pisarza. W fenomenalnym skrócie – pełny i wyrazisty zarys sylwetki! Ekspresja bólu egzystencjalnego w dziełach polsko-kaszubskiego pisarza z drugiej połowy XX wieku da się jednak porównać z ekspresją bólu, strachu i miłości w dziełach Edvarda Muncha, który urodził się siedemdziesiąt cztery lata przed Drzeżdżonem, a zmarł, kiedy siedmioletni Jan rozpoczął naukę czytania i pisanie; krótki, przerażający krzyk Karamoro, zdolny wstrząsnąć nawet górą lodową i okryć ją czernią, jest tożsamy z odwiecznym i wszechobecnym krzykiem Przerażonego i Zrozpaczonego Człowieka w nieśmiertelnym obrazie norweskiego ekspresjonisty. Kult Światowida, a właściwie Świętowita, najwyższego boga Ranów, Słowian połabskich, czczonego w średniowieczu na wyspie Rugii w grodzie Arkona, to niezbywalne dziedzictwo Jana Drzeżdżona, nieocenione bogactwo, z którego czerpał pełnymi garściami, najpierw nieświadom go, potem półświadom i wreszcie w pełni świadom. W poszukiwaniu najgłębszych korzeni własnej duchowości pisarz w roku 1988 pojechał na Rugię i tam – jak zaświadcza w późniejszych utworach – zrozumiał, kim jest i co jemu (jego ojcom, dziadom, pradziadom) odebrano, przemocą narzucając obcą

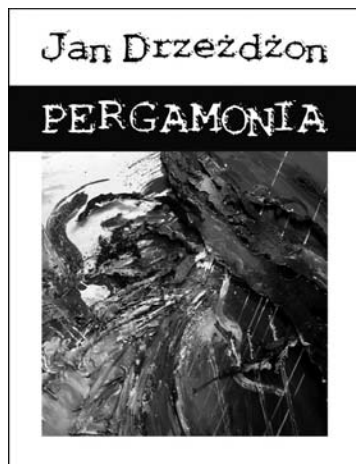
wiarę chrześcijańską. W relacji z pogańskim bogiem o czterech twarzach odnalazł prawdziwego i nareszcie wolnego siebie. Doświadczył wyzwolenia i poczucia pełni. Nie sposób nie dostrzec, że podglebie twórczości Jana Drzeżdżona jest ludowe i pogańskie, a nie chrześcijańskie, a odczuwanie i widzenie świata naznaczone żywiołową, naturalną zmysłowością i głębokim mistycyzmem. Jeśli chodzi o „śmiesz z Gombrowicza”, wydaje się, że w oczach Henryka Berezy kaszubski mistrz groteski i „ontologicznego komizmu” właśnie w *Pergamonii* pobił na głowę niepokonanego dotąd „mistrza zrywania masek”.

Kto wie, czy nie okaże się teraz, że w tejże *Pergamonii* pokonał również samego siebie, jako twórcę arcypowieści *Karamoro!*

Maria Jentys-Borelowska

Fragmenty posłowania do:

Jan Drzeżdżon: *Pergamonia*. Wydawnictwo FORMA,
Fundacja Literatury im. Henryka Berezy, Szczecin,
Bezrzecze 2016 s. 368-376.



Grzegorz Łatuszyński

W ciszy i skupieniu

(fragmenty)

Chociaż zrobiłem już wiele podobnych wyborów wierszy poetów serbskich, chorwackich, bośniackich i wydawać by się mogło, że powinienem nabrać przez te lata odpowiedniego dystansu, ba, nawet wpaść w rutynę, to jednak za każdym razem była to dla mnie i dalej jest niepowtarzalna przygoda poetycka i intelektualna, czego w szczególnie silny sposób doświadczyłem w pracy przy wyborze i przekładzie wierszy Dragana Dragojlovicia.

Bo ta poezja jest żywa, pozbawiona sztuczności, manieryzmu. Bije z czystego źródła. Potrafi rozbrzmiewać mocnymi bohaterskimi i tragicznymi akordami, ale też umie poruszyć struny elegijne i przejść w anielskie wprost piano i pianissimo. Metafory rodzą się w niej spontanicznie, z potrzeby skrótowego, syntetycznego ogarnięcia i wyrażenia myśli, a nie jako puste ozdobniki pustych często wierszy, z czym się nietrudno spotkać w dzisiejszej poezji, i tam, w Serbii, i u nas, chociaż poezja polska i poezja krajów byłej Jugosławii dzisiaj chyba przoduje w Europie. Na zarzuty, że jako poeta nie podąża za nurtem nowoczesności, w jednym z wywiadów Dragojlović powiedział:

Chciałbym, żeby nam ktoś precyzyjnie zdefiniował, co i dlaczego jest nowoczesne. Czy literatura istnieje, żeby spełnić czyjeś wymagania formalne? Mój ideał to prostota, która nie jest banalna, która jest wypowiedzią autentyczną i przekonującą, która coś przekazuje. Jestem przekonany, że jest to droga do nieosiągalnej być może doskonałości.

Ten poeta nie bawi się formą, nie bawi się słowem, on ma coś do powiedzenia o nas i naszych czasach. Nawet pisząc o prehistorii i Bizancjum – mówi Dragojlović – *piszę o swoich czasach i o sobie. Taki przekaz, wiążący nasz dzień dzisiejszy z bliższą czy dalszą przeszłością, jest sprawą naturalną w twórczości. Nie spadliśmy przecież z księżycy, ani nikt nam nie dał licencji na to, żebyśmy naszą przeszłość, naszą tradycję i historię puścili dziś w niepamięć.*

W poezji Dragana Dragojlovicia uderzyło mnie wręcz obsesyjne zagubienie bohatera lirycznego we współczesnym świecie. Ale kto się w nim dzisiaj nie gubi? Zagubienie i wyobcowanie, głęboka samotność, świadomość jakiejś marginalizacji czy wręcz wygnania, szczególnie w wierszach pisanych w Australii: *Jesteśmy wygnańcami / na tej ziemi pustkowie i dzikości... / Usta pełne są goryczy, / gdy mówią prawdę / o zmierzchu, który przysłania / zamierające sny...*

Ta gorycz nie pojawiła się w Australii. Poeta przywiózł ją ze sobą z własnego kraju, który od dłuższego już czasu przeżywał silne wstrząsy polityczne, doświadczany dramatycznym rozpadem byłej Jugosławii i wojnami bałkańskimi. Ale zanim do tego doszło, w miarę stabilna za życia prezydenta Tity Jugosławia, prowadzona wprowadzie twardą ręką, lecz zapewniająca mieszkańcom wszystkich sześciu republik związkowych względnie przyzwoity jak na owe lata poziom życia, po śmierci Marszałka zaczęła trzeszczeć w posadach z powodu nasilających się odśrodkowych ruchów narodowych. Wtedy to, rzecz można, w Serbii zagubili się wszyscy, i zwykli ludzie, i politycy, i intelektualiści. Przestali rozumieć, co się dzieje i dlaczego, do czego to prowadzi i czym się skończy. Ta sytuacja stawała się z roku na rok coraz cięższa, aż w końcu doprowadziła do krwawych wojen i rozpadu.

Nieprzypadkowo ten mój wybór, który opatrzyłem tytułem *Słowa w ciszy*, otwiera wiersz *Droga do celu*. Ten wiersz-wyznanie trafnie opisuje sytuację, w jakiej znalazły się setki tysięcy ludzi (podmiot liryczny nie był w tym odosobniony) w tamtych dramatycznych latach: *Uciekałem stąd, pragnąc wrócić, / długo byłem twarzą w twarz z samym sobą, / nic mnie nie prowadziło we właściwym kierunku... / by dojść do celu*.

Dążenie do celu jest rzeczą ludzką, nadaje sens życiu czy to na czas jakiś, czy na lata i dziesiątki lat. Ale utrata celu to dramat prowadzący do frustracji, rozgoryczenia, wyobcowania i osamotnienia. Człowiek łatwo wtedy traci oparcie w sobie i nie znajduje go w innych. Nagle zostaje z pustymi rękami, bez horyzontu przed sobą. Nic już nie cieszy, świat staje się obcy i wrogi, gdziekolwiek byś się znalazł: *Wszędzie jest ten sam smutek i samotność*.

Lata trudne, które się wtedy na Bałkanach zaczęły, trwały tam i trwają. Wprowadzie wojna się skończyła, ale zostawiła po sobie zrujnowaną gospodarkę i głęboko zranione społeczeństwo, które na dobrą sprawę do dziś nie może się podźwignąć do normalnego życia, w czym oczywiście nie pomógł kilkuletni kryzys światowy (oni mieli swój, permanentny, jak mówią) i zaostrażająca się z roku na rok w świecie tak zwanej post-polityki sytuacja

polityczna, w tym kryzys imigrancki i islamski terroryzm, zataczający coraz szersze kręgi, przed którym zatracająca swoje historyczne korzenie i wartości duchowe, zmateralizowana i zlaicyzowana Europa nie jest zdolna się bronić, bo: *dzwonienie Judaszowych srebrników / głośniejsze jest od wszystkich dźwięków...*

Tradycyjne wartości chrześcijańskie, na których osadzona była cywilizacja europejska, wypierane są coraz widoczniej przez fałszywe (kopernikański zły pieniądz), które się mnożą i poszerzają pole oddziaływania. Upadek wartości w zmateralizowanych społeczeństwach poeta dostrzega nie tylko w swoim kraju i w Europie, ale w całym świecie ukształtowanym na kulturze starożytnej Grecji i Rzymu, w całym świecie cywilizacji zachodniej, z której nie tak dawno jeszcze wszyscy byliśmy dumni.

Wiersze Dragana Dragojlovicia rodziły się w skupieniu, w namyśle, w kontemplacji człowieka i świata, człowieka i Boga, i siebie wobec Boga, siebie wobec świata, w danej nam, stworzonej nam rzeczywistości nie przez Boga, lecz przez człowieka, przez nas samych dla nas. *Ludzie ludziom zgotowali ten los* – pisała Zofia Nałkowska w „Medalionach” w 1946 roku.

Dragojlović nie sięga tak głęboko w przeszłość. Świat bohatera lirycznego jego wierszy dzieje się w latach świadomego życia autora i nie szczędząc doświadczeń dotknął go zarówno swoim dobrem, łaskawością, jak i złem niewyobrażalnym, którego nie tyle może być ofiarą czy sprawcą, co naocznym świadkiem. Zapadło ono głęboko w jego świadomość, boleśnie raniąc duszę: *z drugiej strony jawy / martwi ze zdziwieniem / na nas patrzyli, / a nas jakby nie było.*

Z tą zranioną duszą trzeba było żyć dalej i rewidować swój stosunek do świata, który się nagle ukazał w optyce tragicznego losu człowieczego, bezmiaru cierpienia, okrucieństwa i śmierci. Czy to wszystko musiało się zdarzyć? Z czyjego sprawstwa? Dlaczego? Komu i po co było potrzebne? *Przez jaką bramę wyszliśmy na te krajobrazy?* – pyta Dragojlović.

I wreszcie to najtrudniejsze pytanie: *Gdzie był wtedy Bóg? Jak mógł na to patrzeć?* W takich momentach trudne do pojęcia stawało się milczenie i bezczynność Boża, a nawet obojętność przyrody i całego uniwersum wraz z niebem, gwiazdami i księżycem. Bo oto: *nawet księżyc bawi się / swoimi kwadrami / nad tym pobojuwiskiem.*

W wierszu *Może grzechy zostały odpokutowane* autor draży tragiczny temat ostatniej wojny bałkańskiej, której jego bohater liryczny nie umie pojąć, ani dociec jej przyczyny czy sensu. Nie próbuje o nią nikogo oskarżać, ale w szukaniu winy nie pomija również siebie. Bo żeby zrozumieć siebie,

trzeba mieć odwagę stanąć przed sobą twarzą w twarz, a wtedy może zrozumie się w jakimś stopniu również świat wokół siebie. Bo, jak zauważa Bolesław Leśmian: *Chociaż zbrodniarza brak... Wszyscy winni są śmierci każdego człowieka!*

Ale czy będziemy gotowi tę prawdę przyjąć i pogodzić się z nią, zaakceptować? Niewątpliwie są to trudne pytania, lecz Dragojlović ich nie unika, stawia je sobie i swoim czytelnikom, choć sam nie ma na nie odpowiedzi i nie próbuje jej nawet formułować. Bo też i nie jest to rolą poety. Pytania bez odpowiedzi nie tylko czytelnika niepokoją, nie tylko bohatera lirycznego wierszy, ale z pewnością w co najmniej równym stopniu także samego autora: *uciekłem od samego siebie / i błędę bez nadziei, / bez drogowskazu.*

Dragan Dragojlović jest niewątpliwie jednym z najciekawszych poetów serbskich przełomu XX i XXI wieku. Wierzy w siłę oddziaływania społecznego poezji i w jej misję kulturotwórczą: *Słowo jest tu – pisze – by źródło doprowadzić / do ujścia. / Do niego należą / rzeczywistość i sen. / Ono otrzymuje sens / w ustach czasu, / w bramie śmierci...*

Grzegorz Łatuszyński

Z posłowie do:

Dragan Dragojlović, *Słowa w ciszy*.

Wybór, przekład wierszy i posłowie:

Grzegorz Łatuszyński.

Oficyna Wydawnicza „Agawa”,

Warszawa 2016. Format S6, str. 160



Piotr Müldner-Nieckowski

Ze zbioru rekomendacji wygłaszanych
na comiesięcznych Biesiadach Literackich SPP¹

1. Katarzyna Boruń-Jagodzińska: Krócej

Jak wiadomo (wszyscy powinni to wiedzieć, a jeśli nie wiedzą, to zawiadamiam) – nie rekomenduję, nawet tak krótko jak tu, książek, które mi się nie podobają albo które uważam za nieciekawe. Chyba że są to dzieła, które mnie obrażają, ale wtedy formułuję protest. Tu zachodzi rzecz jasna pierwszy wariant, o co było tym łatwiej, że z Katarzyną Boruń-Jagodzińską jestem związany przez udział w Kole Młodych ZLP i „Nowym Wyrazie”. Jest to grupa, która istnieje do dziś, choćby we wspomnieniach, a wewnętrznie różni się pod każdym względem, nie tylko osobowo, ale przede wszystkim myśleniem poetyckim, sposobem realizacji siebie przez poezję i – co najważniejsze – widzeniem świata. Co ciekawe, o swoich tekstach często dowiadujemy się wzajemnie jako ostatni, i to na przypadkowo odwiedzanych wieczorach poetyckich. Nie dzwoniczymy do siebie co drugi dzień o piątej nad ranem (jak to wielu czyni i czyniło, z Władysławem Broniewskim włącznie) z wiadomością, że oto ktoś z nas napisał coś nowego. Lubimy się spotykać przed publicznością na przykład na *Biesiadach*, właśnie żeby się czegoś o sobie dowiedzieć. I nadal nie wszystko o sobie wiemy.

Tak jest i z tą książką, prawie żadnego wiersza wydanego w „Krócej” dotychczas nie znałem. Są krótkie, znacznie krótsze niż te, które Katarzyna Boruń prezentuje na łamach czasopism i w poprzednich tomikach. Ponieważ pisanie wierszy krótkich należy do zajęć najtrudniejszych, zabierałem się do lektury z niepokojem. Wierzę w Katarzynę, ale literaturoznawcy ostrzegają, że żeby pisać dobre wiersze krótkie, trzeba duszy, inteligencji i odwagi, bo łatwo wpaść w aforystykę, która jak wiadomo jest sposobem na uwiecznianie ładnie opakowanych banałów. Krótki wiersz znakomicie potrafi obnażyć niedostatki umysłu. W tomiku „Krócej”, starannie wydanym przez Wydawnictwo Miniatura, przeważają haiku,

1 Wszystkie zamieszone tu rekomendacje z Biesiad pierwotnie były publikowane w tygodniku internetowym *Pisarze.pl*.

i to oryginalne, bo bardzo polskie. Takie jak „Haiku na lipę”: *Gałęzie zgięte. / Lipy / w poważnym stanie. / Cięższe o pszczoły*. Albo „Wigilia w porę”: *Myśleli – gwiazdka / a to pęknięta szyba / mądre to okno*. I tak od początku do końca książki. Co tekst, to zaskoczenie. „Haiku grudniowe”: *Noc zimowa / ścina sierpem Księżycą / czerep jemioly*. Jest więc lepiej niż dobrze. Te utwory chciałyby się znać na pamięć.

Tomik został zadbany plastycznie przez grupę twórczą T.OP-tank (Dorota Brodowska, Zbigniew Brodowski, Matt Oxon), która w czasie opracowywania książki i poszczególnych wierszy doskonale wczuła się w radosny, ironiczny, czasem żartobliwy, ale zawsze śmiertelnie poważny ton tomu. To widać po rezultatach. Utwory Katarzyny Boruń działają bodźcowo, stąd niestandardowe pomysły co do użycia apli, komponowania stron i ilustracji, gry ze znakami literowymi, przesunięć, obracania i znaczącego przekształcania linijek wierszy. Te nienatrętne zabiegi bezbłędnie współpracują z wierszami i pogłębiają moc poetyckich ataków na czytelnika. W książkach z wierszami plastykę zwykle widuje się jako wsparcie, ozdabianie, zwracanie uwagi na „geniusz autora”. Tym razem jest to uczciwa robota parapoetycka, niemająca nic wspólnego z epatowaniem czy ornamentacją. Epitet nadany tej książce przez poetkę: „wiersze-grafiki i wiersze-obrazy”, jest bardzo trafny – ta poezja przez słowo, głębokie znaczenie, intrygujący dowcip intelektualny nie tylko uruchamia emocje, ale i poprawia widzenie. Budzi też zazdrość. Oby nie zawiść.

Katarzyna Boruń-Jagodzińska,
Krócej. Wiersze-grafiki i wiersze-
-obrazy. Wydawnictwo Miniatura,
 Kraków 2015. Stron 110.
 Oprawa twarda, płótno.
 ISBN 978-83-7606-698-1.



2. Stefan Chwin: Srebrzysko

W połowie tej książki kluczowe sceny pokazują pogrzeb na gdańskim cmentarzu zwanym „Srebrzysko”. Uroczystość (a może „imprezę”) zakłóca pożar pobliskiego szpitala psychiatrycznego (dziś im. profesora Tadeusza Bilikiewicza), również nazywanego potocznie „Srebrzyskiem”, z którego ucieka para splecionych w uścisku pacjentów i rzuca się do grobu ojca bohatera. Czy to się dzieje w wyobraźni Piotra, który żegna kogoś tak bliskiego jak ojciec? Być może, ale nie jestem pewien. Bo może jest to projekcja własnych (że nie powiem prywatnych) wizji i autobiograficznych okrucich autora. Takich obrazów z pogranicza jawy i fantazji jest w tej powieści wiele. Od nich gęstnieje atmosfera.

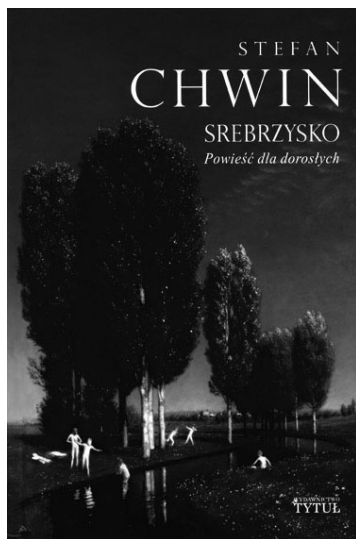
Stefan Chwin, autor tak znanych i cenionych powieści jak „Hanemann”, „Złoty pelikan” czy „Krótka historia pewnego żartu”, czuje się coraz bardziej wolny od konwencji i standardów. Używa coraz bardziej ścisłego języka, coraz lepszej (jak widać, nawet i to w literaturze może się dokonywać) gramatyki i leksyki; jego narracja, budowa scen i zdań jest coraz bardziej precyzyjna, a zarazem obrazowa do granic niemal filmowych, ale to stanowi biegun południowy nieustannie oddalający się od północnego, którym jest tylko pozornie związła historia życia bohatera. Związła, bo sekwencyjna, jednak chaotyczna ze względu na motywacje. Tak jak chaotyczne są zdarzenia życia każdego z nas. Bohaterem jest postać Hiobowa, najpierw wyniesiona wysoko (otrzymuje najwyższe laury zawodowe), a potem upadła (moralnie – bardzo nisko).

Historię Piotra autor – jak łatwo się domyślić – snuje częściowo na znanych z prasy i z książki-wywiadu Michała Komara fragmentach (ale tylko niektórych) życia adwokata i scenarzysty filmowego, senatora Krzysztofa Piesiewicza, wrobionego w skandal. Chwin uczynił tak prawdopodobnie dlatego, że w innym wypadku sens utworu przestałby być czytelny. Odbiorca musi się oprzeć na jakiejś swojej wiedzy, na jakimś ogólnie dostępnym schemacie, żeby móc trawić gromadzone zdarzenia powieściowe, łącznie z porozrzucanymi elementami traktatu filozoficzno-teologicznego. Tak rozumiem istotę tego utworu. Czytelnik zna historię wpłatania znanego senatora w narkotyki i czynione przeciwko niemu szantaże, więc ma do czego odnosić to wszystko, co jest treścią ostatniej fazy życia bohatera Piotra. Życia połamanego jak chaos naszej kultury i niejasność bytu

społecznego, które mają ścisły związek z chrześcijaństwem i które z niego wynikają, ale i jemu się przeciwstawiają. Można powiedzieć, że do ostatniego zdania książki jesteśmy wstrząsani zaskakującymi obrazami i tezami, które zaczynają się przekładać na długotrwały polekturowy niepokój. O to pisarzowi zapewne chodziło. Jeśli tak, to odniósł sukces.

Zasadniczym pytaniem, które sobie stawiamy, oceniając własne życie, jest „dlaczego?”, bo mimo doznania wszystkich tak dobrze sobie znanych losów własnych, niekoniecznie je rozumiemy; a dokładniej: na ogół nie rozumiemy ich wcale. Ale mimo wszystko są w nich ukryte odpowiedzi, rozwiązania, objaśnienia tajemnic. Trzeba jednak ich szukać. Tak jest skonstruowana ta powieść. „Srebrzysko” nie jest broń Boże kryminałem ani książką sensacyjną, ale tak się zachowuje, jakby nią było. Podsuwa dane konieczne do rozpoznania, kto jest złoczyńcą. Daje materiał do odpowiedzi na podstawowe pytania o byt (ludzki) i Byt (nadprzyrodzony). Tyle że odpowiadanie na te pytania (po co?, jak?, dlaczego?) pozostawia czytelnikowi: masz już materiał, a dalej radź sobie sam. To klasyczny model powieściowy, tylko metoda użyta w realizacji – zupełnie nowa.

Stefan Chwin, *Srebrzysko*.
Wydawnictwo Tytuł, Gdańsk 2016.
Stron 364. Oprawa twarda.
ISBN 978-83-89859-65-5.



3. Danuta Gałęcka-Krajewska: *Ślady*

Mało jest książek poetyckich, które opowiadają o czymś ciekawym w sposób, który przyciąga i zastanawia. Przeważają świetnie opakowane banały. Co prawda w pakowaniu tym Polacy są doskonale wytrenowani, stanowimy niewątpliwie światową czołówkę, to jednak nie wystarcza, żeby o takich produkcjach pisać. Nie warto. Warto wspominać jedynie o takich książkach, które mówią coś nowego o czymś, co masz wokół siebie i w sobie, a z czego nie zdawaliśmy sobie sprawy. Ostatnio świetne nowe książki poetyckie, które dotarły do mnie (wiem, że nie wszystkie), napisały przede wszystkim panie, Magdalena Jankowska, Eda Ostrowska, Agnieszka Ochenkowska, Agnieszka Wesołowska, śp. Bogumiła Dziekan, Adriana



Danuta Gałęcka-Krajewska, *Ślady*.
 Agencja KUBA, Warszawa 2015.
 Stron 38. Oprawa miękka.
 ISBN 978-83-63703-08-0.

Szymańska, Krystyna Lars, Krystyna Lenkowska, Krystyna Rodowska, Anna Nasiłowska, Anna Janko.

Teraz także Danuta Gałęcka-Krajewska. Poetka znana w literackich ostępach stolicy od niepamiętnych lat pamiętnych wciąż jest dziewczęciem, fizycznie nie zmieniła się ani na jotę, natomiast poetycko bardzo. Rozwinęła się w stronę niespodziewaną, z delikatnej jak muślin obserwatorki szczegółu stała się mocną strażniczką prawdy o życiu i przemijaniu, z dużą zręcznością balansującą między codzienną rzeczywistością pokoju, kuchni, ulicy a niebieską eschatologią, tą czającą się tuż za krawędzią niebezpiecznego dachu.

Nie szczędzi goryczy ani sobie, ani otoczeniu, ale jest to smak dziwnie łagodny, taki z uśmieszkiem przekory.

Nie ma w tym cienia przesady, Gałęcka operuje słowem z semantyczną precyzją i stanowczo kształtuje czytelnika. Posługuje się metaforą tak, jakby polszczyzna składała się wyłącznie z całkowicie zrozumiałych przenośni. Żeby tak przemawiać, trzeba ogromnego doświadczenia życiowego i językowego w połączeniu z odczuwaniem subtelności brzmień mowy. Być może pomaga poetce praktyka translatorska (z angielskiego; niektóre wiersze pisze także w tym języku), a może jest to skutek rosnącej przez lata odpowiedzialności za słowo, nabywanej z zachłannie czytanych lektur i przyjaźni z Warszawą poetycką, z najlepszymi przedstawicielami tego kręgu. Pewnie towarzyszy jej także maksyma, którą na początku lat 70. ukuliśmy w czasie dysput w kawiarni Związku Literatów Polskich: „Pisać tyle, żeby więcej nie trzeba było”. Polecam niewielką, ale uderzająco kompletną intelektualnie książkę Danuty Gałęckiej-Krajewskiej pod tytułem „Ślady”.

4. Krystyna Lars: Zaprosimy do nieba cały świat

To nie jest poezja, która tworzy paradoksy. Nie nie, to jest poezja, która znajduje i opisuje paradoksy tego świata, naszego życia, naszych wierzeń, wyobrażeń, naszej mądrości i głupoty, logiki i naiwności. Paradoksy takimi, jakimi są w istocie, z dodaniem odrobiny uszczypliwości.

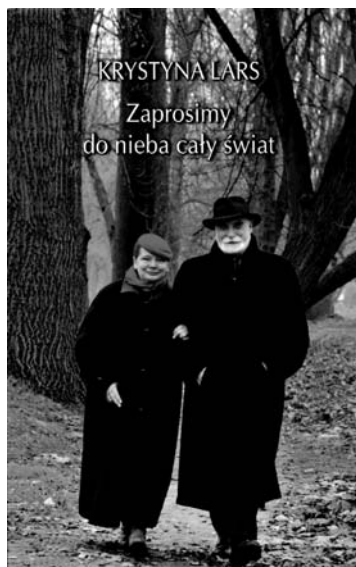
Autorka dystansuje się zarówno wobec siebie, jak i wszystkiego, z czym się styka na co dzień i od święta. Posługując się błyskotliwą obserwacją, pisze prawdę, której nie znamy albo która jest przez ogół łagodzona czy wręcz kryta, choć niekoniecznie jako tabu. Stereotypowe myślenie nakazuje przyjmować, że prawda w literaturze powinna być albo dokuczliwa, albo zaskakująca; że ma burzyć zastane idee i nicować przyjemne futerka, w które jesteśmy odziani, słowem – chwilami męczyć, niepokojąco zbliżać się, żeby nas zranić ostrym pazurem. Tymczasem u Krystyny Lars tak jest nie zawsze, prawie nigdy. Z pewnością nie ingeruje w idee. To mimo wszystko liryka pisana przez delikatną osobę. Pokazuje jednak pojęcia w nowym świetle. „Rzezią ryb / ludzie witają / narodziny Dziecka”, pisze poetka w wierszu „Boże Narodzenie”, a dalej zgrabnie i niby od niechcenia opowiada o tym, jak w związku z chrześcijaństwem i dla niego, bezmyślnie kierowani jakimś nieludzkim obyczajem, poświęcamy największą wartość: życie – od urodzin Pana aż do dziś, przez dwa tysiące czternaście lat. Ale komu poświęcamy? Bogu czy raczej sobie? Może własnej zakłamaney i zachłannej przyjemności? W imię czego? Stawianie takich pytań jest bodaj największą wartością tej poezji.

Nie od rzeczy jest wspomnieć, że jest to poezja znakomita także formalnie. Czasami wpada w rytmy ks. Józefa Baki, o wiele zresztą lepsze i wartościowsze niż u tego barokowego barda przemijania. To zamierzone, a dla wzmocnienia efektu poetka posługuje się oryginalną metaforą, zawsze jasną, zrozumiałą. Rzecz ciekawa, inne utwory, choć pisane wierszem wolnym, mają podobny klimat, brzmiać bujnie...

Mało w tej poezji słów kluczowych, w każdym razie ja ich nie rozpoznaję, ale mimo to ma miejsca tajemnicze, że nie powiem tajemne. Niektóre frazy tak wpadają w ucho (oko?), że czytelnik odruchowo się z nimi brata i próbuje stworzyć własne interpretacje, nazwy tego, co schowane, a co prosi się o wydobycie na światło.

Tytuł książki podpowiada, że Krystyna Lars jako artystka nie ma poczucia, że jest sama czy samotna: gdzieś z przodu, w tle lub z boku znajduje się mąż, postać wszystkim znana, wybitny pisarz i badacz literatury. Na okładce Dominiki Gzowskiej jest jego twarz (obok autorki). Nie zdradzę więc wiele, jeśli dodam, że nazywa się Stefan Chwin. Oboje bardzo eleganccy. Wnikliwych czeka więc dobra rozrywka na wysokim poziomie umysłowym: jakie rąbki wiedzy o domu Chwinów uchyla ta poezja, czym jest dom Chwinów dla innych, a co kryje nawet przed przyjaciółmi (chodź tu nie tyle o ściany, ile atmosferę i ducha). Niezależnie od tego treść książki jest dowodem na to, że Krystyna-żona nie pozostaje w niczym cieniu. Szkoda, że rzadko publikuje. Dobrze, że mamy tę książkę.

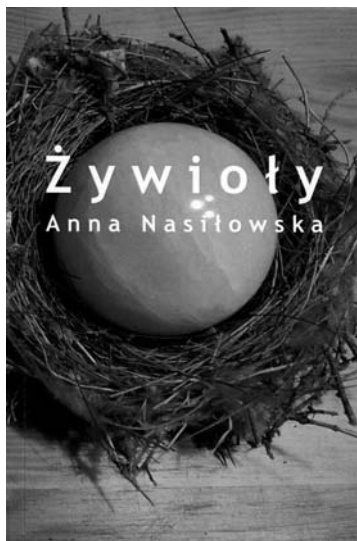
Krystyna Lars,
Zaprosimy do nieba cały świat.
 Wydawnictwo Tytuł,
 Gdańsk 2014. Stron 142.
 ISBN 978-83-89859-19-8.
 Wersja e-book:
 ISBN 978-83-89859-30-3.



5. Anna Nasiłowska: *Żywioły*

Wszystko na opak: o czasach, w których kobiety (sprytnie, bo zza kurtyny) najpełniej rządziły światem, nawiedzony feminizm powiada, że mężczyźni patriarchalnie je wtedy najbardziej gnębili; i jeszcze: jakże często w poezji pisanej przez kobiety czuje się ten ich wysiłek, tę pasję, tę pracę mózgu i mięśni, żeby wiersze były męskie, za wszelką cenę. A nie można normalnie, naturalnie? Można.

Ta książka jest tak kobieca, że trzeba się zastanowić, jak to w tym kontekście jest możliwe. Najpierw Grecja, Grecja, Rzym, Rzym, wraca nowe starożytne, a emocje są chwilami jak u najlepszego Kawafisa, tylko płęć inna. To – na przykład w pięknej literackiej rzeźbie pt. „Safona”. Trudno powiedzieć, czy to jeszcze proza, czy już poezja, poetka sama się nad tym zastanawia. I przyznaje, że nie wie.



Anna Nasiłowska,
Żywioły. Wiersze i prozy poetyckie.
 Staromiejski Dom Kultury,
 Warszawa 2014. Stron 88.
 ISBN 978-83-89492-65-2

O poetyckości nie decyduje w tym tomiku forma, znaczenie ma przede wszystkim klimat, niczym w „Klimatach” André Maurois, tyle że fraza Nasiłowskiej jest nieporównanie lepsza. Ani jednego zbędnego słowa, ani jednej podwójnej puenty, ani jednego przesłodzenia. Można śledzić analizy tajemnic kobiecości, a nie sztucznie klejone maski, z których dla psychologii (i tym samym zwykłego czytelnika) jak dotąd na ogół nic nie wynikało. Rozpiętość między pustym pięknem a głęboką urodą wypełnia się w tej książce tym, czego na co dzień nie potrafimy zrozumieć, a tym bardziej czego prawie nikt nie umie zwięźle definiować.

Uderza odwaga autorki w podejmowaniu tematów boleśnie banalnych, z których wychodzi więcej niż obronną ręką. Chwilami odnoszę wrażenie, że cała ta książka została przez nią ułożona po to, żeby znaleźć pretekst do opublikowania czytelnego ale skomplikowanego utworu „Modelki”, który niczym walec przetacza się po naszych wyobrażeniach o płytkiej, celebrycko-popartowskiej kulturze dzisiejszych czasów. Prawda – jak się okazuje – nie jest ani prosta, ani banalna, ale musiało ją dostrzec bystre oko i podać sprawne pióro.

6. Małgorzata Karolina Piekarska i Maciej Piekarski: Syn dwóch matek

To jest rzecz, którą się połyka w jeden wieczór (dwieście czterdzieści stron, w tym nawrotne oglądanie obrazów), by potem przez wiele następnych dni do niej wracać. Rzecz zapoczątkowana przez Macieja, a utkana przez Małgorzatę. Zbudowana z kilku warstw.

Warstwa pierwsza jest snuta na podstawie reportażu napisanego w 1978 przez znanego historyka sztuki, dziennikarza, varsavianisty, śp. Macieja Piekarskiego (1932-1999), ojca Małgorzaty, o wyprawie w rejony Zamojskie do przyszytego przez wojnę brata, który jako dwuletnie dziecko został odebrany matce, dzisiaj zwanej biologiczną, inaczej: prawdziwej, i wysłany transportem śmierci. Po cudownym ocaleniu znalazł się w sierocińcu, z którego przygarnęli go rodzice Macieja, równie prawdziwi. Potem został odebrany drugiej matce, bo tak nakazywał obowiązek wymyślony przez dorosłych. Z przodu i z tyłu wojna, okupacja, śmierć i ogień. Chłopiec nazywał się Jan Tchórz i pochodził ze wsi na pięknej i żyznej Zamojszczyźnie.

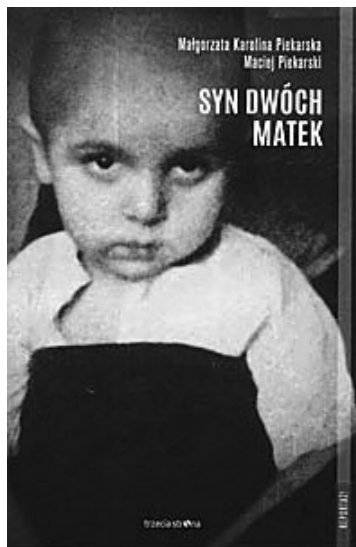
Druga warstwa to rozmowa Małgorzaty z zaświatami, które z woli Nieba nadal są tu, na Ziemi, czyli z ojcem Maciejem, z wyczuwalnym zerkanieniem ku nam, czytelnikom. W pewnym sensie właściwie dyskusja, odświeżanie faktów, analiza pojedynczych zdarzeń i całej historii, poznawanie ludzi, bohaterów bliższych i dalszych tej opowieści.

Trzecia warstwa to z trudem zebrana i po literacku (a ściśle: po mistrzowsku) skomponowana relacja Zofii Tchórzyny, biologicznej matki Jasia.

Te kawałki rozbitego lustra, komentarze, czasem małe eseje, barwne, pojawiają się jak fotografie po kolei wyjmowane z albumu (i rzeczywiście towarzyszą im zdjęcia). Dialogi, dowcipne, na przemian też straszne. Koszmary spletające się z odruchami dobrotliwych serc. Konstrukcja tego utworu momentami niedwuznacznie zachęca do myślenia filmowego, ale takiego z nawrotami, więc z wyświetlaczem własnym, a nie w kinie. Własnym, bo to się przeżywa osobiście, tłum by przeszkadzał. Małgorzata Karolina Piekarska niejedną w życiu świetny film popełniła... dokument czuje jak mało kto.

Wszystkie składniki wzajemnie się przenikają, uzupełniają. Powoli wyłania się z nich panorama – dramatyczny wojenny los Zamojszczyzny, którą Niemcy postanowili spacyfikować, bo im się spodobała. Spacyfikować, to znaczy wysiedlić, wymordować, wypalić do gołego piachu. A potem powracanie do przeszłości, bo przeszłość, jak się okazuje, trwa do dzisiaj. Potem czasy komuny. Nic nie weselszej, no, może trochę. Potem...

Piękna książka, rozedrgana jak życie w popłochu, jak nerwy, które nie zawsze dają się trzymać na wodzy, i jak nieoczekiwane bywają uczucia.



Małgorzata Karolina Piekarska, Maciej Piekarski,
Syn dwóch matek.

Wydawnictwo Trzecia Strona, Warszawa 2016.

Stron 240. ISBN 978-83-64526-38-1.

Piotr Müldner-Nieckowski

Jerzy Sikora

Dybciaak o krytyce i eseju

Najnowsza książka Krzysztofa Dybciaka *Wokół czy w centrum literatury? Studia o krytyce i eseju* składa się z czterech części zatytułowanych: *Teoria; Tradycje; Współczesność; Dzieła eseistów, krytyków i metakrytyków*. Krzysztof Dybciaak jest historykiem i teoretykiem literatury, profesorem zwyczajnym, eseistą, autorem wierszy. Należy do Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

W pierwszej części omawianej publikacji ze szczególnym zainteresowaniem przeczytałem tekst *Wypowiedź poetycka jako akt krytyczny*, napisany wspólnie z Tadeuszem Witkowskim. Mamy tutaj interesująco zestawioną „poetyckość” i „krytyczność” w odniesieniu do reguł mówienia, do procesu komunikacyjnego. Jeszcze w latach siedemdziesiątych młody uczony Krzysztof Dybciaak, hierarchizując funkcje krytyki, jako nadrzędną widzi funkcję pragmatyczną, a jako funkcje drugorzędne: estetyczno-ludyczną, ekspresywną, wartościującą, problematyzującą.

Zawsze mocną stroną Dybciakowego dyskursu jest rozległa wiedza, intuicja przydatna w stawianiu śmiałych, trafnych tez, pozytywnie weryfikowanych w przyszłości, panoramiczność a jednocześnie umiejętność syntetyzowania – przypomnijmy dla przykładu chociażby *Panoramę literatury na obczyźnie* (Kraków 1990). Głębia interpretacyjna, analityczna, wnikliwość i błyskotliwość to kolejne zalety twórczości i badań tego autora. Dybciaak więc do perfekcji opanował dwa naczelne narzędzia wytrawnego literaturoznawcy: analizę i syntezę. Umiejętnie wydaje odważne, a jednocześnie słuszne sądy. Stosuje celne porównania. Na przykład zdolnego krytyka, Macieja Urbanowskiego, w wielu aspektach nobilitująco porównuje z Kazimierzem Wyką.

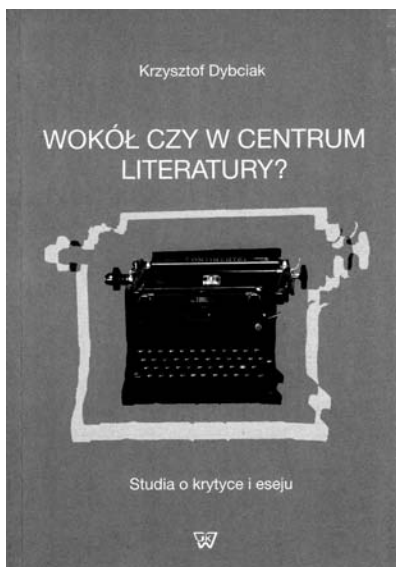
Dybciakowi nieobca jest ironia i dowcip. Skrajnych dekonstrukcjonistów nazywa ble-ble-konstrukcjonistami. Gdy pisze o jednym z krytyków, że „nie balcerzani, nie komplikuje dla popisu”, to oczywiście chodzi o czytelną aluzję do Edwarda Balcerzana. Michała Misiornego nazywa „policjantem myśli”, a wywody Piotra Kuncewicza o literaturze emigracyjnej

– „amatorską partaniną”. Autor studiów o krytyce i eseju kogo trzeba gani, a kogo trzeba chwali – na przykład Tomasza Burka za jego świetny zmysł krytyczny i pisarski kunszt. Czyni uporządkowania, między innymi poprzez budowanie hierarchii. Pisze:

„Chronologicznie pierwszeństwo w procesie naukowego poznawania krytyki literackiej należy się Januszowi Sławińskiemu”.

Zresztą nie tylko chodzi o chronologię. Na wielu miejscach Dybciak chwali Sławińskiego za jego warsztat, talent, za wręcz mistrzostwo tego teoretyka i historyka literatury. Podsumowujący szkic o tym badaczu Dybciak napisał w listopadzie 2014 roku, *in memoriam*, w kilka dni po jego śmierci. Tytuł szkicu brzmi: *Intelektualna droga Janusza Sławińskiego. Od strukturalizmu do antykomunizmu na wyspach wartości*. Kto jeszcze nie przeczytał, powinien to uczynić. To namysł nad twórczością Janusza Sławińskiego, a jednocześnie panoramiczne i porównawcze spojrzenie na całą powojenną metodologię literaturoznawczą.

Zdaniem Dybciaka zbyt mało powstało książek o krytyce i eseju. Esej jest współcześnie – od kilku dekad – bardzo popularną formą piśmiennictwa. Przez to ulega degradacji. Łatwość napisania dobrego eseju jest pozorna i zwodnicza. Uważam, że podobnie jak *stricte* pisarza, tak i krytyka literackiego czy metakrytyka poznajemy po języku. Pokaż język, a powiem, jakim jesteś autorem: dobrym czy złym, ciekawym czy nudnym. Dybciak nie ulega bezmyślnie modom – takim jak skrajny strukturalizm czy postmodernizm. Dla niego ważna jest filozofia personalizmu. Liczy się aksjologia, etyczność, moralność. No i właśnie wspomniany już język. Precyzyjny, dobrze użyty, adekwatny do przekazywanych treści.



Krzysztof Dybciak,
Wokół czy w centrum literatury?
Studia o krytyce i eseju.
Wydawnictwo Uniwersytetu
Kardynała Stefana Wyszyńskiego,
Warszawa 2016.

Dybciaak, interpretując twórczość danego autora, zwykle najpierw pokazuje plusy, a potem minusy. Zauważyłem to nie tylko w publikacjach, ale i naocznie – chociażby podczas prowadzenia spotkań autorskich. Zapewne mamy do czynienia z podejściem psychologicznym: ot, chociażby, aby nie dołować autora. Jednak nie chodzi tutaj tylko o swoistą metodę, ale i – a może przede wszystkim – o obiektywizm wypowiedzianych sądów.

Teksty wcześniej publikowane, a umieszczone w tej książce zostały przez Dybciaaka przejrane, poprawione (w niektórych były ingerencje cenzury) i w kilku przypadkach zmienione. O tym autor informuje w nocie bibliograficznej, gdzie również podaje dane pierwodruków.

Trochę żal, że książka nie ma indeksu osobowego. Byłby dobrym uzupełnieniem publikacji.

Jerzy Sikora

Agnieszka Stabro

Duch w salonie

(fragmenty)

Duchy, ektoplazma, wirujące stoliki, zjawy... Czy możliwe, aby w twórczości największej poetki Dwudziestolecia Międzywojennego, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, dało się odszukać spirytystyczną tematykę, i co więcej, aby wiersze metafizyczne stanowiły odrębny zbiór utworów? Okazuje się, że tak i im „dalej w las”, tym staje się on coraz bardziej gęsty i mroczny.

Maria Pawlikowska pisała o spirytyzmie nie tylko w poezji; ślady jej fascynacji okultyzmem, wróżbiarstwem, magią znajdziemy również w *Zapiskach dziennikowych* poetki, *Szkicowniku poetyckim*, w listach oraz pamiętnikach, a także we wspomnieniach bliskich jej osób.

(...)

Indywidualnym rysem zainteresowań Marii Jasnorzewskiej na tle mody na spirytyzm jest jej równoczesna fascynacja filozofią Dalekiego Wschodu. Poetka starała się poznać źródła metafizycznych teorii, co doprowadziło ją do zachwyty kulturą i filozofią Indii. Oprócz teoretycznego zgłębiania tajemnej wiedzy joginów, uprawiała hatha-jogę, medytowała w pozycji kwiatu lotosu, ćwiczyła panowanie nad oddechem, przez długie lata była wegetarianką. Liczne są jej świadectwa wiary w reinkarnację oraz w powroty dusz na ziemię.

(...)

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska nie tylko czytała dzieła na temat magii i interesowała się teorią ziołolecznictwa, lecz również je praktykowała. Z pozostawionych wspomnień wiemy, że parzyła różnego rodzaju zioła mające wyleczyć konkretne choroby swoje i całej rodziny. Była powszechnie znana wśród przyjaciół z dogłębnej znajomości zasad homeopatii; niejednokrotnie zgłaszano się do niej po radę. W jej domowej zielarskiej apteczce znajdowały się specyfiki mające zapewnić wieczną młodość i urodę, odganiać uroki, zachować organizm w zdrowiu.

(...)

Maria Jasnorzewska na emigracji i w trakcie śmiertelnej choroby nie zrezygnowała również ze swoich magicznych przekonań. W zapiskach dziennikowych, prowadzonych przez poetkę podczas pobytu w Anglii, nie tylko dużo jest modlitw kierowanych do domu, bezpośrednich zwrotów do poszczególnych miesięcy, w których artystka prosi o odmianę losu, lecz przede wszystkim znajdujemy w nich zapisy rozmów z Dobrym Duchem. Jasnorzewska zadawała mu różne pytania, a on jej odpowiadał.

Czy rozmowa z duchem była literacką konwencją, zaczerpniętą z *Księgi Duchów*? Zapisem wchodzenia poetki w trans, w którym łączyła się z nadprzyrodzonymi siłami? Czy stanowi ona dowód mijania się Jasnorzewskiej z rzeczywistością, jest efektem wieloletniego cierpienia fizycznego i psychicznego, żalu, tęsknoty za domem, samotności? Sposobem obrony przed zbyt ciężką rzeczywistością?

(...)

Należy zaznaczyć, iż świadectwa autobiograficzne poetki to materiały bardzo osobiste, nieprzefiltrowane przez literacką wrażliwość, nieaspirujące do miana „utworów”. Stanowią zapis doświadczenia: Pawlikowska relacjonuje w nich na przykład swój sen i odgaduje jego znaczenie, zdaje relację z wizyty ducha Witkacego, wróży z herbacianych fusów. Osobiste notatki Marii Jasnorzewskiej stanowią cenny dowód jej fascynacji pozaziemską rzeczywistością; artystka bowiem pozwala sobie w nich na całkowitą szczerość.

Niektóre fragmenty *Szkicownika poetyckiego* dowodzą również niebywałego odczytania Pawlikowskiej w dziedzinie metafizyki. W jednym z nich poetka opisuje okultystyczne lektury: zastanawia się nad zjawiskiem paligenzy, o którym wiedzę czerpie z „okultystycznych szpargałów” oraz „starej francuskiej encyklopedii magicznej”. Jej wywody nie są teoriami laika, lecz świadczą o bardzo głębokiej wiedzy.

Chociaż świadectwa autobiograficzne przynoszą nam sporo informacji na temat fascynacji Marii Jasnorzewskiej magią, dopiero jej poezja odsłania całe bogactwo zagadnień, które zajmowały artystkę. Jakie wątki zatem znajdziemy w jej lirycznej twórczości?

Przed wszystkim, warto zwrócić uwagę na fakt, że wiersze magiczne ze sobą korespondują. Poetka nie złożyła ich w metafizyczny cykl, lecz wyraźnie widać ich wzajemne odnoszenie się do siebie; w utworze *Rada Pani Girard*, czarownicy Pawlikowska cytuje radę tytułowej czarownicy: „I aby poczuł w sercu tęsknotę i handrę¹ (...) i wpadł w drzwi twoje – wprost

1 Zachowana pisownia oryginalna.

w różową magię”, co jest jasnym odnośnikiem do wiersza *Różowa magia*. Postać Pani Girard pojawia się z kolei w poemacie *Czarownicy Paryża* w części trzeciej: „Na rue de l’Echiquier czarnoksiężka Girard, w saloniku strojnym w malowane osty, opowiada po cichu to, o czym chciałabyś zapomnieć (...)”. Czyżby Jasnorzewska naprawdę otrzymała w Paryżu wskazówkę opisaną w wierszu *Rada Pani Girard, czarownicy?*

Czarownic w poezji Jasnorzewskiej jest sporo. Oprócz wyżej wymienionych utworów, słowo to odnajdujemy również w wierszu *Rodzina czarownicy*, który jest wyznaniem wiary i miłości do świata magii. Symbole owe go świata Jasnorzewska wymienia z łatwością („sowo, nowiu, ropucho”), podobnie jak w *Różowej magii* bez trudu opisuje czarodziejskie rytuały. Motyw czarownicy występuje także w wierszach: *Historia o Czarownicach* oraz *Czarownica – podłotek*.

Magiczna poezja Pawlikowskiej jest nie tylko wspaniałym świadectwem epoki oraz kopalnią wiedzy na temat ówczesnej mody na spirytyzm (dzięki wierszowi *Biała dama* dowiadujemy się na przykład, że seanse spirytystyczne odbywały się przede wszystkim w domach inteligenckich i arystokratycznych, sporo informacji przynosi również wiersz *Poemat spirytystyczny*), lecz przede wszystkim świadczy o dogłębnej teoretycznej wiedzy poetki. Pawlikowska w wierszach często używa ścisłych terminów; ektoplazma, astral, fluid, medium, materializacje, czarodziejskie kule, pierścien Wener, fantomy, odmienione zostają niemal przez wszystkie przypadki.

W utworach magicznych uważny czytelnik odnajdzie opisy popularnych praktyk, związanych z ruchem spirytystycznym: w wierszu *Strach* pobrzmiewają echa mody na robienie fotografii ukazującym się zjawom: „Nie oślepiacie mnie zdjęciem! Pod sufit odpływam, błada...”, w pozostałych utworach pojawiają się relacje z seansów; czytamy o „łańcuchu uczestników”, o stoliku, który „stanął i zamarł bez ruchu”, o połączonych w natchnieniu dłoniach. Dzięki poematom Pawlikowskiej wiemy, że istniały towarzystwa oraz instytuty starające się wyjaśnić naukowo metafizyczne zjawiska, którym Jasnorzewska przyglądała się z uwagą. Z kolei w wierszu *Materializacja* poetka daje dowód swojej erudycji, odwołując się bezpośrednio do Doktora Fausta.

Metafizyka w liryce służy Pawlikowskiej nie tylko przybliżeniu czytelnikowi atmosfery spirytystycznych seansów czy wróżbiarskich gabine-
tów. Zaznajomienie odbiorcy z praktykami magicznymi nie jest jedynym celem omawianego nurtu w dorobku Marii Jasnorzewskiej. Poetka używa

spirytystycznych metafor również jako narzędzia do przedstawienia odwiecznych ludzkich dylematów, a zarazem stale obecnych motywów twórczości: miłości, przemijania, śmierci, związków człowieka z przyrodą. Wiersz *Świat* mówi jest zarazem katalogiem możliwych przyszłych wcieleń i opisem różnorodności świata, w który wpisane jest przemijanie oraz powrót na ziemię w innej postaci. Innym przykładem podwójnej możliwej interpretacji jest wiersz *Nieudany seans*, będący jednocześnie zapisem spirytystycznego spotkania i relacją z miłosnej schadzki kochanków.

Warto zwrócić uwagę na fakt, iż w poezji związanej z magią, wyłączwszy utwory odwołujące się do filozofii indyjskiej (np. *Bajka indyjska*) czy reinkarnacji, pojawia się ironia; zjawisko językowe, którego nie znajdziemy w osobistych świadectwach Jasnorzewskiej. Poetka niejednokrotnie w omawianych wierszach „puszcza oko do czytelnika”, wątpiąc w prawdziwość ukazujących się zjaw oraz duchów. Być może jest to echo demaskowanych nieuczciwych praktyk niektórych mediów, które okazywały się oszustami i sprawnymi manipulatorami. Maria Pawlikowska, będąc zafascynowana magią, zachowywała zdrowy dystans wobec różnych jej przejawów, niejednokrotnie ironizując na temat seansów spirytystycznych i kpiąc z napływających zewsząd wiadomości, nie poddając się całkowicie wszechogarniającej manii.

Na koniec rozważań o magicznym nurcie w poezji Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej przyjrzyjmy się utworowi *Bajka indyjska*. Już przy pierwszej pobieżnej lekturze, daje się zauważyć szczegółową znajomość przez Pawlikowską hinduskiej oraz indyjskiej mitologii, a także religii. Poetka wymienia w wierszu nie tylko dobrze znane imiona wcieleń Wisznu czy Kriszny² (Hari), ale także ich dużo mniej znane przydomki (Gowinda, Madana, Kama, Madhawa, Madana), z łatwością operuje nazwami geograficznymi (Wrindawana). Utwór ten, podobnie jak pozostałe wiersze omawianego nurtu, może być odczytywany na dwóch płaszczyznach; jako tytułowa indyjska baśń i uniwersalna przypowieść. Figura Hari wykorzystana została do opowiedzenia ponadczasowej historii o miłości oraz o uczuciowym zawodzie; poetka mistrzowsko użyła indyjskiej „scenografii”, by opisać emocje towarzyszące sercowemu rozczarowaniu, bez względu na czas czy miejsce rodzącej się namiętności.

Echa indyjskiej filozofii pobrzmiewają także w wierszu *Słowik i świt*, w którym Jasnorzewska posługuje się pojęciem „maja”, oznaczającym kosmiczną iluzję i nicość, zepsucie, narastający bezład. Indyjski termin nie

2 Dwa najważniejsze bóstwa hinduizmu.

jest wbrew pozorom negatywny; wręcz przeciwnie. Dzięki przemianie może nastać bowiem nowy porządek oraz nowy ład, a kosmos narodzić się ponownie. Powyższy utwór dowodzi, że hinduski system filozoficzno-religijny jest inspiracją dla Pawlikowskiej, co łączy się bezpośrednio z jej erudycją przyrodniczą.

Wiersze magiczne Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej zasługują zatem na uwagę. Są one bowiem nie tylko świadectwem mody na spirytyzm początków XX wieku, lecz przekazują głębsze przesłanie. Poetka posługuje się w nich terminami i metaforą z zakresu metafizyki, po to, by oddać treści ponadczasowe i przekazać czytelnikom, że istnieje coś więcej poza przyziemnym, doczesnym, materialnym światem; rzeczywistość, której człowiek nie jest w stanie ogarnąć ani zmysłami, ani rozumem. Istota ludzka jest wpisana w porządek kosmosu, który nieustannie ulega przemianom, jest częścią przyrody, a zatem, tak samo jak natura, podlega procesom przemijania, śmierci, rozpadu. Jedynym ocaleniem jest miłość, będąca tak ulotną jak zjawy z ektoplazmy; życie, w które wpisany jest kres, polega na szukaniu jej i odnajdywaniu wciąż od nowa.

Agnieszka Stabro

Tekst pochodzi z przedmowy do wyboru wierszy Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej pt. *Wiersze magiczne*. Wybór i przedmowa: Agnieszka Stabro, Wydawnictwo Miniatura, Kraków, grudzień 2016.



Katarzyna Wójcik

Warszawski mit o Orfeuszu

Mit jako tworzywo literackie nie dezaktualizuje się mimo mającej kilka tysięcy lat tradycji. Jego dzianie się poza czasem pozwala zbudować na nim narrację, rozgrywającą się w każdej sytuacji historycznej, zilustrować opowieść w sposób współczesny.

Świadkiem takiego działania, zrealizowania się mitu w historii XX wieku, staje się czytelnik powieści *Rikszą do nieba* Krzysztofa Beśki. Oto historia o Orfeuszu, zstępującym do Hadesu, by wydostać z niego ukochaną Eurydykę, zostaje swobodnie połączona z rzeczywistością II wojny światowej. W archetypiczną postać mitologicznego boga wciela się adept sztuki teatralnej, student polonistyki na tajnych kompletach, Antek. Jego wojenne przejścia – akcja powieści rozgrywa się w latach 1941–1943 i jest kontynuacją przygód tego samego bohatera z poprzedniego tomu, *Autoportret z samowarem* – są wyraźnie igraszką Losu; większość podejmowanych przez niego działań opiera się przede wszystkim na intuicji, impulsie (nawiązanie współpracy z organizacją podziemną umotywowane jest nadzieją zrobienia wrażenia na poznanej na tajnym uniwersytecie dziewczynie), a cudowne wychodzenie z kolejnych opresji to dowód na niezwykłą przychylność Mojr przedających nić jego życia. Gdy wskutek zbiegu okoliczności Antek staje się świadkiem zabójstwa Leo Coxa (postaci wzorowanej na Igo Symie), dyrektora Theater der Stadt Warschau, kolaboranta III Rzeszy, zastrzelonego przez działaczy konspiracyjnych, jego historia nabiera rozpędu. Zmuszony do ucieczki z okupowanej stolicy, przedostaje się w okolice Radomia, skąd po ponad ośmiu miesiącach wraca do Warszawy. Zanim jednak opuści rodzinny dom i powróci do niego, wraz z ojcem wejdzie w posiadanie skarbu, odbitego z rąk złodziei. Spieniężone złoto z walizek rabusiów zostanie zainwestowane w niezwykle pomysłowy sposób: zakup tytułowej rikszy, która od tej pory będzie zarówno „żywicielką” rodziny, jak i „uczestniczką” tragicznych wydarzeń i równie bohaterskich, co nieprzemyślanych czynów Antka: kursów za mury getta, ratowania żydowskiej dziewczyny

z rąk szmalcownika, wiozącego ją do siedziby Gestapo, drobnych przysług dla podziemia, które o mało co skończyłyby się dla niego tragicznie. Także dzięki niej warszawski Orfeusz spotka swoją Eurydykę – Żydówkę Leę, siostrę kolegi z liceum. Poddając się wpływom Erosa, nie przypuszcza nawet, że za chwile szczęścia będzie musiał zapłacić najwyższą cenę. Jego ukochana, podająca się za Włoszkę, zostanie zdemaskowana i zamknięta w warszawskim getcie, które lada chwila ma zostać zlikwidowane.

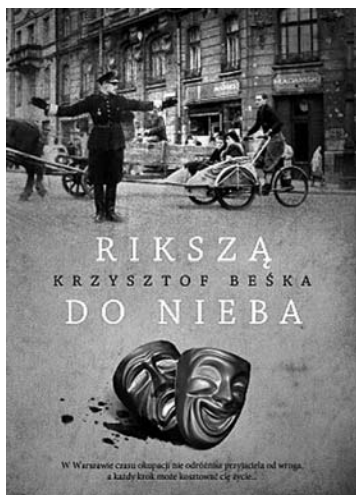
Jak w antycznym teatrze, głównego bohatera wielokrotnie ratuje w ostatniej chwili *deus ex machina*, przyjmujący różną postać: Mazura zwerbowanego do niemieckiego wojska, dziewczyny współpracującej z oddziałem partyzanckim czy przypadkowych ludzi, którzy wciągnąwszy go do bramy, ratują przed Niemcami. Początkowo dwudziestojednolatek, wrzucony do młóździerza historii, wykazuje się asekurancką postawą. Na skutek zetknięcia się z empatią i ofiarnością napotkanych na swej dwuletniej drodze do dorosłości ludzi, finalnie znajdzie w sobie odwagę, by stanąć po stronie słabszych i z góry przegranych. Ten proces inicjacji rozgrywa się także w wymiarze rzeczywistym – bohater otrzymuje nowe imię, nową tożsamość, której przyjęcie okaże się dla niego bardzo kłopotliwe.

Historia Antka nie jest jedyną opowieścią w książce. Jego postać jest kryterium jednoczącym wszystkie wątki, ale tak naprawdę stanowi wyjaśnienie historii niejako paralelnej, choć późniejszej czasowo, bo dziejącej się w 1968 roku. Marek Konarski, asystent na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, po wydarzeniach marcowych trafia do więzienia za uratowanie dziewczyny przed milicjantami. Tam poznaje osadzonego razem z nim w jednej celi mężczyznę, który opowiada mu swoją wojenną historię – historię Antka. Spotkanie to jest kolejnym elementem bożego igrzyska rozgrywającego się na kartach tej książki. Marka i poznanego w więzieniu mężczyznę Los zetknie ze sobą ponownie (choć w tym przypadku można się zastanawiać, czy to istotnie przeznaczenie, czy celowe działanie jednego z nich). Ta troistość narracji – prolog stanowi bowiem opis wywiadu z Markiem w podeszłym już wieku – jest dopełnieniem układu przyczynowo-skutkowego, na którym opiera się struktura powieści.

Wydarzenia, składające się na jej jednolitą formę, koncentrują się w możliwie krótkich sekwencjach, ściśle jednak ze sobą powiązanych. Przejścia pomiędzy nimi, pozwalające zachować ciągłość fabuły, wynikają zazwyczaj z działań i myśli bohatera. Pozostaje między tymi odcinkami pewna sfera niedopowiedzeń, często wyjaśniana w dalszej części książki, choć nie zawsze. Ta swoista gra z czytelnikiem przywodzi na myśl

konwencje z kryminałów, choć z pewnością nie jest to powieść w tym gatunku – usytuować ją należy gdzieś pomiędzy powieścią sensacyjną a przygodową.

Historia warszawskiego Orfeusza, który pchany miłością do Eurydyki-Lei znalazł w sobie siłę i odwagę żeby zmylić groźnych Cerberów i zejść w sam środek piekła, jest urzeczywistnieniem wciąż rozgrywającego się mitu, w którym człowiek nieustannie walczy z przeznaczeniem. Mitu, którego zakończenie być może wcale nie jest z góry przesądzone...



Krzysztof Beśka, *Riksza do nieba*.

Wyd. Melanż, Warszawa 2016.

Stron 580.

ISBN: 978-83-64378-28-7

Jerzy Binkowski

Alfons Jerzy Popiełuszko – błogosławiony z wody

Imię rodzi się w głowie matki i ojca wcześniej
niż zobaczą na własne oczy wilgotne i śliskie ciało dziecka
i ochrzczili chłopca imieniem świętego Alfonsa Maria de Liguori

*Od różańca i godzinek o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi
od trzeźwego patrzenia na siebie i innych ludzi w rachunku sumienia
od bezustannego obdarzania innych dobrocią i duchową pociechą*

*Święty Alfons prosił Boga o światło lepszego poznania siebie
prosił o łaskę Bożego natchnienia w pracy nad swoimi wadami
prawdziwie i solidnie załatwiał wszystkie sprawy jakie mu powierzono*

*Brat Alfons z wielką roztropnością przejmował rolę kierownika duchowego
umiał cierpliwie słuchać odpowiadając uważnie na Boże natchnienie
furtianin oddany nieustannej modlitwie i mistycznej kontemplacji*

A dzisiaj mówią o Tobie inaczej – ALKU – męczenniku
mówią: ksiądz Jerzy od solidarności – od zwyciężania zła dobrem
Jak nauczyłeś się dostrzegać wyraziście dobro ponad złem?

Czy stało się tak gdy rano wychodziłeś z krowami na łąkę
a może gdy jeszcze ze śpiącymi oczyma siedłeś pilnować gęsi
i tak bardzo zimno mgliście i ciemno było dokoła Okopów?

Pewnie na barany i owce nie krzyczałeś w zagrodzie mamy i taty
z pewnością tłumaczyłeś im „jak dziad krowie na rowie”:
kochaj bliźniego swego jak Ducha Świętego

I wiele lat później znaleziono Twe ciało mokre i śliskie
a jeszcze później nazwano Ciebie jakby żartobliwie
BŁOGOSŁAWIONY czyli SZCZĘŚLIWY

Jan P. Grabowski¹

Poranne światła na niebie

Ze środy (w Trzech Króli) na czwartek niemal całą noc nie spałem.
(Takie różne dzienne sprawy nie pozwoliły mi oka zmrużyć).
Prawie do szóstej coś tam – na pewno nie wiersz – pisałem.
A tuż zaraz przed wpół do siódmej do sklepiu po bułki szedłem.

Tu i tam ktoś gdzieś się śpieszył. Jak to o tej porze się zdarza.
A ja – mimo całkiem mocnego mrozu – stanąłem. Bo oto
gdzieś tak na południowo-wschodnim niebie w nowiu, cienki
sierp Księżycy się żarzył. (Jakby dogasał w tym mrozie?).

A tuż obok świecił Saturn i – znacznie od niego jaśniej – Wenus.
Doprawdy, niemal w Trzech Króli... trzy jasne światła na niebie:
czyż mógłbym spodziewać się w ten świt piękniejszego widoku?
Pięknie także światło popielate na Księżycu było widoczne.

Dopiero, gdy mróz w policzki i nos zaczął mnie szczypać,
do sklepiu zaszedłem. Na dworze ten i ów gdzieś w swoich
sprawach się śpieszył. Na niebo nie miał czasu spoglądać.
Kto wie, czy dostrzegał więcej niż godzinę, dwie przed sobą.

¹ Dwa z zestawu pięciu wierszy, który otrzymał w 2016 r. II nagrodę – ex aequo (pierwszej i trzeciej nie przyznano) na XXVII edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Władysława Broniewskiego „O Liść Dębu” w Płocku.

„Łącząca ich więź była ulotniejsza od powietrza”²

Albo: Czytając opowiadania Patricii Highsmith

Marzec. Pogoda jak zły sen: ciemno,
szaro i ponuro. Od miesiąca nawet
skrawka Słońca. Nie wiadomo także
co się dzieje na wieczornym niebie.

Kiedy te dni jak zły sen się skończą?
Kiedy powieje łagodniejszy wiatr
i będzie można odetchnąć słoneczną
przestrzenią? Czy kiedyś to nastąpi?

Oto opowiadania Patricii Highsmith
rozświetlające te dni. Już robi się
jasno od samych tytułów. Bo czyż
Poranki nieskończonych możliwości

to nie piękny tytuł? To jest historia
więzi – niespodziewanej – bardzo
samotnych osób: 32-letniego Aarona
Bentleya i 10-letniej Freyi Wolstnom.

Akcja dzieje się gdzieś w „zaszytym
w zieleni” miasteczku Clement u
podnóża „zielononiebieskich gór”.
No i jeszcze te poranki. Gdy Aaron

„Pospieszył do okna i opierając się
na parapecie, spojrzał poprzez zieleni
na ociężałe słońce, które posuwało
się do góry w drgającym powietrzu”.

Zapomnienie o marnej pogodzie oraz
ucieczka przed „nieskończoną pustką”
marcowych, bezsłonecznych, zimnych
dni: opowiadania Patricii Highsmith.

2 Fragment opowiadania Patricii Highsmith (1921-1995) pt. *Poranki nieskończonych możliwości* (*The Mightiest Mornings*), w tłumaczeniu Magdaleny Słysz.

Joanna Jagiełło

* * *

Oglądam wizerunki dzieci z Aleppo

Chłopaki z nadrukami na koszulkach palą ognisko
Nie-marshmallow na patyku, kawałki gruzu albo myszy
Całe kolejki kręconych główek z wiaderkami nie do piasku
Dziewczynka wygrzebana spod gruzów śpi w niepościeli
Chłopiec w białym pyłe jak w mące patrzy w niebo
Szuka w chmurach ciasteczek, których dziś nie upiekł

I ci ojcowie niosący martwych synów jak dary dla Boga
Dziś, kiedy się narodził

Dziś kiedy się nie narodził patrzę w jego twarz
Azteckiego bożka
Żydowskiego dziecka
Dziecka z Powstania Warszawskiego
Dziecka z Aleppo

Eugeniusz Kasjanowicz

Aleksandria

Park księżnej Ogińskiej
dawniej pełny nimf i bogiń
śpiewów poczęstunków
Staw z wyspą
na której w roku 1783
Stanisław Poniatowski
spożywał śniadanie –
– został płacz wierzby
Ścieżki przygniecione jak plecy staruszka
asfaltowym bagażem
kanały - żyły parku
którymi znowu płyną życiodajne krople
Jak dobrze spojrzeć na drzewa
miłość Aleksandry
otwiera się liśćmi
W letnie popołudnie
odczuwam przychyłność natury
choć coraz bardziej
odsłania swoją bezdomność
Wchodzę w rozłożysty cień
jeszcze ptaki nie opuściły nas
na dobre i złe
więc pomyślmy o nadchodzącym dniu
by wiosną nie czuć ramienia
zawieszonego w samotności

On i ona

Włosy zlepione jak ich życie
 ręce pomarszczone i sine
 żywią się okruchami
 jak dwa wróble
 czasem na ulicach
 zapadają w sen
 On i Ona
 bezimienni
 dają życie swe
 wiatrowi
 On i Ona
 zabłąkani
 w wielkim lesie
 ludzkich nóg
 żyły często wybuchają
 rozrywając skrawek snu
 On i Ona
 kochankowie bram ulicznych
 ze strzykawkami w kieszeniach
 swoją fatamorganą
 czasem zaśpiewają
 Help
 i rozpływają się jak mgła
 w naszych
 odległych oczach

Eugeniusz Kasjanowicz

Andrzej Tadeusz Kijowski

Elegia dla Marka Rosiaka

Bronisławowi Wildsteinowi

To jest wiersz spod krzyża dla tych osób,
Które zła się boją, nie chcą wierzyć.
To ostatni rozpaczliwy sposób
By się przez tę waszą drwinę przebić.

Wy szepczecie: ciszej nad Rosiakiem.
Chcecie cieszyć się swobód dostatkiem.
On był wszakże gorejącym krzakiem.
Zginął, poległ z nienawiści bratniej!

Przyzywacie heroiczne czasy.
Dzwonki do drzwi, zabrane paszporty.
Kiedy trzeba wspomnieć Pyjasa.
Śmierć Przemyska. Zbuntowane porty.

Nie ma portów i stocznie sprzedane.
Rząd zaciera ślady po zamachu.
Gdzie zostało zabitych nad ranem.
Stu naiwnych, prawdziwych Polaków.

Nie ma pracy! Od lat, od miesięcy.
Wolno mówić, można emigrować.
Pod krzyżami krzyczą ludzie – z nędzy.
Gdzie się chcecie przed ich skargą schować?

Rosną mury. Te bramy kodowe:
Piny, Nipy i dostęp do sieci.
Ludzie czują historyczną zmoję
I że czają się na nas – sąsiedzi.

Jakże trudno uwierzyć nad ranem,
Że dzień nie wstał, że mrok nas zasnuwa.
Jeszcze śnisz, tłumisz lęk, pijesz kawę.
Jeszcze marzysz o sztuce – co długa.

Krótką sztuką a długie uniki:
Mackiewiczą, Szymborskiej, Ważyka.
Co się strzegli ludowej paniki.
Nie widzieli jak świat wokół znikał.

Nie wierzyli: w mydło z ludzkiej skóry,
Rozstrzelanych jak Nil strzałem w ciemię.
Was smoleńskie zaślepiają chmury.
Drwiną pustą głuszycie sumienie.

Wiersz sprowokowany mądrym tekstem
Bronisława Wildsteina i przypomnieniem
postaci Marka Rosiaka w „Rzeczpospolitej”
w felietonie z 6 marca 2011 pt. *Długie życie
medialnych kłamstw*.

Andrzej Tadeusz Kijowski

ks. Janusz Adam Kobierski

Impresje włoskie

Włoska sztuka
jak źródło chwały
na wieki wieków.

*

Rzym
to na pierwsze wejrzenie architektura
z kolorytem historii.

*

Arcydzieła sztuki
zdumiewają także grzesznością ich twórców
(Dante, Michał Anioł, Caravaggio...)
Może są dla nich przepustką do nieba (?)

*

Czy artysta, by wznieść się wysoko,
musi najpierw upaść nisko –
sięgnąć dna?

*

Włoski błękit w górze i złote światło
stanowią idealne tło dla Italii –
pięknej jak dekoracje z baśni dzieciństwa.

2016

Gabriela Kurylewicz

Tren na odejście kultury

Żal mi drzew, psów
niekochanych, starych
ludzi, zaniedbanych dzieci,
koni wiezionych na rzeź.

Żal mi fortepianów i pianin,
których się nie szanuje,
i myli z urządzeniami
tępej technologii.

Żal mi dawnej architektury,
posłusznej krajobrazom
Ziemi, żal mi książek,
które wzrastały długo.

I jeszcze mi szkoda sztuki,
która była powszechna
i potrzebna jak czyste
powietrze i woda źródeł.

Cholera żal.

1 IX 2016

Oda do kwiatów i lasu

Tulipany też płaczą,
a ich rozpacz
przynosi im
ulgę śmierci.

Róże płaczą
albo schną
dostojnie
i pięknie.

Tylko drzewa
znikają bez śladu
w moim zniszczonym
mieście.

A przecież drzewa –
gdyby rosły
w wiekuistym lesie,
nie tkniętym
piłą ani farbą ludzką,
nie umierałyby nigdy.

Tylko by przechodziły
wdzięcznie w inne
osobowości i gatunki
drzew, krzewów,
grzybów i kwiatów.

Boże,
wskaz nam drogę
powrotu
do lasów
utraconych.

Nam, biednym ludziom,
drzewom,
różom,
tulipanom,
wszystkim cebulkom
Ziemi.

1 X 16

* * *

Siatka czy drut
kalosz czy but
ojciec czy matka
ser czy serwatka
drut czy siatka
?
A może śrut
i kołatka
—
Przeciw koziołkom
rodakom i matołkom
?

30 VIII 2016. Uwaga: czytać w kółko!

Nie możemy zginąć

Nie możemy zginąć,
choć zginąć łatwo.
Fale walą z przodu,
a my z tyłu tratwą.
Dom nasz sprzedano,
zrabowano trzody.
Z lądu nas zepchnięto.
Ratują nas wody
słone morze i oceanów,
a także księżyc
i gwiazdy i rejony
nieskończoności.
Nie możemy
nie dopłynąć.

9 VIII 16

Gabriela Kurylewicz

Adam Lizakowski

(z wierszy lwowskich)

Lwów

Kamienne lwy nabożnie łapy złożyły
grzywy ich mokną w lipcowej ulewie
oczy szlochają kroplami wody

bramy miasta otwarte jak wszechświat
filozofa klasycznego wydrapującego
kluczem krzywe litery greckie

cisza miasto jeszcze się nie obudziło
aksamit nocy mieszał się z szarością
budzącego się dnia zacierając granice

nieufności konserwatyzmu i współczesności
z zakamarków zaułków niezaadresowane
wiersze nieśmiało jak koty czały się

senni poeci stawiali pierwsze litery
umysły ich przeżarte wódką, odwagą
zawiścią, miłością, nienasycone ciekawością

spoglądały na miasto lwów które za ogon
złapał towarzysz stalin

– wielki, okrągły promienny słonecznikowy
złoty uśmiech

zamienił się w nieszczęśliwy srebrny uśmiech
sierpowego księżycy

Łyczakowska 55

Trzypiętrowy dom w kształcie ula
a przed nim rój starych, szarych kobiet
sprzedaje zwiędły koperek, ogórki
książki, sowieckie rublówki z głową lenina

na skórze domu wytatuowano
napis w dwóch językach
ukraińskiego i polsku

*poeta
mieszkał w tym domu
w latach 1924-1933*

Trzypiętrowy dom jest jak słonecznik
opisany piórem poety filozofa
wyrażający sens istnienia ula i pszczoł
słońca i słonecznika

jest jeszcze muzyka ulicy i muzyka domu
zapisana nastrojem ludzi, bólów głowy
pogody, śpiewem ptaków, muzyką słów

Trzypiętrowy dom oczywisty jak
Cegła, schody, komin czyli tajemnica bytu
albo zrozumienie świata i człowieka poprzez
niedomówienie w kształcie klucza do drzwi

Kaplica Boimów

Kaplica Boimów
jest metaforą pieśni renesansowej
rozpisanej na farbę kamień wyobraźnię
świętych jak malowanych podczas
odmawiania pacierzy rozmyślania o
rzeczach ziemskich co na obiad w niedzielę
modlitewnikiem jest są usta rzeźbionych

i dłuto rzeźbiarza
od patrzenia oczy nie bołą
jedynie szyja wiotka jak trawa
lub giętka jak fala morska
serce puchnie ze zdziwienia rośnie
jak drożdże w butli ze śliwkami
mocno uderzy do głowy zamkniętej w
szkatułce-kaplicy mocne ciała wykute
w kruchym kamieniu piękno lekkiej
duszy zamknięte w prośbie
mów do mnie mów do mnie mów do mnie
ludzie poganiani przez pory roku
wojny i dramaty sceny Męki Pańskiej:
„Biczowanie”, „Niesienie krzyża”,
„Ukrzyżowanie” i „Zdjęcie z krzyża”.
czas wydobył z dna kamiennego morza
które podnosi się i opada na ramiona
matki ziemi
popiół ludzkiej pamięci w której czas
zamienił się w pająka próbującego
zarzucać sieć na sekundy i minuty
w grobowej ciszy kaplicy tak pięknej
jak rysunkowe filmy amerykańskie
wyświetlane w niedzielny poranek

Jerzy Marciniak

Ostatnia Noc

*Paulinie Dąbrowny z Wrocławia
za życzliwe życzenia*

i była twoja jasna twarz
i nasza noc
i dzień nie mój
i twoja suknia przez wiatr tkana
w misterny biały krój

i nasze szepty
i ten kolejny
nie mój dzień
i twoje oczy tam wpatrzone
gdzie nasze chwile
po cichu szły za nocą w cień

i była twoja jasna postać
w stronę mokradeł idąca
i twoja długa suknia biała
w mroku niczym
pochodnia powoli gasnąca

i była cisza
taka w jasnych barwach
niezmącona
a później śmiech i płacz kobiety
na którą mówiono... pomyłona

nad ranem we wsi jakiś stary
zaskrzypiał próg
i wiatr idący od strony łąk
przystanął
a potem rozbiegł się w tysiące dróg

ktoś mi powiedział
widzieli ludzie
jak pociągiem odjechała

nie chciałem w to wierzyć
pobiegłem w stronę mokradeł
lecz tam była
tylko... twoja suknia biała

Mariusz Olbromski

Plejady

*Plejady to gwiazdozbiór już październikowy
J.I.*

Plejady błędzą nad Stawiskiem
jak niegdyś tutaj zawsze tęskne sny
o srebrnej lirze Dniepru pod Kijowem,
o Kreszczniku, gdy kwitną tam bzy.

I Szymanowski tonów kosmos
wprost z Tymoszówki i Zarudzia
przenosił tu i step z Helladą łączył,
nim sam przeminął w cień i w mit.
Ze zdjęcia patrzy zadumany jeszcze,
w którym poświata gwiezdna łśni.

Plejady krążą nad Stawiskiem,
za parkiem w dali gdzieś szczekają psy;
w tunelu drzew kolejka z szumem
ciągnie jakby przyjeżdżał ktoś z daleka,
gdzie kurhan za kurhanem milczy.
Kołatał wiatrem tu do drzwi.

Strofy listopadowe

Wiatr poprzewracał plansze
zdjęć z Krzemieńca na balkonie.
I nocą padło rajske drzewo,
które jeszcze Anna sadziła
wiosną, na jasnym życia brzegu.

Mgły zaduszkowe w parku idą,
czasem padają długie deszcze.

Nagle wichury z pieśnią głuchą
miotają zwilgłe liście w przestrzeń.

Serce jest tylko kruchą lampką,
która oświeśla grobowcową
ciemność, gdzie myśl poważna
wciąż kołacze „otwórz, otwórz”...
w chwili najzwyczajniejszych,
wtedy, teraz rapsody ciemne.

14 XI 2015

Tiutiubejki

A tiutiubejek w sypialni cała kolekcja,
może, by nakryć nimi tak głowę,
aby zatrzymać myśli o Wschodzie:

blaski i miodny zapach stepów Ukrainy,
wnętrza pałaców, sen o tamtym domu,
i tylu ludzi, którzy tam istnieli raz jedynie
ich brzmienia rozmów, rozhovorów.

Sen złotych kopuł Kijowa nad Dnieprem,
prężącą w rozblaskach pożogę.
Pławienie koni, a w Tymoszwówce lecące
w stepy przez uchylone okna tony.

I piękne śpiewy siostr w Daszowie nocami,
polskie i ukraińskie pieśni rzewne.
I ta daremność, może nawet trwoga,
że się jest stawem zawsze nazbyt małym,
by tamten cud istnienia znowu odbić.
I chociaż tak – ocalić niezupełnie.

Joanna Papużyńska

Perz

Już mnie wyrwali, wykopali
wszystką ziemię ze mnie wytrzepali
ułożyli ciało w słońcu, żeby wyszło.
Dobrze mi jest. Nie cierpię.
Uchodzi ze mnie wilgoć jak krew.
Z jasności w ciemność
i z ciemności w jasność
łagodnym kołysaniem.
I tylko powoli
od spodu
w ziemię wkręcam
te kłacza
doprawdy niechący.

* * *

bracie bólu
oswajam twoje
umiesz być delikatny
tak przelotnie cię znałam
i budziłeś strach
teraz mieszkamy razem
w przebudzeniu we śnie
nasze rozstanie może być śmiertelne
ty też beze mnie gdzie pójdziesz
musimy się ułożyć
jeszcze mogą ci dać więcej miejsca

* * *

Dostałam tylko kawałeczek światła

Jak w dzieciństwie, gdy kładło się na głowę worek
 Z wyciętymi szparkami by udawać ducha
 Albo kata
 z piosenki o tej krakowiance
 Co listeczki zbierała pod zieloną lipką.
 W okienku czasem srebrny termometr zaświeci
 To ręka się pokaże
 Mocująca kroplówkę
 Twarze bliskich pocięte smutkiem
 Hostia o poranku
 I w pustej dali ułamek sufitu.

* * *

Poezja się zaczyna od naszej dziwności,
 że płaczą się po głowie myśli których ani
 przy rodzinnym obiedzie,
 ni przy herbacie w pracy
 wypowiedzieć nie sposób nie budząc popłochu.
 Szukamy zatem kogoś
 kto może włada tą samą mową.
 Zwinięte arkusiki nosimy w kieszeniach.
 Powoli zarastamy
 samotnością,
 coraz mniej nas obchodzi
 cokolwiek nie jest wierszem.
 Wreszcie spotykamy poetów
 lecz oni
 nie zamierzają słuchać, pragną tylko mówić.
 Możliwe jest jedynie wspólne narzekanie.
 Zostaje jeszcze Pan Bóg
 z Jego cierpliwością
 dla wszelkich naszych stękań.
 W końcu zatracamy granicę
 między wierszem a pacierzem.

Alicja Patey-Grabowska

Chwila

*Już nie powtórzy się ta chwila
jak rzeka która się nie cofa
morze ją wchłonie bo głęboka
przestrzeń dla mgnienia – lot motyla*

*Już nie powtórzy się ta chwila
jak błysk flesza w aparacie
jak moment – elektryczne zwarcie
by potem ciemność nas spowiła*

*Więc pijmy chwilę –
dobre wino
Toast za życia niespodzianki*

*Nic nie wiadomo co się stanie
Jutro Pojutrze
Niech żyje teraz !*

Styczeń 2017

Jestem

*„Pokaż nam
swoją twarz
a uwierzemy”*

Jestem

*w ludzkim ciele
w DNA
atomach*

kwarkach
neutrinach

Znam
wasz ból
i cierpienie

Wszak
przybito mnie do krzyża

Wierzcie
lub nie wierzcie

ale Jestem
Który Jestem

Ja
Alfa i Omega
BÓG

Styczeń 2017

Krystyna Rodowska

Bezsenna

kołatanie nocy w piersiach
czas na czatach
tyka
nasłuchiwanie losu

4.05.2016

Jest się czymś więcej

Co z tobą? – pytam raz po raz leżącą
od prawie miesiąca, w której chorym ciele
ugrzęzłam z coraz silniejszym pragnieniem
wyszamotania się stamtąd
oby szybko

– Co z tobą? – nie rozumiem. I nie czekając
dłużej na odpowiedź wybiegam
między drzewa na wietrze gwiazdy tuż nad głową,
odżywam w świecie zapachu czeremchy.

W takiej chwili wierzę
że jest się czymś więcej niż dotkliwym
ciałem

13-14.05.2016

OM

Annie Sobolewskiej

owija się wokół
mojej osi
kręgi wibrują
szybciej
coraz szybciej
ja wsiąka w przestrzeń
jest wir błysk
delikatnie potężne
tchnienie życia planet
i oceanów
korzonków roślin
i deszczu za oknem
rośnie we mnie
i w obok śniących
cisza
rodzi
dźwięk

Kocie Memento*pamięci Baciaka*

nasz kot umierał tak bardzo
po ludzku na moim łóżku

do ostatka walczył chrapliwie
o każdy łyk oddechu
każdy dzień odtąd wpisuje
jego agonię w ciało
mego lęku

Baciaku – naucz odchodzić
na bezszelestnych jak twoje

łapach w nieistnienie

twoja niema śmierć
okociła się we mnie

16.07.2016

Ze snów o wolności

wystrzeliłam, jak kiedyś, *żabką* w stronę światła
nad oceanem zachłannym w dole

coraz wyżej, bez lęku, w ryzykownym
uniformie żeńskiego ciała

raptem w uchu dzwoneczek
perlisty

już on wie co z tą kosmiczną
awanturą zrobić

18.04.2016

Krystyna Rodowska

Barbara Rosiek

* * *

przyjacielowi

zaczarowałeś mnie...
co jeszcze mogę
jedynie oddać ci ciało i duszę
a sama skonam w twoich ramionach
zakochana po śmierć głęboką

zatrzymałeś mnie w ramionach...

uczę się dopiero fruwać
szukam innego gniazda
ale błąkam się jak pozbawiona czułości
nie wiem ... może ty?

* * *

mamie

jesteś zawsze przy mnie
co mogę ci ofiarować oprócz miłości?
ucieczkę w nie twoje marzenia
smutek i tęsknotę
kiedy obozuję w psychiatryku
samotność pustych wieczorów
niepokojnych nocy
kiedy nie potrafię trafić
do własnego łóżka

czy miłość wystarczy?

* * *

boisz się

może to lepiej bo przecież
bywasz zbyt odważna kiedy mocujesz się z losem
to niepotrzebne by wyrazić miłość
albo we śnie zaprzeczyć

modlitwa poranna jest lepsza od porannej dawki
draga na śniadanie
bo wieczorem już nie masz wyboru przegrywasz

ważna jest moc ducha masz go w sobie
pamiętaj nikt za ciebie nie przeżyje
chwil tego piękna duszy który masz od Boga

cichutko powoli z pomocną dłonią
boskiego przeznaczenia
pochylasz się nad nowo narodzonym sobą
i łzę uronisz
może nic więcej ci nie jest potrzebne
tylko ten moment który dostrzegasz jako człowiek

bycie ludzkim załatwia wszystko

Barbara Rosiek

Krzysztof Rudziński

Oda do Księgi Życia Jana Pawła II

Księgo, której inicjał z wadowickiej fary
 chrzcielnicy swój rodowód chwalebny nasycy,
 gdzie *wszystko się zaczęło* z rodzicielskiej wiary
 – powołanie – kapłaństwa *dar i tajemnica*.
 Opatrznościowi ludzie i Boże zrządzienia
 jak Książęcia Sapiehy opiekuńczy prymat;
 skok z wakacyjnej łodzi w biskupstwa nadanie,
 a później – ster największej – tej biskupa Rzymu.
 Treść Twoją rozpoznało na ponad wiek wcześniej
 proroctwo wieszczą, w którego nazwisku – Słowo
 swój znak odcisnęło – prawdopodobną pieczęć –
 pod wymownie ukrytą liczby mnogiej mową.

Dokończona w cierpieniu, drżącą podpisaną
 ręką – trzydziestu jeden tysięcy Jego dni
 i nocy, Księgo Życia, z której – na kolanach –
 wnętrza winniśmy czytać, póki nas przemieni...
 – Duch Święty – On – też czytał – widzieliśmy sami –
 gdy na oczach milionów obracał Twe strony
 – niby wiatr je kartkując, wstawał zachwycony –
 i ciągle tam powracał, muskając stopami
 wieko trumny na Placu. – Był kwiecień zielony,
 lecz my w tym rzymskim kwietniu błędzacy, zmysłami
 byliśmy nieobecni, stojąc sierotami.
 Nie było nic jak przedtem tej pamiętnej wiosny,
 trzydzieści siedem minut po Apelu Polski,
 zanim już w świat wiadomość dźwięcznie dzwony niosły,
 a świat w sobie oniemiał i zdał się bez steru
 w tamten wieczór żałobny, obcy, bezlitosny.
 Lecz Duch wciąż dalej czytał, choć znał Cię na pamięć,
 i od nowa podziwiał, wspominając wszystko;
 znów wiernie cud majowy Wadowicom stwarzał,

gdy pierwszy krzyk i oddech ust poczęty z niego,
jeszcze nie słowa, przecież papieża przyszłego –
był cudem pierwotnym zwycięstwa nad Wisłą.

A wiatr – dalej wertował i wśród zamyślenia,
zwilżając Boską śliną czasem Boży palec,

tak tym palcem natchnionym coraz strony zmieniał
jak to miałeś w zwyczaju, Wojtyło Kochany.
I tak dotarł do końca, i ostatnim tchnieniem
zamykając okładkę – zamknął pontyfikat
w Niedzieli Miłosierdzia Wiecznego Przestrzeni –
skąd jaśnieć będzie odtąd Twój bezcenny wydruk
jak wola testamentu ojcowskiego, według
Jana Pawła Wielkiego *Świętego natychmiast* –
jawnie, wobec aniołów ludzi planet gwiazd.

Wciąż dziękować

Uczynić z Eucharystii swoją lampkę wieczną,
Pochodnię ranków wczesnych, latarnię wieczorów,
Drogowskaz, doczesności najpiękniejszą porę
Spotkania z Bogiem żywym, chwilę nieśmiertelną.
Zaczerpnąć zbawczej rosy, by nie pragnąć więcej.
Odkryć perłę bezcenną, której się nie ima
Ani mól śmiertelności, ani złodziej hardy
Na ostatecznym szlaku ziemskiego pielgrzyma.
Rwać grona i żąć kłosa pokarmu wiecznego,
Nieustającą radość Hostii spożywania.
Dobywać miłosierdzia klejnoty Bożego,
Niezniszczalnego skarbu z Bogiem obcowania.
A potem w cieniu drzewa nad szumiącą wodą
Strumienia, który płynie pieśnią nad pieśniami,
Wyśpiewać szczęście dziecka Dawida psalmami
I słowami swych wierszy Stwórcy wciąż dziękować.

Krzysztof Rudziński

Piotr Müldner-Nieckowski

* * *

Jednak mimo wszystko na przekór tym
którzy sądzą że to wszystko od rana do wieczora
jest piękne i przyjemne
powiem że widziałem przed chwilą
jak uderzony pies wgryzał się
w rękę i próbował sięgnąć szyi

Jerzy Śleszyński

Skąd

Skąd ta złość
do niekulturalnych programów o kulturze
do wiadomości zbytecznych lub głupich
do zapowiedzi książek nie do przeczytania
do filmów nakręconych jak makaron na uszy
do muzyki która urąga klasycznej ciszy
do prowadzących donikąd lub na oślep
do Chacińskiego stanowczego jak Goebbels
do Torbickiej przygotowanej jak szkolny prymus
do Audio-tele dla każdego idioty

powód może być banalny
ledwo ledwo żyję
a wciąż jeszcze chciałbym wiedzieć
po co

Głosowanie

Don Alonso Quijada
dochodzi do władzy i wniosku
że musi mieć miecz i zbroję

skradzioną cynową miskę
zakłada dumnie na głowę jak hełm
i nikt mu już nie podskoczy

co prawda w szynku zjawia się cyrulik
smęci i domaga się zwrotu miski
ale wokół są obywatele i to oni zdecydują

odbywa się demokratyczne głosowanie

większość głosów stawia że na głowie
rycerza jest hełm a nie cudza miska

cyrulik zostaje wyśmiany i przepędzony
Cervantes o tym milczy i nie wiadomo
czy cyrulik wybrał wewnętrzną emigrację

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Beztroski dar

Płynęliśmy,
wtuleni w kołdry jak w latające dywany
unosiliśmy się nad światem ulicy,
widzieliśmy obie strony powietrza,
bezzadną próżnię między nimi,
otwarte usta bez dna,
czarne dziury światła,
kres bezkresu.
Nieosadzeni na ziemi dostatecznie
korzystaliśmy z daru latania
zbyt beztrosko, aby zawrócić.

Wróżba

W najprostszym miejscu wszystko się zagmatwa,
tratwa odbije od brzegu i stoczy się stromym zboczem,
krzykliwy cień stanie na drodze chęciom,
most wykolei nadzieję na zmiany,
pytaniom zabraknie oddechu, a odpowiedziom sensu,
skrzywi się wyobraźnia na samą myśl –
wówczas odtajesz na przekór mniemaniom...

Pole widzenia

W moim oknie ziemia wschodzi na wschodzie
i chyli się ku upadkowi,
jak wszędzie,
dzwony dzwonią na radość i na śmierć,
kościół grzeje ciepłem kaloryferów.
W moim oknie smród wdziera się pod pachy chmurom,

jak wszędzie,
pod wieczór niebo zachodzi wstydem.
W moim oknie muchy zostawiają tłuste ślady,
a pomalowany ptak nie śpiewa.

Spowiedź

Babuleńka od grzechów
przyszła wypowiadać swój świat
przed TYM, który wszystko widzi:
– A wiesz, Panie,
że już nic nie jest takie jak dawniej,
nawet z tobą trudno mi się porozumieć,
ja żałuję i żałuję,
a ty nic tylko wybaczasz.

Konrad Sutarski

Wezwanie o zmierzchu o świecie

Wzywam was drodzy a nieznani mi przyjaciele
moi starzy pomarli i rozstrzelani
ci spod strzaskanych sosen zza rozbitych czołgów
z moglił zbiorowych gdzie i mój ojciec leży
z pierzchającego już świata jakże starej wojny
którą zbrodniarze ludom rozpętali
którą już tylko my – cośmy ocaleli – znamy

Świat potrzebuje nas jako świadków
jak grzmotu przestrogi
kiedy znów chmury wzbierają ciemniejąc
kiedy ponownie ktoś podpala lasy
bombarduje miasta odległe świątynie
wieżę Babel tam burzy nasyła szakale
by przepędzać ludzi na kontynent drugi
narody mieszać języki i wiarę

Dlatego powstać już teraz musicie
wy pomordowani na wszech końcach globu
by choć kometą zabłysnąć na niebie
znów zjednoczyć się z nami cośmy jeszcze tutaj
wichurą i gradem klątwą gdzieś z zaświatów
rzucaną na tych co zagładę głoszą

Wiara

Wiara wtedy jest prawdziwa
jeśli wszystkim żyć pozwala
jeśli ludzi kochać daje
błękit nieba im przybliża
zapach traw przynosi

Wtedy staje się promieniem
najwyższego słońca prawdy
kiedy zgadza się by inne wiary
dostęp do powietrza miały
by w oazach tam gdzie pokój
ptaki również im śpiewały

Wtedy staje się przelotem łagodnych jaskółek
pozdrowieniami: „jak się masz mój drogi”
choć nie znam go wcale
ani on mnie nie zna

Głoszę to stojąc na progu kościoła
który mnie jeszcze w dzieciństwie wychował
który krzyż dobrotliwy do ręki mi włożył
choć są też krzyże krwi pełne i męki

Głoszę to bo wokół groza i bomby szaleją
to pożogą to zgłiszczami wieszcząc
że nie przyjaźń nie miłość są źródłami wiary
a kłamstwo podstęp i zbrodnia chcą już triumfować
Jakkolwiek pożogi glob cały pustoszą
i chociaż są ludzie co mamonie co złym bogom służą
nie gódźmy się aby
ci których wiara w nienawiść prowadzi
nas ujarzmić mieli

2016

Janusz Andrzejczak

Szaaa...

Kosiarki, kosiarki, kosiarki... Niezliczone koła, niepoliczone nożyce ludzkich nóg rozjeżdżają, tną powietrze miasta. Bez ustanku dysząc, sapiąc, krztusząc się, charcząc, terkocze niszczarka ciszy. Kosiarki na ulicach, kosiarki w powietrzu.

Uciec od nich! Jak najdalej, jak najdalej, uciec, uciec, uciec...

Ruszył.

Poza śródmieściem, w dzielnicy jednorodzinnych domków, niemal na każdym prywatnym trawniku buczała kosiarka. Dobrze utrzymany trawnik, to przecież tyle a tyle wysokości trawy i ani milimetra więcej. Przyrosła w nocy o milimetr, dwa? Odpalanie kosiarki. To nic, że w upalne, suche lata kosiarki na miejskich trawnikach tną suche badyle co jeszcze bardziej wysusza czekającą na lepszy czas trawę. Kosić, kosić, kosić. A gdy już nie ma co, bo jesień, odpalanie następnych, czyli kosiarek od przedmuchiwania z chodników opadłych liści. To nic, że ledwie kosiarz doszedł do końca, wiatr je z powrotem nawiał na chodnik. Kosić, kosić, kosić. Elektrycznie, spalinowo, samojezdnie, e-ko-lo-gicz-nie. Żeby było zadbanie, estetycznie. No i koniecznie należy wydłubać każdy najmniejszy nawet strzęp zielonego z chodników. Bo człowiek może się na tym potknąć, pośliznąć, bo zieleń wygląda brzydko tam, gdzie jej być nie powinno. Gdzie być powinno, a gdzie nie, urzędnicy zapisali i umieścili w szufladach tabelek i wykresów. Drżycie malownicze łąny mnisków, stokrotek, krwawników, rumianków, ślazu, powoju. Ma być – e-ko-lo-gicz-nie.

Nie było ucieczki od kosiarek. W lesie rozkawałkowały ciszę piły spalinowe, nad Hańczą cięły ją kompresory do ładowania butli dla płetwonurków, a zdarzało się, że nawet i do Tajemni, ni stąd, ni zowąd, docierali kosiarze czyniący na niej gwałt głośnym zachowaniem.

Kosić, dmuchać, dłubać... Ma być jak w Niemczech, Holandii, Danii, a nie jak za Bugiem.

Kupił kolejowy bilet na Podlasie.

Całą niemal drogę od Torunia do Warszawy buczały kosiarki. Od Warszawy na wschód, powoli, powoli, z każdym kilometrem tępiły się, by bliżej Białegostoku, znów wyszczerzyć swe ostre kły.

Wsiadł w autobus na Supraśl i wysiadł po drodze na dzikim przystanku w Puszczy Knyszyńskiej. Po kilku kilometrach puszczańskich dróg, trafił na polanę. Było na niej kilka malowniczych, drewnianych, starych chałup. Przed nimi stały terenowe auta z rejestracjami wielkich miast, głównie z Warszawy, a przed bramami wjazdowymi – gotowe do koszenia ciszy quady. Jazgotały kosiarki.

Pouciekali z hałasu swych miast... – westchnął.

Szedł na wschód, w tereny przygraniczne. Gdy minęły go dwa quady z kosiarzami zahelmionymi w trupie czaszki, przypomniał sobie wahadło – Anioła Śmierci z kosą przy głównym wejściu do katedry w Kartuzach. Nie wytrzymał. Nagle skręcił w chaszczę. Potykał się, przewracał, szarpał czepliowymi, ostrymi krzewami odzienie, ale szedł jak obłąkany, przed siebie, byle daleko, daleko, gdziekolwiek!

Wył w sobie z bezradności, z pragnienia ucieczki – gdziekolwiek, gdziekolwiek, byle daleko od kosiarek!

Aż dotarł do pewnej wiosenki, w której były kryte strzechą, jeszcze z belkami poutykanymi mchem chałupy i studnie z żurawiami. Za kilkoma domostwami, w nieodległym tle, melancholiła się rozległa ściana brzeziny. Zapatrzył się w nią. Była w niej jakaś nieogarniona nostalgia, jakaś za czymś tęsknota, smutek jakiś, łkanie jakieś, skarga jakaś... Coś go do niej ciągnęło, coś się w niej przed nim otwierało, coś zapraszało w głąb... Usiadł pod wielką lipą, w której brzęczała jeszcze pamięć lipca. Wyjął kanapkę, butelkę z napojem i zaczął się posilać. W pobliskiej zagrodzie nie przestawał szczekać pies. Do obrosłego mchem i porostami starego, drewnianego płotu podeszła starowinka i od razu skierowała wzrok na niego.

– Wejdzie pan do izby – zaprosiła.

Wstał, podszedł do otwartej już furtki. Czarny kundelek rzucił się na niego ze szczekiem.

– Cichutko piesku, bo cię ugryzę – zażartował.

Piesek zamerdał na jego słowa ogonkiem, obwąchał go i zaczął się łaścić.

– Pan wejdzie, zrobię herbatę – zachęciła gospodyni.

Wszedł do izby schylając głowę pod niskim progiem, kłaniając się tym samym ikonie.

– Ślawa hospodi Isusu Kristu – powiedział.

– Prawosławny?

– Nie, ale co za różnica, jestem wierzącym chrześcijaninem.

Nagle coś go tknęło. Skądś znał ten głos...

– Nie mam wiele, tylko suszone jabłka – powiedziała starowinka, zdejmując znad kuchennego, kaflowego pieca sznur nawleczonych na nitkę jabłczanych płatków.

– Zje pan, zaraz zrobię herbatę – powiedziała poprawiając chustę w kolorowe kwiaty i stawiając na kuchni emaliowany, ozdobiony dokładnie takimi samymi kwiatami czajnik.

Gdy już stał na ogniu, usiadła naprzeciw niego i patrzyła mu w oczy.

I zobaczył w nich tę samą brzezinę, którą przed chwilą widział za jej domem.

Tę samą w nich nieogarnioną nostalgię, jakąś za czymś tęsknotę, smutek jakiś, łkanie jakieś, skargę jakąś, ale i blik, światełko w powłóczyście mgły jej oczu.

Rozmawiali ze sobą bez słów. Dowiedział się, że w brzezynie jest mały drewniany domeczek, raczej szopka, w której mógłby zamieszkać na stałe.

Po poczęstunku wyszli przed dom, a ona przyłożyła pionowo palec do ust, drugą ręką wskazując na brzezinę.

– Szaaaa... – wyszeptała.

I poszedł.

I gdy tak szedł do swej pustelni powiał wiatr, a nieskończoność żółtych liści sypała się z nieba, ścieliła się przed nim dywanem i układała w wiersz...

Skomłę wołam krzyczę
z tęsknoty
do kaflowego pieca
do jego żeliwnych drzwiczek
do jego ciepła na plecach

Wołam ze swej pustelni
od rusztów żeber
po popielnik
mój piecu piecyku
do siebie mnie
przytul

Za jaśminowym tęsknię płotem
za karmnikiem z głogu z jarzębin
wołam i łzawię
ze swoich głębin

do studni z żurawiem

Tęsknię do woni siana
w kopcach w stogach w stodole
do dymu z palonych łątów
snującego się polem

Tęsknię do chałup krytych strzechą
do świętych tęsknię sosen

Gdy już nic z tego
i do mgielnej postaci tęsknię
niosącej kosę

Janusz Andrzejczak

Krzysztof Beška

Konstelacja zbrodni

(fragmenty)

Frombork, dzień trzeci

Tomasz Horn ocknął się zziębnięty i zeszytywniały. Nie planował zapadać w drzemkę, okoliczności i miejsce nijak temu nie sprzyjały, jednak stało się inaczej. Na szczęście nikt nie dostrzegł mężczyzny koczującego pod drewnianym mostkiem, prowadzącym do bramy południowej kompleksu katedralnego.

Przez pierwsze chwile, od kiedy Horn wybiegł przez otwarte i nie pilnowane drzwi posterunku i znalazł się na zewnątrz, chciał... wrócić. Wrócić i przeprosić. Zamiast tego jednak szedł coraz szybciej. Nogi najwyraźniej wiedziały lepiej niż głowa. Działał, jakby wprowadzono go w jakiś trans. Adrenalina przydała mu sił, jednak strach nie pozwalał na zbyt gwałtowne ruchy.

Zawsze zastanawiał się, jak to jest być ściganym. Nie wyobrażał sobie żyć w czasie wojny, gdy każdy spacer po mieście mógł się zakończyć uliczną łapanką, a każda noc waleniem w drzwi mieszkania. A jak potem, podczas stanu wojennego, radzili sobie poszukiwani ludzie z opozycji? Czy wystarczyło zapuścić brodę, aby mieć większe szanse, że przejdzie się spokojnie ulicą? Dziś mówiło się o operacjach plastycznych, które miały uchronić na przykład świadka koronnego przed zemstą byłych kompanów z gangu.

Rozmyślenia te przerwał tupot, który rozległ się nad jego głową. Kiepski byłby z niego Indianin albo traper, jednak nie miał problemu z oceną, że to kroki jednej osoby, w dodatku kobiety. Z nadzieją w sercu wychynął ostrożnie z kryjóWKi. I serce, struchlałe i małe dotąd niczym serce zajmą, aż podskoczyło mu z radości, bowiem drogą wzdłuż muru szła Monika Lauder.

Niewiele myśląc, Horn wyszedł spod mostka, wspiał się na skarpe, wciągając jednocześnie koszulę w spodnie. Dygotał z zimna. Będąc już na szczycie fosy, odwrócił się, aby sprawdzić, czy nikt więcej nie idzie

mostkiem. Dopiero potem pojął, że i tak byłoby za późno na ponowne ukrycie się.

Na szczęście było czysto. W kilku susach znalazł się przy antropolożce, która odwróciła się akurat w chwili, gdy chciał chwycić ją za rękę.

– Boże... – jęknęła.

Położył palec na ustach.

– Jestem niewinny – szepnął.

– Wiem.

– Możesz mnie gdzieś przechować?

* * *

W kilku zdaniach opowiedzieli sobie o wszystkim, co wydarzyło się od chwili rozstania w nocy. Potem w łazience kurii, w której mieszkała Monika, Horn mógł doprowadzić się do porządku. Umył twarz i spojrzął w lustro. Zdążył już nieźle zarosnąć, ale może to i dobrze. Broda pomoże w kamuflażu. Chwilę potem podzielił się tą myślą z dziewczyną. W odpowiedzi Monika Lauder wstała i sięgnęła do jakiegoś pudełka.

– Mam lepszy pomysł – powiedziała z tajemniczą miną, jakby chodziło o jakąś zabawę, wyjmując z pudełka kolejne pudełko.

– Co to jest?

– Twoja nowa twarz.

Horn zmusił się do śmiechu. Dziewczyna bez słowa otworzyła pojemnik, skąd wydobyła z kolei kilka foliowych torebek.

– Człowiek, który wykonywał dla nas rekonstrukcję znalezionej czaszki Kopernika starą i wypróbowaną w kryminalistyce metodą Gierasimowa, używał między innymi tych materiałów, pomocnych w innej, nowej metodzie.

– Co to jest? – zapytał raz jeszcze.

– To doskonałej jakości gumowe nosy, policzki i tak dalej. Są też kompletne twarze...

Horn pokręcił głową.

– Żartujesz! – prychnął.

Jednak dziewczyna najwyraźniej wcale nie miała takiego zamiaru.

– Mamy do rozwiązania kilka zagadek – ciągnęła z powagą, ale też wyraźnie wyczuwalną pasją – i najwyraźniej nie jesteśmy jedynymi, którzy chcą tego dokonać. Ktoś, kto zabił Rosłonia i chciał zrobić ciebie, pewnie zainteresowany jest wykopaliskami. Może nawet wie, czego szuka.

– W odróżnieniu od nas.

– Jeśli mamy cokolwiek razem zrobić, musimy mieć przynajmniej szczątkowy komfort pracy, a takim będzie na pewno spokój z policją. Poza tym nie będziesz się do końca życia ukrywał. Będziesz musiał prędzej czy później zjawić się u jakiegoś adwokata albo przynajmniej w swojej redakcji.

– Nie mam redakcji. Dopiero staram się o pracę.

– To już coś.

Horn słuchał z napiętą uwagą. Nie można było nie przyznać tej dziewczynie racji. Z drugiej strony zawsze odczuwał fizyczny wstręt przez nakładaniem sobie czegośkolwiek na twarz: maseczek, podkładu czy pudru, nie wspominając już o używaniu szkieł kontaktowych. Nie musiał, wzrok miał niezły, ale znał ludzi, gotowych wsadzić sobie coś do oka, aby tylko zmienić ich kolor.

Tymczasem w palcach dziewczyny pojawiła się jedna ze wspomnianych twarzy. Wyglądała makabrycznie może za sprawą oczu, a raczej pary dziur w miejscu, gdzie powinny się znajdować.

Horn wzdrygnął się.

– Nie ruszaj się. – Monika przybliżyła wynalazek do twarzy mężczyzny.

Zdziwił się, bo to, co poczuł, było nawet przyjemne. Lauder pewnie ułożyła maskę na jego twarzy i zaczęła poprawiać jej ułożenie palcami. Właśnie ugniatała silikon poniżej oczu, kiedy rozległo się pukanie. Nie zdążyła zareagować; drzwi otworzyły się i w progu pokoju stanął aspirant Wasilewski.

Widząc antropolożkę z rękami wyciągniętymi w stronę siedzącego naprzeciwko mężczyzny, chrząknął z zakłopotaniem, wycierając podeszwy butów na nieistniejącej słomiance.

– Przepraszam.

– Coś się stało? – zapytała Monika, wstając.

– Chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań w sprawie dzisiejszego poranka... Dzień dobry panu – rzucił ponad ramieniem dziewczyny.

Horn skinął głową, po czym również wstał i skierował się w stronę łazienki.

– Zaraz zejdę – odpowiedziała Lauder. – Znajomy z uczelni przyjechał dziś rano, muszę zaprowadzić go do muzeum.

– Umówmy się za kwadrans, na komendzie – rzekł Wasilewski.

Policjant zniknął za drzwiami. Tomasz czuł, jak pot wzdyma mu jego nowe, gumowe policzki. Dotknął ich palcami i przycisnął mocniej do prawdziwych.

Muzeum Mikołaja Kopernika na fromborskim Katedralnym Wzgórzu nie przeżywało w okresie wakacyjnym większego najazdu gości niż przez pozostałe miesiące. W lipcu i sierpniu byli to zazwyczaj turyści odwiedzający miasteczko, często przybywający statkami z Krynicy Morskiej. W czasie roku szkolnego zaś – właśnie szkolne wycieczki, i to z całej Polski. Ich natężenie było raz większe, raz mniejsze. Nie było jednak dnia, żeby progu muzeum, które zaczęło swą działalność w roku 1912 od jednej salki w wieży Kopernika, a dziś działającego w przestronnych wnętrzach dawnego pałacu biskupiego, nie przekroczyła ani jedna osoba.

W ciągu niespełna wieku działalności instytucja wzbogaciła się o niemal cztery tysiące eksponatów, bardziej lub mniej związanych z osobą wielkiego astronoma. Aby zatem poznać i obejrzeć wszystkie, należałoby poświęcić nawet kilka godzin.

Monika Lauder i Tomasz Horn nie mieli tyle czasu.

– Szybko załatwiłaś sprawę na posterunku – powiedział dziennikarz.

– Na szczęście nie chodziło im o ciebie, tylko o dzisiejszą historię ze zdewastowaniem grobu Kopernika – odpowiedziała.

– Nic więcej nie słyszałaś? Nie ściągają antyterrorystów, żeby mnie dorwali?

Spojrzała na niego z ukosa. Kamuflaż był niezły, dla pewności Horn miał na głowie czapkę z daszkiem, a na nosie ciemne okulary

– Podziwiam cię. Jakbyś zupełnie się nie przejmował...

– Jeszcze zdążę popłakać.

Prawda jednak była zupełnie inna: Horn nie przestał ani na chwilę rozważać możliwości powrotu na posterunek, pokajania się i dobrowolnego włożenia dłoni w „bransoletki”.

Mostkiem, pod którym kilka godzin wcześniej koczował dziennikarz, para weszła na teren warowni. Byli dokładnie w cieniu bramy, kiedy Monika na chwilę zwolniła.

– Jeszcze jedno – powiedziała. – Musimy ustalić, jak mam się do ciebie oficjalnie zwracać.

– Patrz! – Horn klepnął się w gumowe czoło. – A już prawie zapomniałem, że mam to coś na twarzy.

– Przestaniesz się kiedyś zgrywać?

– Mów mi Maciek.

– To twoje drugie imię?

– Nie mam drugiego. Za to mam drugą twarz. I chyba pożyczę ją sobie na dłużej.

Weszli do pałacu biskupiego. Monika przywitała się z jedną z przewodniczek i przedstawiła towarzysza. Przewodniczka zaprowadziła ich od razu do sali, gdzie znajdowały się przedmioty najściślej związane z Kopernikiem. Przede wszystkim były to dokumenty, których autorstwo przypisywano astronomowi.

– Kiepsko to widzę – mruknął Horn.

– Dlaczego?

– Przecież to już tyle lat. Co mogło po nim zostać? Byłem kiedyś w Czarnolesie, gdzie działa muzeum Kochanowskiego. Nie było tam nic, co by do niego należało. Żadnych pamiątek! Nawet dwór stoi zupełnie inny. I tylko miejsce, gdzie rosła kiedyś lipa. Prawdopodobnie. Poza tym zawsze można takie rzeczy wykonać współcześnie i potem nabierać ludzi, że należały do kogoś znanego. Wystarczy wziąć znany obraz Jana Matejki i już wiemy, czego nam potrzeba: księgi, kwadrant, cyrkiel, jakaś lampa.

– Interesuje nas jeden z dokumentów, który Kopernik prawdopodobnie sporządził na krótko przed śmiercią. Rosłoń twierdził, że to...

Nie dokończyła. Rozległ się krzyk prowadzącej ich przewodniczki. Kobieta stała z wycelowanym w jeden punkt palcem.

– Kto... kto śmiał?! – artykułowała z największym trudem.

Przed nimi znajdował się rząd szklanych gablot, w nich książki, a także dokumenty. Szkło jednej z nich zostało rozbite. Krzyk przewodniczki zaalarmował „panie krzeselkowe”, które zeszły się błyskawicznie i tłumnie na miejsce przestępstwa.

– Za późno – skwitował ze złością Horn.

– Jeszcze nie wszystko stracone. – Monika pociągnęła go za rękaw. – Chodźmy stąd.

* * *

Droga na ulicę Braniewską, gdzie w wynajętej części niewielkiego domku naprzeciwko cmentarza mieściła się kwatera Ludwika Rosłonia, zajęła im pięć minut. Horn zdziwił się, kiedy na dziesięć metrów, które dzieliły ich od wejścia, Monika jakby nigdy nic wyciągnęła z kieszeni pęk kluczy i zadzwoniła nimi.

– Kim właściwie był dla ciebie Rosłoń? – zapytał.

– To jest już teraz bez znaczenia.

Zbliżyli się do drzwi. Całe pokryte były papierową taśmą z czerwonymi pieczętkami komendy powiatowej policji w Braniewie.

– Nie dziwię się – podsumował Horn, jednak dziewczyna uśmiechnęła się cwaniacko. – Drugie wejście? – zapytał. – I do niego również masz klucz?

Odpowiedziało mu kolejne potrząśnięcie pękiem kluczy. Po chwili znaleźli się w ciemnym, krótkim przedsionku. Roznosił się tu zapach charakterystyczny dla wiejskich domów. Monika poruszała się po domostwie pewnie. Horn postanowił, że nie będzie jej już więcej pytał o to, co łączyło ją z nieżyjącym archeologiem-amatorem.

Znaleźli się w obszernym pokoju pełniącym najpewniej funkcję salonu i pracowni.

– Ludwik Rosłoń zdążył wykonać zdjęcia dokumentów – powiedziała antropolożka. – Wszystko trzymał w tej skrzynce. – Wskazała palcem na spory kuferek rodem z cepelii.

Podeszli bliżej. Dziewczyna podważyła jednym z kluczy wieczko i uniosła je do góry.

– Są.

Po chwili trzymała w rękach zdjęcia. Trzy z nich przedstawiały wieże kościołów, dwa składały się na jakiś dokument.

– Co to jest? – zapytał Horn.

– Strona tytułowa *Komentarzyka*, pierwszego dzieła Kopernika. To właśnie ona została skradziona z gabloty w muzeum.

– Co jest takiego niezwykłego w stronie tytułowej? – Horn skrzywił się, a może to tylko zmarszczyła się maska, którą wciąż miał na twarzy.

– Po pierwsze to, że Szwedzi nie ukradli jej podczas najazdu na Polskę i nie znajduje się w tej chwili, jak już ci mówiłam, w bibliotece uniwersytetu Upsali – rzekła z powagą Monika. – A po drugie to... Zresztą sam zobacz.

Tomasz wziął do ręki zdjęcie. Nie znał się na starych dokumentach, jednak to, co od razu rzuciło mu się w oczy, to dwa rodzaje pisma. Litera drukowane w tamtym czasie niewiele różniły się od liter pisanych. Jedno łacińskie zdanie biegło po nieco pochyłej linii i wyglądało na ręcznie dopisane. Na szczęście łatwo było je odczytać.

– *Sagittarius in remontissimo angulo terrae*. – Horn spojrzał pytająco na dziewczynę,

– *In remontissimo angulo terrae*, czyli najodleglejszy zakątek ziemi – przetłumaczyła szybko dziewczyna. – Właśnie tak Kopernik nazwał Frombork w swojej dedykacji najważniejszego dzieła papieżowi Pawłowi III.

– A *Sagittarius*?
 – To łacińska nazwa Gwiazdozbioru Strzelca.
 – Strzelca?
 – Z czymś ci się to kojarzy?
 – Mówili mi zawsze, żebym się wystrzegał kobiet spod tego znaku – zażartował, ale szybko dodał z powagą: – Czy pamiętasz, jaki jest symbol Strzelca?

Monika Lauder chwyciła ołówek i narysowała na czystej kartce skierowaną w prawo i ku górze strzałkę, którą w połowie długości przecinała ukośna linia.

– Coś ci to mówi? – zapytała.

Przypomniła sobie, że to właśnie pytanie zadał kilka tygodni temu Ludwik Rosłoń, kiedy przedstawił Monice swoje teorie. Według archeologa i historyka, w którym wielu ludzi widziało amatora i wariata, Mikołaj Kopernik pod koniec życia starał się za wszelką cenę coś ukryć.

– Nie był to chyba majątek, bo tego jakoś nigdy, przez siedemdziesiąt długich lat życia, nie udało się kanonikowi zgromadzić zbyt wiele – ciągnęła Lauder. – Jeśli zaś chodzi o własność intelektualną, to to, co miał ogłosić, ogłosił. Do ostatniej chwili nie był zresztą pewny, czy praca owa nie poszła na marne, bowiem wydrukowany egzemplarz *De revolutionibus*, złożony do druku w 1541 roku u Petrejusza, dostarczono Kopernikowi dopiero po dwóch latach.

– Gdy był już na łożu śmierci – wtrącił Horn.

– W 1519 roku opracował pierwszą redakcję traktatu o monecie, którą przedłożył następnie stanom pruskim. Wydał też drukiem książkę o bokach i kątach trójkątów, pisał listy, także polemiczne listy naukowe, sporządzał mapy. Pod koniec życia ponad wszystko umiłował sobie zaciśnięte domowe. Nie był pewny, czy dobrze zrobił, oddając dzieło swego życia do druku...

– Jak inni bał się inkwizycji, która już wtedy rozpalala tysiące stosów w całej Europie.

– Zgadza się. Sam zresztą uważał księgę za niedokończoną. Według zapisków, na Wielkanoc 1541 roku odbył swą ostatnią podróż. Do Królewca, gdzie odbył konsultacje lekarskie. Potem było już tylko gorzej z jego zdrowiem. Nie godzący się na taki stan rzeczy Kopernik ponoć napisał własnoręcznie na jednej z ksiąg znamienne zdanie: „Jak krótkie jest życie! I jak biedna jest nasza wiedza, bo większość wiadomości przecieka nam przez sito pamięci...”.

– Naprawdę sporo wiesz o Koperniku.

– Jakby nie było, zabrał mi kilka lat życia – mruknęła.

– Tak. – Horn podrapał się po głowie. – Tylko jaką wiadomość i komu chciał przekazać łacińskim zapiskiem na tytułowej karcie swojej pierwszej księgi?

– Nie wiem. – Monika rozłożyła szeroko ręce. – Rosłoń, który zawsze dużo rozmawiał z ludźmi tam, gdzie prowadził badania, wypytując ich o różne rzeczy, powiedział mi kiedyś, że słyszał o człowieku, który mieszkał kiedyś we Fromborku i tak jak my badał życie Kopernika. Mówiono o nim, że interesowało go zarówno miejsce pochówku astronoma, jak i miejsce, z którego obserwował niebo. I jeszcze coś.

– Trzecia tajemnica.

– Schowek?

– Na to wygląda.

– Komora, w której siedzieliśmy?

– Być może.

– Co Kopernik chciał w niej ukryć?

– To jest właśnie pytanie, na które szukamy odpowiedzi.

– Nie my pierwsi.

– A co gorsza, nie jedyni...

Zamilkli oboje. Przez otwarty lufcik dobiegł śpiew ptaków.

– Mówisz, że Kopernik zajmował się horoskopami, znakami zodiaku – powiedział dziennikarz, drapiąc się tym razem po czole. – Chyba coś mi się kojarzy...

– Co?

– Wygląda na to, że Rosłoń patrzył nie tylko w dół, jak każdy archeolog, ale i ku górze. – Horn sięgnął po pozostałe trzy fotografie, które przedstawiały wieże kościołów. – Poznajesz?

Monika wzięła do rąk jedną z fotografii.

– Na tej jest chyba jedna z wieżyczek katedry – powiedziała. – Tych dwóch pozostałych chyba nigdy nie widziałam. A ty?

Zamiast odpowiedzieć, Horn zaczął się drapać jeszcze bardziej zapamiętałe, by po chwili zrobić coś, co osobę niewtajemniczoną w najlepszym razie by przeraziło. Jednym ruchem zdarł z twarzy gumową maskę. Na jego prawdziwej skórze twarzy perlił się pot pomieszany z grudkami talku, co robiło makabryczne wrażenie.

– Co ty robisz? – Przestraszyła się dziewczyna.

– Nie mogłem już wytrzymać tego łaskotania.

– Rozpoznają cię.

– Już mi wszystko jedno, czy ktoś mnie rozpozna, czy nie...

Ledwo wypowiedział te słowa, przed domkiem Rosłonia zatrzymał się policyjny radiowóz.

Krzysztof Beśka

Konstelacja zbrodni to kontynuacja przygód dziennikarza Tomasza Horna, bohatera książek *Ornat z krwi* i *Krypta Hindenburga*. Powieść ukaże się wkrótce nakładem gdańskiego wydawnictwa Oficynka.

Krzysztof Bielecki

Nóż

**Potworna zbrodnia wstrząsnęła miastem tym.
I wdarła się miłość.**

[ostro przycięty fragment książki, która musi się ukazać]

Przeklęta literatura. Bahdaj, Niziurski, Nienacki. Z naciskiem na Bahdaja i „Podróż za jeden uśmiech”. Lub „Wakacje z duchami”. Oskarżeni w procesie o zabójstwo Solskiego. Rozpisujący się bezwstydnie o skutkach spożycia sromotnika. Jego wyglądzie zewnętrznym, rysopisie i portrecie pamięciowym. Literatura jak lekarz przepisuje receptę na śmierć. To oni, cholera, Bahdaj, Niziurski i Nienacki przywieźli Liz na szafot. Dokonując namowy. Przez co ona, ofiara losu i książek, pałająca płomieniem uczuć do męskiej literatury, gardząca „Zapałką na zakręcie” i Siesicką, przekonała się do potęgi słowa. I spróbowała jego sił na własnym życiu. Wewnętrznym i zewnętrznym.

Mordercy duszy Liz, z klubu siedmiu przygód, Bahdaj, Niziurski i Nienacki, wiedli ją na pokuszenie w ciszy, w strachu, w nocy i w snach. Także w tym ostatnim. Kiedy Liz w kostiumie rewolucji francuskiej idzie na szafot ze szminką na ustach i z płaczem w oczach. Francuskie społeczeństwo się gapi. Tonąc we łzach. Liz staje na szczycie. Patrzy. Widzi w dali mającą wieżę woźniakowskiego kościółka. Przykleka. Teraz ogląda swoje zdarte kolana. Jedno – wysmarowane jodyną jak atramentem. Kładzie głowę. Aż spada na nią gilotyna. Zdziwiona głowa Liz toczy się w krzaki. Gdzieś koło jakichś torów, nasypów, elewatorów. Z nieba dobiega śmiech Odległego. Głowa Liz ląduje nie bardzo wiadomo gdzie. Adres, pod którym ukrywa się uciekająca głowa Liz, pozostaje nieznany. Jednak Milicja Obywatelska wznieca działania. Głowy Liz szukają kolejno: wymieniona MO, potem francuski kat, następnie lud Paryża, księża salezjanie, na końcu Olo, Mały i Pajac. Lud francuski wypada z pekaesu na dworcu. I biegnie ulicą Przemysławą i Spółdzielczą aż do Chopina. A potem ku wieczności. Czyli w stronę kościoła w Woźniakowie. Olo, Mały i Pajac

z dwoma funkcjonariuszami MO oraz wikarym Misiaszkiem zatrzymują rozkrzyczany tłum. Za pomocą międzynarodowego słowa „stop”. Lud francuski staje na wysokości zakładów zbożowych. Owszem widzi elewator, silosy. Ale po krótkotrwałym zadarciu głów spuszcza je. Lud francuski już wie – i żadna rewolucja czy Komuna Paryska tu nie pomoże – że nie znajdzie ściętej głowy Liz. Że nie ma szans w jakiejś zapyziałej Polsce roku 1977. Że to będzie przywilej najbliższych. Faktycznie – ściętą głowę Liz znajduje Pajac. Utknęła po drugiej stronie zakładów zbożowych. W zaroślach. Którymi porósł pień starej gruszy. Głowa Liz leżała wśród spadłych owoców, zdziczałych pokrzyw i wysokich traw. Oczy Liz zapatrywały się w przyszłość. Czyli w niebo. Nie ruszały się.

Koszmar skończył prześladować Liz w chwili, gdy Pajac triumfalnie podnosi głowę Liz. Całuje lubieżnie. Bydlę. I uśmiecha się. Uśmiechem barbarzyńcy. Który w przepoconych trampkach pakuje się do płonącej starożytności. Głowa Liz jest jak Nefretete.

Po czym nastąpiło ostatnie kuszenie Liz. To znaczy kuszenie mnie. Przez Liz.

W tym celu spotkaliśmy się 24 sierpnia po siódmej rano koło torów przy Spółdzielczej. Zaraz był Herbapol, biurowiec Budowlanki, dalej dworzec PKS. O tych torach nie można było nic powiedzieć ponad to, że wydawały się umarłe. Ożywały raz na jakiś czas. Gdy ulegały jak kobieta jakiemuś zmysłowemu przetaczaniu się pociągu. Pociągu towarowego – oczywiście. Najpierw wychodził ktoś na środek Spółdzielczej. Był w szarym kombinezonie. Najczęściej. I podnosił suchą jak wiór starą rękę. Starą od tego podnoszenia co jakiś czas albo starą od starości. Czyli od wieku. Ciężar starej ręki ostrzegającej przed pociągiem przenosił się na gwizd lokomotywy, która leniwie przeciągała się jakaś niewyspana, nieprzytomna. Ciągnąc szereg szarych wagonów. Wagony znikają po paru minutach za betonowym, brudnym parkanem. Jakby wnikały w głąb czegoś, co nie nazwane. Co jest krajem znikąd. Przybyłym na chwilę. Tylko po te wagony. Krajem znikającym. Krajem porywającym wagony jak złe dzieci. I zaraz czmychającym za granicę.

Chodziło się na Spółdzielczą w poszukiwaniu czasu i butelek. Potem myło się je koło domu i sprzedawało w skupie butelek. Sama okolica miała coś ze znużenia, coś z papierosowego dymu i coś z podejmowania średnio udanych przedsięwzięć. Zaraz była Przemysłowa, a skręcając w lewą stronę Majdany. Z zakładami spirytusowymi i samotnymi domami.

Zawieszonymi nad torami jak latarnie. Należącymi do kolejarzy. Którzy nie chcieli się rozstawać z pociągami ani na moment. Więc chłonęli pobliski hałas i gwizd. Z uwagą wsłuchiwali się w jazgot. Wyławiając obce dźwięki. Które zakłócały harmonię. Tę piramidę bytu złożoną z wiecznego dyżuru i wiecznego munduru, guzików, czapki z daszkiem, gwizdka, paska do spodni, czarnych butów, skarpet, białej koszuli. I to musiało jakoś iść przeciw tym, którzy naprzeciwno, w zakładach spirytusowych, tworzyli inną sztukę. Inne piekło i inne niebo. Nie mówiąc o tych dalej – budowlancach. Którzy na Majdanach mieli bazę transportową. Gdzie tłoczyły się bezmyślne koparki, wywrotki, ciągniki i żuki. I patrzyły na nie z pogardą zamyślane dźwigi. Błąkające się po niebie bez celu. Zerkające z zazdrością na pobliskie pajęczyny torów i sunące nimi pociągi. Krojące ciszę na pół. Między dźwigami a pociągami istniała jakaś nić porozumienia. Dźwigi musiały czuć, że tkwią na Majdanach przez pomyłkę. Że powinny, jak pociągi, mknąć dokąds czy choćby wędrować. Ku. Że i pociągi, i dźwigi mają coś z ptaków. Z ich ciekawości świata. A przynajmniej życia. Ciekawości zmiany. Terytorium szczęścia lub bólu.

Liz miała wiotką sukienkę i gołe nogi. Na jedynej twarzy spokój. Przez co niczego nie można było wyczytać. Niczego pamiętać. Jak potem zeznam na milicji, to niczego nie można było wiedzieć. Niczego z wcześniejszych godzin bujnego życia Liz. Czy to krwawego, czy to czystego. Żadnego jej wcześniejszego życia nie mogłem się domyślać. Nawet nie chciałem. Bo jak się jest urzeczonym, urzeczonym urodą Liz, to nie ma się ochoty na snucie domysłów. Śledzenie wrażeń. Czy kroków własnej duszy.

A kiedy prócz własnej pojawia się dusza Liz, to nie ma dwóch zdań. Jest jedno zdanie pojedyncze: chce się być blisko Liz. I to najbardziej jak można. Ciało przy ciele. A dusza przy duszy. Patrząc na Liz, czekałem. Nie przewidywałem rozmiarów kuszenia:

– Patrz, co przyniosłam.

I wyjęła z czarnej torebki nóż i dużo waty.

– Co to ma znaczyć? – spytałem. Rozglądając się w poszukiwaniu niebezpieczeństw.

Ale Spółdzielcza jeszcze spała. Od Przemysłowej dobiegał jakiś szum, rumor. Lecz to było kilka ładnych metrów stąd. Siedzieliśmy nad torami. Pod ścianą budynku GS. Trochę jak w klatce. A trochę jak na pustyni. Naokoło brudno.

Tak, nigdy z Liz nie było tak, że tylko za czystością szła. Nie, chodziła i za brudem. Jak za jakąś tajemnicą. „Nie jestem jedna”, mówiła mi czasem.

- Musisz zrobić dla mnie dziwną rzecz.
- Jak dziwną? – chyba się przestraszyłem.
- Nie robiłeś czegoś takiego. I już nigdy czegoś takiego nie zrobisz.
- Więc?

Liz się uśmiechnęła. Podniosła nóż na wysokość moich oczu i powoli zaczęła zbliżać.

- Widziałeś „Psa andaluzyjskiego” w DKF-ie?
- Tak – nie drgnąłem.

Nóż dotknął mojego nosa i policzka. Czyli ominął andaluzyjskie oko. Gdyby Liz była nożem, byłoby lepiej. Ale Liz była osobno. Nóż był między nami. I coś między nami musiało się zaraz stać. Liz wiedziała, co. A ja nie.

Przewaga Liz nie podlegała dyskusji.

- Kochasz mój kolczyk, prawda? – upewniała się. – Mój szafir, którym jak przyznałeś kiedyś, przebiłam ci serce.
- To prawda.
- W imię tej prawdy...

Liz nie chciała kończyć. Zawiesiła szept. Chciała ciszy. I ja chciałem ciszy. I w tej ciszy poczułem w prawej ręce chłód ostrza noża. Prostego noża z kuchni. Takiego nie wiadomo do czego. Do wszystkiego. I do niczego.

Z nożami – jak z ludźmi.

Liz ujęła moją dłoń. W którą wcześniej wcisnęła mi nóż. I lekko zamknęła. Ostrze jak każde ostrze było ostre. Oboje nie patrząc sobie w oczy czekaliśmy na krew. Na pewno chodziło o kroplę krwi z mojej dłoni. Żeby ta trochę skrwawiona, niedomówiona we krwi, na pewno we krwi nie unurzana, moja dłoń zajęła się czymś innym. Więc czym?

- Połóż nóż na moim lewym uchu.
- Nie, Liz, proszę.
- Proszę.

Skuliłem się w sobie jak dziecko. Jakbym dopiero się urodził. I odnalazł w sobie ileś duszy. Która już miała się skończyć. Pełnej lęków. Cieni. Burz. Krzyku. Najpierwszego. Ogarnęło mnie dziwne ciepło. Poczułem, że tylko jako najmniejsze z najmniejszych dzieci mogę zrobić Liz to, czego oczekuje. Że żaden ze mnie mężczyzna. A najgłupsze dziecko. Które nie wie, albo nie chce wiedzieć, co się dzieje. I w tej niewiedzy przesunąłem nóż po uchu Liz. A potem jeszcze raz.

- Teraz – powiedziała cicho Liz.

Przechyliła głowę na prawo. Nigdy nie wyglądała pięknie. Przeciągnąłem nożem. Raz. Dwa. Trzy. Liz zaskomlała jak raniony pies. Podałem jej ucho. Kolczyk tkwił. Nie myślałem, że będzie tak mało krwi. Przyłożyliśmy watę. Jedną, potem drugą. I trzecią. Koniec. Nie mogłem oderwać oczu od Liz. Mojej miłości.

– Jeśli się uda wcisnąć wersję o napaści na mnie; o obcięciu ucha, to jako ofiara nie mogę podlegać szczególnym śledztwom. Raczej współczuciu. Raczej z prawem odsuwania się od zawołowanej śmierci mojego taty. Raczej z miejscem na siebie. Na siebie nową. I...

Liz spojrzała mi głębiej w oczy:

- I na ciebie.
- Na mnie?

Krzysztof Bielecki

Tamara Bołdak-Janowska

Krótką rozmowa położnicza Tamary Bejot z Tolem Szaleńczykiem o człowieczystości i o pocałunku oka

Bejot: Najpierw jest tak, że wargi są omdlałe, słowo nie ma w nich kształtu, albo jak mówi Rilke, „warga jest chroma”. I jeszcze nie ma nawet wersu, nie mówiąc o całym wierszu. To od czego zaczyna się wiersz? I skąd wiesz, że to będzie wiersz? I w jaki sposób go chcesz?

Tolo: Tak jak dziecko chce mówić. Najpierw jednosylabowo bada przestrzeń – tu, tam, koń, słoń i ta-ta, i mama, i następnie jak wytrawny gurman bada smak na języku i uelastycznia wargi. Albo widzi drzewo jak siebie. Drzewo wyciąga ramiona i wzdycha do nieba „weź mnie, chcę skrzydeł”, i człowiekowi zdaje się, że słyszy jego skargę, że korzenie go nie puszczaają, i widzi, jak na przekór uwięzionym stopom czy też „chromej wardze” rodzi się w drzewie pragnienie zakwitnięcia, i tak się dzieje, a potem przekwita jesienią i to piękniej niż człowiek, któremu niebiosy zgotowały końcowy nieodwołalny kolor – szary i siwy. No więc wiersz to twoje kwitnienie. Nawet to ostatnie, szare i siwe.

Bejot: Powiedzmy są dwa słowa: coś jest wierszowskie i coś jest poetyzowane. Wierszowskie powstaje na trzeźwo, a poetyzowane w uniesieniu lub pozie na uniesienie ośmiesza autora, bo czyni jego wiersz nierozgarniętym, to jest nietrzeźwym, bo forma nie została wylepiona, bo „co tam forma, kiedy ja jestem «ach, uniesiony»”, „ach, genialny jest mój pierwszy zapis”. A przecież twórczość to proces trzeźwienia. Ciągłe niezadowolenie z formy. Czy zgadzasz się na takie rozumienie poezji?

Tolo: Czyli trzeźwy i podпиты? Ostatnio coraz częściej naćpany. Nie. Oczywiście wyznaję trzeźwe uprawianie poezji. Niekiedy w tłumaczeniu autor trzeźwieje. Rilke wytrzeźwiał w tłumaczeniu Adama Pomorskiego, a przedtem znaliśmy tłumaczenie Jastruna, bardzo rozpoetyzowane, a więc mało trzeźwe i to nie był Rilke. Już o tym kiedyś mówiliśmy.

BeJot: Czy ostateczna forma wiersza to to, co za każdym razem (następnym) czyta się inaczej?

Tolo: Forma wiersza w odróżnieniu od form, nazwijmy je nominalnymi, to jego pojemność. Jeśli wiersz po ponownym czytaniu, powiedzmy po dziesięciu i więcej latach, nie wyczerpał się, znaczy to, że forma, którą obrał, okazuje się jedyną jego formą, może na podobnej zasadzie jak Bóg u Plotyna, który sam się stworzył i nie wymaga ani odjęcia czegoś, ani dodania.

BeJot: Szary dzień. Siecze deszcz. Zamień to w wiersz.

Tolo: Najpierw napisałem tak: Ale to wszystko już było. Podaj mi chociaż zimną rękę.

Potem napisałem tak: Bez początku i bez końca. W samym środku niestrawności.

Tu zacytowałem siebie: „Człowiek Bóg – nie wiadomo jak szukać”.

I dodałem pierwszy zapis: Ale to wszystko już było. Podaj mi chociaż zimną rękę.

Jesteś zadowolona?

BeJot: Nie. Bo nie rozumiem tej „niestrawności”. Ona nie siecze jak deszcz. Wierszyk trzeba poddać procesowi dochodzenia do formy. Może niech ta „niestrawność” zamieni się w skaczące otwarte scyzoryki, które gubią rękojeść. „Zimna ręka” podoba mi się. Moja?

Tolo: Twoja i nie.

BeJot: Kiedyś były jesionki. Pamiętasz? Były szyte z ukośnie tkanego grubego materiału. No to w takim dniu jest jak w tej jesionce, która opanowała przestrzeń. Siecze ukosem jej ścieg. I jest się jak pośród gęstych odłamków w jesionce. Ściegiem się jest. I ja ci wskazuję ten ścieg zimną ręką. A ostrza scyzoryków to banał. Zresztą w ogóle wychodzi nam banał zamiast tekstu o dniu w pełni jesionkowym. Skoro pocałunkujesz okiem i wypocałunkowałeś tomik pt. „Pocałunek oka”, to wypocałunkuj mi te kilka banalnych dni o deszczowym dniu. Dalej nie ruszymy w rozmowie. Przynajmniej ja nie ruszę.

Tolo: Ależ w „Pocałunku oka” jest mocna krótka ulewa pt. „Taniec źreń”. Przeczytam:

Żywe stopy deszczu
 Żywe jak dziewczęce
 Przeskakują z pięty na palce
 jakby stykały się z powierzchnią

rozległego wrzątku
 Albo jak wążutkie twarze te ładunki
 Raz zadarte raz schowane
 Łaknienie
 Potakiwanie
 To wszystko rozumiem żrenicami

BeJot: Widzisz, masz dziesięcioletni wiersz. W Olsztynie twój „Pocałunek oka” walał się po szufladach redaktorów z dziesięć lat. Straszne są szczelne układy w kulturze. A ja widzę jeszcze jeden twój wiersz o deszczu, teraz ja przeczytam, nie ma tytułu:

Potem jesień
 Jak zawsze prawie z nagła
 Jak zamiejskowa osoba z powiewem
 którą najpierw rozumie nieosłonięta szyja
 Jej język należy do języków migowych
 na przemian ciętych i łagodnych
 Albo kilka smagnień po oczach
 to cała treść rozmowy.

I mam dla ciebie wierszowską zagadkę, co to jest: całe miasto, a mogę je przykryć ręką?

Tolo: Jest wieczór, jestem zmęczony, a ty mi podsuwasz zagadki. To mapa?

BeJot: Prawie. To fotografia.

Tolo: Można to szerzej rozumieć, jeśli ta wierszowska zagadka będzie miała tytuł „Fotografia”.

BeJot: Tak. Taki dwuwiersz zyska wiele znaczeń. Właściwie to może być i mapa miasta. Taka mała. A co jest człowieczyste w wierszu? Pytam jak dziecko.

Tolo: Odpowiadam, jak dziecko. Pod światło przez liść patrzysz i krew liścia widzisz, i każdy jego wewnętrzny zakątek. Tak patrzysz przez rzecz i przez człowieka. Mówię o tej wymyślonej przez ciebie człowieczystości w ostatnim wierszu z „Pocałunku oka”, kiedy długi tytuł wielkimi literami brzmi: PATRZĄC NA POŁOŻONĄ PRZED SOBĄ ZGRUBIAŁĄ SPRACOWANĄ DŁOŃ, tu dwukropek, a po nim masz tylko pięć słów: Oto

ja – tyle poezji. Poezja albo jest człowieczysta, albo nie, a jeśli nie, to jej nie ma. Nie możemy stawiać się nie-człowieczyści w poezji. Człowieczystość to nie tylko człowiek, ale i jego przedmiot, jego ziemia, jego niebo, no i jego rozum i uczucie. Ależ banalnie to brzmi. To przede wszystkim jego własny styl pisania, a nie modna maniera.

BeJot: Wyznawcy modnej manieri pisania nienawidzą tych z własnym stylem. Ja jestem uczulona na tych wyznawców.

Tolo: Toż pisałeś o tym w swojej rozprawie filozoficznej – o doskakiwaniu do uwspółcześnienia. Doskakiwanie do uwspółcześnienia ujednolica przez modną manierę. To nie to w literaturze. Dla literatury jest to zabójcze. Pisanie jedną manierą.

BeJot: Bardzo, bardzo nie to!

Tolo: Rilke jest bardzo, bardzo człowieczysty:

To, co w zwierzęciu było krwią i mrokiem,
rozrosło się nam w duszę, która krzyczy
odtąd jak dusza.

BeJot: Adam Pomorski tłumaczył to. Trzeźwo i prawdziwie nowocześnie, nie wydurniając się tak, żeby było zgodnie z modną manierą czy dodając coś od siebie. Gloryfikujemy tu pana Adama, ale on na to zasługuje. Nie można się oderwać od jego Rilkego.

Tolo: Wiersz to niedziela w dowolnym dniu tygodnia.

BeJot: Ależ czytanie tekstów poetyckich to zajęcie, a nie miły bezmyślny odpoczynek.

Tolo: Niedziela w sensie: mam to nareszcie! Znalazłem na przykład czyjaś odwagę połączoną z umiejętnością wysłowienia się, z czuciem języka. Ale jeszcze coś. Dowcip! Dowcip jest człowieczystością. W poezji też.

BeJot: Polubiliśmy słowo „człowieczystość”. Neologizm mój.

Tolo: Bardzo. Ono jest adresem, pod którym mieszka Ktoś.

BeJot: Jeśli wiersze leżą dziesięć lat, to coś z nich ubywa, jeśli po nie sięgasz i publikujesz. Moim zdaniem, ubywa po to, żeby się pogłębiły. Tak?

Tolo: To jest proces dochodzenia do formy. Ubywa, aby się pogłębiło. Patrzysz na nie i widzisz banały, które bezlitośnie usuwasz. Jeśli dziesięcioletni wiersz to sam banal, to cały usuwasz bezlitośnie. Może zostawisz dwa wersy.

BeJot: Ja zajrzałam w moje trzydziestoletnie pierwsze wiersze i widzę w nich dużo człowieczystości, ale w złej formie. Nie będę ich wznawiać,

to jest formować na nowo. Są niedobre, i tyle. Ależ mi się wyśnił rysunek, sama poezja, patrz, pocałunki oka:



Tolo: Chacha, chacha. Ależ erotyczny! Sama erotyka. I ta czerwona sukienka.

BeJot: W śnie te oczy w łydkach iskrzyły się. Sama poezja.

Tamara Bołdak-Janowska

Wojciech Chmielewski

Trapista

(fragment)

Ksiądz Robert obudził się z bólem głowy. Elektryczny czajnik szumi, kawa rozpuszczalna, połknął proszek. Ukrzyżowany Zbawiciel wyrzeźbiony z kości słoniowej, prezent od proboszcza z pierwszej parafii. Przeżegnał się i opadł na klęcznik. Skrzypnęło drewno. Modlitwa uniosła Roberta w nowy dzień. Pełen uczniów ze szkoły podstawowej, pełen decybeli, których się bał, pełen chęci ucieczki z tego świata do zakonnej samotni, do milczenia, pełen Boga.

Jesienne słońce, Robert mruży oczy. Z wielkiej sosny zasadzonej tuż przy plebanii zrywa się sroka. Ciepło. Szyszki lśnią w porannym świetle. Na niebie Robert widzi pierzaste obłoki, nikną w błękitcie. W kościele chłód, ksiądz proboszcz siedzi już w konfesjonale, w zakrystii dwóch chłopaków, Kuba i Marcin. Szybko przebrać się, modlitwa z ministrantami pod obrazem świętego Dominika Savio. Dzwonek.

Liturgia jest światłem. Odnalezienie się w nim zajęło Robertowi pierwszych kilka lat kapłaństwa. Tajemnica światła, które jest, przemienia i wypełnia sobą wszystko, wlatuje ponad wszystkie dachy tej dzielnicy, niektóre z dymiącymi na czarno kominami, tam jeszcze pali się węglem i śmieciami, nad podwórka, gdzie teraz grabi się liście, a potem w górę płyną smugi białego dymu, jeszcze wyżej. Już pachnie jesienią. Thomas Merton w takie dni na pewno błdził między wysokimi sekwojami, z brewiarzem lub różańcem w ręku. Cisza ogromnego lasu, powrót do pustelni, cicha msza odprawiona przy cedrowym ołtarzu. Potem lektura, modlitwa. Słońce rzuca refleksy na podłogę z prostych desek.

Posiłek w klasztorze, gotowane warzywa, trzeba jeszcze przydźwigać bańkę z wodą do pustelni. Gwiazdy na niebie. Stukot powolnych kroków na werandzie. Modlitwa.

W podstawówce ma książdź Robert sześć godzin katechezy. Hałas i zapach szkoły, najpierw schodzi się do szatni, trzeba przejść między boksamimi. Dzieci wrzeszczą, witają księdza, śmieją się i jedzą słodycze. Zapach obuwia, potu, perfum mam, które znajdują jeszcze chwilkę, by wymienić najnowsze uwagi o szkole, o dziecku, o chorobach, o szkolnym zebraniu, o sobie.

Tleniona na blond woźna pełniąca dyżur przy drzwiach przesyła księdzu promienny uśmiech. Co ten uśmiech oznacza, sympatię czy politowanie? Robert kiwa głową, odwzajemnia pozdrowienie. Kim ona jest? Nigdy nie widział jej w kościele, musi dojeżdżać tu do pracy. Jeszcze młoda kobieta, przed czterdziestką. Bardzo zgrabna, nosi obcisłe dżinsy. Robert nie ma problemu ze swoim libido, w seminarium jeszcze tak, potem ćwiczenia duchowe wykluczyły tego rodzaju poruszenia. Ciemną nocką brudzi pościel od czasu do czasu, to wszystko. Nie ma w tym jego woli. Dzieje się i nie przeszkadza. Może dlatego myśli, jak się stąd wyrwać, w jaki sposób jeszcze coś zrobić ze w swoim życiem w imię maksymy wyrytej na bramie klasztoru Our Lady of Gethsemani: „God Alone”.

Katechezy, jedna za drugą, miłe są dzieciaki, wdzięczne, zaciekawione, przecież nie wiedzą, czy zwiążą swoje życie z religią rzymskokatolicką, czy może pójdą zupełnie inną drogą. Może przejdą na islam? Powinno być tak, że Robert przywiedzie ich do życia zgodnego z wiarą, ale kapłan wcale nie ma takiej pewności.

Biała tablica, książdź pisze markerem podstawowe prawdy wiary. W klasie szmer, musi uspokajać dzieciaki i wtedy mówi dowcipy, to zawsze pomaga. Czy będzie mu brakować rozdziawionych buź, okrągłych oczu, kolorowych bluzek, rozczochranych włosów, kiedy w samotnej celi, nie odzywając się przez szereg dni, będzie przygotowywał się do Paschy? Zostawi wszystko, bo wszystko warte jest zostawienia, opuszczenia, by dalej podążać w nieustannym pielgrzymowaniu.

Schodząc ze schodów, potknął się, przytrzymał poręcz. Natychmiast usłyszał śmiech za plecami. Radosny, szczery był ten śmiech, z serca płynący, nie złośliwy. Robert też się uśmiechnął. Pomyślał, że może będzie mu żal, bo w klasztorze trapistów dziecięcego śmiechu nie usłyszy, zamiast tego będzie milczenie nocy, kiedy wstanie na jutrznię o trzeciej nad ranem, będzie śpiew braci w chórze, modlitwy zanoszone za wszystkich przez

całe moje ofiarowane mi tu życie. To będzie kontemplacja, słowo to ksiądz Robert cenił ponad inne, często używał go podczas homilii, wgłębiał się w znaczenie. Podpierał rozumienie lekturami pism ascetów, praktyków życia pustelniczego i anachoretycznego, zwłaszcza jeden z nich, de Rancé, bez przerwy zajmował wyobraźnię wikarego.

Siedemnastowieczny utracjusz, potem mnich zauroczony ciemnością, w której dostrzegał wszelkie odcienie objawiającej się Prawdy Przedwiecznej. Stukot toczącej się po kamiennej podłodze głowy pani de Montbazon był doświadczeniem granicznym. Kochanka księdza-arystokraty, korzystającego dotąd ze wszystkich uciech życia, zmarła nagle, a gdy de Rancé wszedł do komnaty denatki, zawadził nogą o leżącą na ziemi głowę księżnej. Prawdopodobnie zamówiona trumna okazała się zbyt mała i chirurg oddzielił głowę od reszty ciała.

Ksiądz Robert uwielbiał tę historię. Była niezwykła, a zarazem zrozumiała – u jej końca zaczynało się nowe. Była nią reforma klasztoru w La Trappe, odtąd przyjmującego w swe podwoje prawdziwych pokutników, czyli tych wszystkich, dla których liczyło się już tylko „God Alone”. I ksiądz też chciał zapukać do tej furty, zatopić się w bezustannej modlitwie, którą przecież jest surowe życie wiedzione przez trapistów.

I kiedy tak smarował prawdy wiary markerem na białej tablicy, w duszy miał inną biel – kolor cysterskiego habitu, zapach roślin w wirydarzu, stukot kroków w krużgankach pogrążonych w mroku.

– Proszę księdza, a dlaczego huragan na Filipinach zabił tak wielu ludzi, tyle dzieci? Czy to też sprawił Bóg?

Głos należał do uczennicy. Ksiądz Robert odwrócił się i popatrzył na całą klasę. Wiedział, że musi pokutować, bardzo długo pokutować, także za to,



Wojciech Chmielewski,
Belweder gryzie w rękę.
Wydawnictwo „Iskry”,
Warszawa 2017. Stron 220.
ISBN 978-83-244-0471-1.

że wiary, która wypełniała jego serce nie potrafił zaszczepić tutaj, tu, w miejscu woniejącym szkolnymi obiadami i uczniowskim potem. W miejscu, do którego został posłany.

– Dlaczego umierają niewinne dzieci, tego nie dowiemy się nigdy. Ale wierzymy, że Pan Jezus, który pokonał śmierć na krzyżu, wynagrodzi im cierpienia i poprzez taką tragedię, która dotknęła Filipiny, także nam chce coś powiedzieć.

Słabizna. Wiedział ksiądz, że to nie chwyci, że takie tematy zawsze warto zostawić tylko do rozważań modlitewnych, nie rozumowych, że rozum nic tu nie da. Ale jak to wytłumaczyć dzieciakom? Może przeczytać jakiś wiersz albo opowiadanie? Pustka w głowie, suchość w ustach. Robert czuł jak pod sutanną zaczyna się pocić.

– Chciałbym, skoro już o tym mówimy na lekcji, żebyśmy teraz przez chwilę pomodlili się za dusze tych, którzy zginęli na Filipinach.

Trwa szkolna modlitwa, po podłodze toczy się głowa pani de Montbazon, w dalekim kraju wciąż odnajduje się nowe ciała, wydaje się, że miłosierdzie nie nadchodzi, że go po prostu nie ma. Rozpłynęło się wraz z pierwszym podmuchem huraganu.

– Czy mam teraz stanąć na głowie? – myśli ksiądz stojący przy białej tablicy.

Szybko dyktuje notatkę, nie patrzy na dzieci, wzrok biega po blacie biurka. Nie potrafi się już skupić, rozwalona lekcja, byle dotrzeć do końca. Sutanna zaczepia się o krzesło, lekko, leciutko odczepić, bo będzie odgłos dartego materiału.

Idzie ksiądz Robert korytarzem, ucieka z tego miejsca. Nie zauważa, że wchodzi w gówno, bo zapatrzył się w wieżę kościoła, świątynia jest na przeciwko szkoły, w której naucza Robert. Fasadę wieńczy wieża, ale wygląda lekko, nawet trochę płynie, bo spiczasty dach zwieńczony krzyżem spoczywa na czterech kolumnkach wiszących w powietrzu. Ten azur dodaje wdzięku całości. Kościół we wsi Roberta był zbudowany z czerwonej cegły, w środku pobielony. Zimą ziąb, choć proboszcz dogrzewał piecykami gazowymi, stare mury, dziewiętnastowieczne. Był obraz w bocznym ołtarzu, który wprawiał wiejskiego chłopaka w zaniepokojenie: wzrok Matki Boskiej skierowany w górę, a niżej biała szyja i dekolt osłonięty tylko białym płótnem. Twarz Matki – maska z kości słoniowej, zaciśnięte usta.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pyta blada kobieta, przyciskająca do piersi cierniową koronę. Kolce wbijają się w alabastrową skórę, ale krwi nie widać.

Robert wpatrzony, odmawiający modlitwę. Biała cera kobiety, nigdy takiej nie widział. Długa szyja, na klęczniku przed obrazem czas przestawał istnieć. Dłonie Matki podtrzymujące koronę, bardzo delikatne długie palce, zdaje się, że chcą gdzieś wyfrunąć, uciec z kościoła o grubych murach. „Co ty tak długo robisz w tym kościele, księdzem chcesz zostać?”

Widzi gówna na bucie, musi wyczyścić. W toalecie szoruje podeszwę szczotką do kibla, strasznie śmierdzi, Robert oddycha ustami. Pobrudził podłogę, wyciera papierem toaletowym, za Matką Boską było ciemne tło, dlaczego teraz mi się to przypomina? Już jest dobrze, odkłada but na gumową wycieraczkę w przedpokoju, siada na chwilę, zmęczył się. Ciemna przestrzeń za kobiecą postacią, to było Roberta dzieciństwo.

Wojciech Chmielewski

Krystyna Januszevska

Długa droga

(fragment powieści)

Trudne czasy – chaos w państwie, niepewność jutra – scalały związek Wiktorii i Jana. Dziewczynki rosły, a małżeństwo zaczęło dojrzewać. Każdego dnia stawali się sobie bliżsi. Jesienią urodził się syn – Edward, ich pierwsze dziecko. Jan szczęśliwy, że ma wreszcie dziedzica, mógł już planować przyszłość, ale ta przyszłość zależała nie tylko od niego. Chłopiec był delikatny i często chorował. Więc pod osłoną pozornego szczęścia krył się wieczny strach o jego życie.

W połowie sierpnia na Górnym Śląsku wybuchło powstanie. Nagły zryw w obronie aresztowanych kolegów przerodził się w jawną walkę. Ludność umęczona niemieckim terrorem zażądała przyłączenia do Polski. Znowu połała się krew. A Wiktorii tak bardzo pragnęła spokoju. Ile się można bać? Już nie pamięta, kiedy się czuła bezpieczna. Nie dane jej było dorastać bez strachu o życie najbliższych. Na wojnie straciła brata, Staszka. Zginął we Francji. To była rana, którą czuła dotkliwie. Przecież dobrze wiedziała, że wojna zbiera żniwo i jak nienasycony smok pożera swoje ofiary. Szczęśliwy ten, kogo dom cudem ominęła. Bała się jednak, czy aby smoczy oddech nie dotrze do Krasocina.

Każdy dzień stawiał przed nimi nowe problemy. Nadeszła jesień, a z nią deszcze. Cały wrzesień padało. Pogoda utrudniała wykopki. Zwozili do kopców rozmiękle i ubłocone ziemniaki i nie mieli ich jak wysuszyć. Jan dobudował niewielki składzik pod ścianą chlewu. Obstawił go drzewem z przydziału, a w środku złożył zapasy lnu i łodygi konopi – skarby prawdziwe w każdym chłopskim domu. Ze lnu Wiktorii będzie tkala zimą materiały, konopie przeznacza na sznury, na lejce i na worki. Konopie w tym roku wyrosły wysokie. Jan zrobił żonie nową międlicę, stara była za krótka do takich długich łodyg. Będzie się trzeba zabrać za czesanie. Im szybciej oddzieli się lęty i oczyści ze śmieci, tym sznury będą trwalsze.

Łało nieustannie. Ci, którzy zdołali zwieźć z pól, walczyli z wilgocią. Woda wdzierała się do gospodarstw, zalewała podwórka, domy i ziemianki.

Wymywała grunt spomiędzy kamieni, a gliniana zaprawa wciekała z błotem do piwnic.

Rozmyło też drogi, konie grzęzły w błocie razem z wozami. Jan wracał wieczorem przemoczony do suchej nitki. Prognozy były marne, przed nimi zima, nie będzie kiedy suszyć płodów. Pod koniec września na szczęście opady ustały, ale dopiero w pierwszych dniach października wyjrzało słońce. Wikta stała przy oknie, patrząc z nadzieją, jak pomarańczowa kula chowa się za szczytem lasu.

– Jutro będzie ładny dzień, jestem tego pewna – powiedziała strapiona do Jana.

– Czas byłby najwyższy – usiadł do stołu, na którym dymiły ziemniaki z podsmażaną cebulą. – Jeszcze tydzień i wszystko diabli wezmą. Ziarno zgnije, słoma już czarna miejscami. Dobrze, że siano udało się jakoś dosuszyć. Jakby tak jeszcze powiało ciepłem, to byłbym uratowany – powiedział z nadzieją w głosie. Od rana pomagał w wykopkach sąsiadom. Skończył też naprawiać nadgniły dach stodoły. Bał się, że nie przetrzyma kolejnego deszczu.

– Spójrz, jaka łuna i niebo caluśkie niebieskie, ani jednej chmurki – wpatrywała się w czysty horyzont. – Niebiosa się wreszcie zlitowały.

– Ano widać, że niebo czyste, ale co nam świt przyniesie? – Jan patrzył nieufnie w jaskrawą lunę słońca, które przed chwilą zaszło za dach sąsiada. Zawsze jak czepił się złudnej nadziei, to było na odwrót. Marzyć nie miał odwagi, wołał zwątpienie. Wtedy krzywda wydawała się mniejsza. Wikta, jak to kobieta – działały na nią kolory. Zobaczyła słońce na wieczór, to cały tydzień od razu planuje.

Kładł się jednak spać z nadzieją, że rano wstanie pogodny. Najpierw myślał, że wcale nie zaśnie, po całym dniu pracy bolały go plecy i nogi. Dłonie miał zharatane od wideł, spod których wybierał ziemniaki. Ale zasnął natychmiast, jeszcze zanim Wikta zdążyła nakarmić Edka. Nocą, kiedy usłyszał nad uchem jej zrozpaczony głos, przebudził się nieprzytomny. Otworzył oczy i zobaczył żonę trzymającą w objęciach dziecko. Uniósł się na łokciu, przecierając oczy.

– Znowu jest chory – powiedziała z lękiem. – Zobacz, jaki gorący.

– Robiłaś mu kompresy? – zapytał zaspianym głosem.

– Owijałam go w mokre płótna, ale bałam się, że go całkiem wyziębię. Jasiu – szukała w mężu ratunku. – Jasiu, co ja mam robić, tak jakoś płytko oddycha? – Położyła mu dziecko na łóżku.

Rzeczywiście mały Edek był rozpalony. Spoglądał spod lekko przy-mkniętych powiek, ale nie wodził wzrokiem, patrzył gdzieś poprzez nich, jakby coś widział w oddali.

– Czekaj – oddał jej dziecko i wysunął się spod pierzyny. – Ubiorę się i pomyślimy. – Był obolały i nie całkiem przytomny. Zakładając spodnie, zastanawiał się, co pocznie. Mały jakiś czas temu kaszłał i sporo płakał, ale ostatnio jakby wydobrażał. Widać choroba wróciła i teraz już bez doktora raczej się nie obędzie.

Małeństwo nie chciało pić. Wikta próbowała bez skutku napoić go piersią albo z łyżki lipową herbatą. Jan nacierał małe ciało delikatnie, żeby przyspieszyć krążenie, robił zimne okłady na rozpaloną główkę, ale Edek nie reagował na żadne starania. Jan czuł się bezradny, patrząc jak dziecko cichnie z każdą minutą. Z bezsilności chciało mu się wyć. Wikta z rękami przy twarzy płonęła z emocji, czuła, że cała truchleje. A on myślał tylko o jednym. Kołysał syna i cicho się modlił, przeproszał za grzechy i prosił, żeby Najwyższy nie zabrał mu dziecka.

– Nie będę czekał bezczynnie – stwierdził nagle i poderwał się z łóżka. – Ubierz się, weź dobre buty. Małego porządnie owiń.

Spojrzała na męża zdziwiona.

– Jasiu, co ty chcesz zrobić?

– Do lekarza idziemy – powiedział krótko. – Tylko tak możemy mu pomóc. Nie będę czekał aż tutaj umrze.

– Ale doktor aż w Koniecpolu, chcesz tam iść piechotą? Lekarz z Włoszczowy na wojnę pojechał, ludziska do Kielc jeżdżą.

– Wikta, w tym błocie żaden wóz nie dojedzie. Ugrzęźniemy po drodze i będzie prawdziwa bieda, bo jeszcze kłopot z koniem. Przecież szliśmy piechotą do Częstochowy z pielgrzymką. Koniecpol w połowie drogi, jakoś przecież dojdziemy. Dziecko leciutkie, na zmianę go poniesiemy. W Koniecpolu się przenocuje, byle tylko zastać lekarza, a jak będzie wszystko dobrze, to może i zdołamy wrócić do domu. Mam trochę pieniędzy, na doktora i nocleg wystarczy, gdyby było trzeba.

Stała przez chwilę zdumiona. Patrzyła w oczy mężowi i widziała w nich przerażenie.

– Masz rację – natychmiast przyznała. – Nie będziemy czekać, aż umrze. Wezmę płachtę, zawiążę na szyi i poniosę w niej dziecko.

– Eee, płachta nie będzie potrzebna – stwierdził. – Jest cięższa od dziecka, poniosę je w beciku, tylko dobrze opatul. Toż on lżejszy niż koszyk, który noszę co tydzień do Włoszczowy na targ.

Zanim się wschód wychylił zza lasu, oni byli już w drodze. Do Konieczpola, idąc na skróty, mieli do przejścia trzydzieści pięć kilometrów. Szli równym krokiem prawie w milczeniu. Jan tylko od czasu do czasu zaglądał w becik i sprawdzał, czy Edek żyje. Żył i nawet wyglądał lepiej niż w domu. Rzeńskie powietrze chłodziło mu czoło, które wystawało z głębokiego puchu. Ranek był rześki i pogodny. Słonko nie zawiodło, jak zaszło czerwone, tak wstało, tylko z innej strony świata. Wiktoria spojrzała z wdzięcznością na jasny krąg, który się wolno wyłaniał zza sosen. Nie myśleli o deszczu. Szli szybkim krokiem, dopóki starczało sił. Przysiadali po drodze na krótki odpoczynek. Wikta próbowała karmić małego i nawet trochę wypił. Wstąpiła w nią nadzieja i zaraz szło im się różniej. Z każdym kilometrem małe dziecko zdawało się cięższe. Żalowali jednak, że nie zabrali płachty. Janowi omdlały ręce, więc brała od niego dziecko, ale i ona traciła siły. Przerazili się, że chyba w ten sposób nie dojdą. Na szczęście szli teraz twardszym gruntem. Już nie grzęźli w błocie. Droga prowadziła powyżej pól, kamienistym grzbietem wzniesienia. Słońce było wyżej, grzało im twarze, dodawało otuchy.

Wikta zatrzymała się i spojrzała w niebo.

– Robi się cieplej – powiedziała do męża i zaczęła rozwiązywać wełnianą pelerynę, którą była okryta. – Poniesiemy w niej dziecko – powiedziała. – Jestem ciepło ubrana, a słońce mocno przypieka – podała Jasiowi swój pasiak. – Będziemy szybciej szli, lżej nieść na szyi niż w rękach.

Jan zgodził się bez wahania. Ramiona miał już całkiem zdrętwiałe, a przez to i nogi słabły. Dał sobie zawiązać pelerynę na plecach, a do środka włożyli dziecko. Teraz mógł trochę odciążyć ręce i wyprostować plecy.

– Tak dużo lepiej – spojrzał z wdzięcznością. – Bylebyś ty mi się nie przeziębiła.

– Ciepło mi – uspokajała. – W marszu jest nawet gorąco. I słońce już coraz wyżej.

Dziecko zaczęło cichutko kwilić, dając znaki życia. Jan i Wikta uśmiechnęli się szczęśliwi do siebie i ruszyli w dalszą drogę.

Była już pora obiadu, kiedy dotarli na miejsce. Lekarz miał gabinet w małym domku w pobliżu kościoła. Długo przystawiał słuchawkę do małego ciała. Dziecko słabo reagowało, leżało cichutkie z przymkniętymi oczami. Już nie było takie gorące. Lekarz kazał Wikcie nakarmić chłopczyka, a wcześniej podał mu na łyżeczkę kilka kropel z ciemnej butelki. Mały niechętnie obliział spalone wargi, krztusząc się lekko. Niestety nie chciał matczyne mleko. Zaledwie kilka razy pociągnął pierś i z niechęcią odwrócił głowę.

– Trzeba często próbować – powiedział do Wikty lekarz. – Nawet kilka kropel coś daje – pocieszał. – Ale dziecko jest bardzo chore. – Stał nad małym Edkiem i przecierał zmęczone oczy. Widać długo jeździł do chorych, bo buty miał obłocone. – Tutaj są krople, trzeba je dawać co trzy godziny. Karmić piersią i podawać, dopóki nie zaśnie. Macie się gdzie zatrzymać? – zapytał z troską.

– Myśleliśmy, żeby wracać z powrotem – Jan przyznał szczerze.

Doktor spojrział na zmęczone twarze i maleństwo na lekarskim stole.

– Dwie ulice stąd jest karczma, mają tam czyste pokoje. Tak będzie lepiej dla dziecka i wam przyda się odpoczynek – stwierdził patrząc, w jakim są stanie. – A rano zajrzyjcie tu z dzieckiem, obejrzę go, zanim wrócicie do siebie.

Jaś zapłacił lekarzowi za poradę i za lekarstwo, a potem poszli poszukać karczmy. Rzeczywiście była niedaleko. Wynajęli więc pokój i zostali w nim do rana. Wikta karmiła i przewijała dziecko, a Jan jej pomagał podawać krople. Późnym wieczorem zasnęli znużeni. Nad ranem obudził ją gwar, krzyki na ulicy i stukot ciężkich kół na miejskim bruku. Otworzyła oczy i zamarła. Jana przy niej nie było. Nie było też dziecka.

Od Autorki

Historię swoją piszcie sami....

Zauważyłam, że piszę książki coraz bardziej zanurzone w przeszłości. Pogodziłam się z tym bez zastrzeżeń, to związane z wiekiem – pomyślałam – robię się sentymentalna. Aż tu pewnego dnia pojawiła się w mojej głowie wyrazista świadomość końca. Myśli o własnej śmierci, o odchodzeniu, towarzyszyły mi od pewnego momentu, ale nie były zbyt nachalne, raczej kokieteryjne. Rozpaczalam nad upływającym czasem, nad odchodzącą młodością, martwiły mnie zmarszczki, opuszczone kąciaki ust, ale śmierci w dosłownym rozumieniu nie obrazowałam w sobie. Myśl o stracie pojawiła się niespodziewanie, jak smuga cienia na granicy dnia i nocy. Czujesz ją za plecami, ale znika, gdy się obejrzyysz. Jednak jej dotyk, niczym chłód z uchylonego lufcika przyprawia o dreszcze. Pewnego dnia zrozumiałam, że chyba tracę rodziców. Pojęłam, że odchodzą, a wraz z nimi ich życie, pełne bogatych i traumatycznych doświadczeń. Odchodzi również

historia Polski. Fakt, na jej temat napisano już wiele. Sama wychowałam się na wojennych lekturach i filmach, o zaborcach, o polskich powstaniach, o głodzie, łagrach, obozach i miałam przesyty. Mimo to poczułam potrzebę spisania ich losów, a przynajmniej zebrania na tyle, żeby kiedyś dało się ją odtworzyć w całości, bez kosmetycznych poprawek i subiektywnych upiększeń. Żeby to oni sami napisali, a ja ją posłę dalej. Ich przeszłość stała się przecież moją teraźniejszością i przyszłością, bez nich by mnie nie było. Chciałam zatrzymać czas i pamięć zdarzeń i ludzi, którzy w większości już odeszli. Utrwalić imiona, nazwiska, miejsca, żeby na dłużej zostali we wspomnieniach naszych, ich wnuków, a nawet prawnuków. To nasze dziedzictwo, swoista obietnica ciągłości życia.

Kiedy rodzice zaczęli gasnąć i ciałem, i duchem, kiedy zrobili się nagle słabi i bezbronni, trochę się przestraszyłam. W oczach mieli jeszcze gwiazdy, ale z każdym dniem światło tych gwiazd traciło na sile. Co zrobić, myślałam ze smutkiem, żeby te gwiazdy na nowo rozpaścić. Pojawiła się we mnie troska, taka dziecięca czułość, utracona przed laty, gdy to oni byli dla mnie podporą. Właśnie wtedy, niemal z dnia na dzień zmieniałam swoje priorytety i zaczęłam obserwować, a później sycić się każdą spędzoną wspólnie godziną. Kiedyś robiłam różne plany, na kilka lat do przodu, później na rok, na parę miesięcy. Teraz cieszę się, że dzień minął szczęśliwie i następny może nie będzie gorszy. Wtedy, osiem lat temu, po rodzinnej naradzie postanowiliśmy rodziców odmłodzić.

Kiedy kupiliśmy im na gwiazdkę komputer, mój ojciec miał osiemdziesiąt trzy lata. W ciągu kilku tygodni opanował go na poziomie więcej niż dobrym. Chwilę później kazał sobie podłączyć Internet. Kilka dni temu obchodził dziewięćdziesiąte pierwsze urodziny, a osiem lat, które minęły, były jednymi z najlepszych w jego życiu i pewnie w życiu mamy.

Powieść *Dziedzictwo*, której niewielki fragment zamieszczam, opowiada między



Krystyna Januszewska,
Dziedzictwo.

Wydawnictwo Prószyński
i Ska, Warszawa 2015.

Str. 592.

ISBN: 978-83-8069-169-8

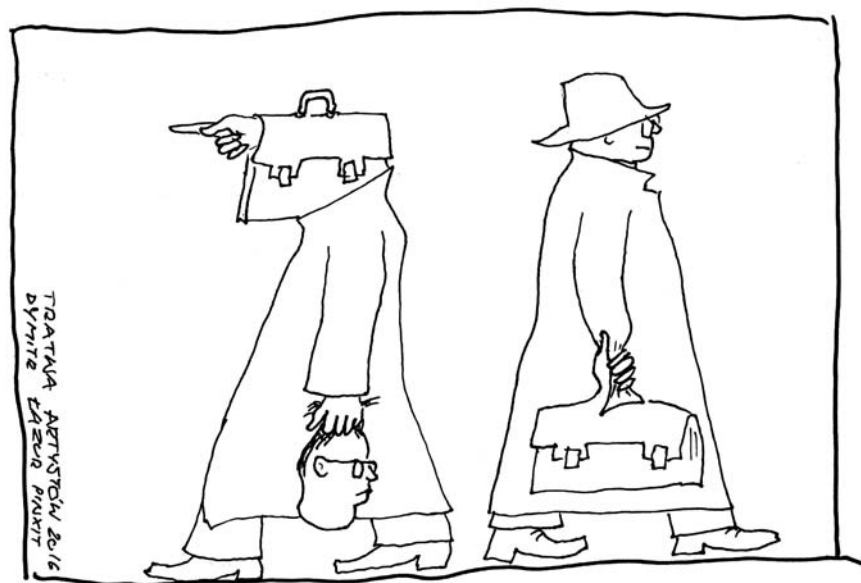
innymi historię tego komputera. Lecz to tylko niewielka część historii. Materiały zebrane, zapisane i zredagowane przez seniorów rodu w trzy rodzinne kroniki zaowocowały powieścią *Dziedzictwo*.

Krasocin to niewielka, zadbaną miejscowość leżąca u podnóża Gór Świętokrzyskich, na trasie Częstochowa – Kielce, do dziś zasiedlona w większości przez rdzennych mieszkańców. Z tego miejsca w roku 1906 swoją życiową wędrówkę rozpoczyna bohater książki. Wraz z nim wędrujemy po polskiej, podkieleckiej wsi z początków dwudziestego wieku, a później towarzyszymy mu w dalszej wędrówce do ziemi obiecanej. Wędrujemy z Janem i jego żoną na dalekie kresowe ziemie w poszukiwaniu swego miejsca na ziemi, przeżywamy budowę nowego domu, śmierć ich dziecka i trzymamy kciuki, aby im się udało. Razem z nimi wyrusza w tę podróż czterdzieści polskich rodzin.

Czterdzieści rodzin opuściło domy i udało się w podróż w poszukiwaniu ziemi obiecanej. Ludzie ci zostawili wszystko i odeszli. Mieli dość długich lat niewoli. Ileż jeszcze mogli wycierpieć? Chcieli zaznać spokoju, życia w poczuciu godności i bezpieczeństwa, w codzienności, która będzie przewidywalna. Rodzinna saga oparta na wspomnieniach świadków wydarzeń, monumentalna opowieść o ludziach odważnych i zdesperowanych, o Polakach, dla których praca była jedynym środkiem do realizacji marzeń. O tym, że człowiek prosty i niewykształcony może z poczuciem własnej wartości zabiegać o szczęście.

Historię swoją piszcie sami, bo inaczej inni napiszą o was nieprawdę – tak brzmią w przybliżeniu słowa Józefa Piłsudskiego. Dziedzictwo jest właśnie próbą napisania prawdy o zwykłych, niezwykłych Polakach.

Krystyna Januszewska



Rys. Piotr Wojciechowski

Jacek Moskwa

Węgierska siostrzyczka

– Będziecie mieli siostrzyczkę – powiedziała Mama. – Wiadomość przyjęliśmy z niedowierzaniem i pewnym nawet znudzeniem. Słyszeliśmy to już tyle razy! Tylko ja, najstarszy, byłem zaplanowanym z góry chłopcem o imieniu Jacek. Później miały się rodzić kolejno rozmaite Ewunie i Dorotki. W tych odległych czasach lekarze nie potrafili ustalić płci płodu podczas ciąży; rozczarowanie przychodziło więc dopiero w chwili porodu, gdy na świecie pojawiał się kolejny przedstawiciel płci męskiej. Najmłodszy kwilił właśnie w kołysce, a Mama nie była jeszcze znowu brzemienna. Zapisała się natomiast w kolejce do adopcji maleńkiej sierotki, której rodzice zginęli w powstaniu węgierskim.

Po sześćdziesięciu blisko latach próbuję uporządkować wspomnienia – dziecinne, ale już polityczne – z tej niezwyklej jesieni. O wcześniejszych wydarzeniach pozostały tylko jakieś strzępy: wycie syren fabrycznych po śmierci Stalina i szeptane opowieści o tym, że kogoś aresztowano, bo nie stanął na baczność, gdy rozlegał się ich dźwięk; w parę lat później długa kolejka do wystawionej w Domu Partii trumny lokalnego satrapy Bolesława Bieruta i awantura w szkole, gdy opowiedziałem na lekcji – pierwszoklasista! – zasłyszany w domu dowcip na ten temat. W miarę spójny film zaczyna się rozwijać dopiero w październiku roku 1956: na ogromnym Placu Defilad przed sowieckim pałacem – wieżowcem, który nosił jeszcze imię Józefa Stalina, bezkresny tłum – mówiono o milionie ludzi – oklaskujący uwolnionego z więzienia i powracającego do władzy Władysława Gomułkę; wieści o maszerujących znowu na Warszawę oddziałach Armii Czerwonej i o tym, że nasze wojsko będzie z nimi walczyć, a robotnikom w fabryce samochodów rozdano broń. Wszystko to zabarwione charakterystycznym dla mieszkańców Warszawy humorem: – Słyszeliście o tym, że przyleciała delegacja Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, z Chruszczowem na czele? Podobno na lotnisku wysiadał on z samolotu tyłem. – A dlaczego? – Bo pomyślał, że jeśli Polacy mają mu dać kopniaka, to bezpieczniej będzie dostać w dupę!

Wszystko to pamiętam bardzo dokładnie, aż sam się sobie dziwię. Także uczucie ulgi, kiedy napięcie zaczęło słabnąć. Po rozmowie z Gomułką w przerwie obrad VIII Plenum Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej uspokojony Chruszczow odleciał do Moskwy, oddziały sowieckie wróciły do swoich koszar na terenie Polski, a polskie do swoich. Wszyscy byli zadowoleni, że nie doszło do kolejnego wybuchu. Warszawa nie odbudowała się jeszcze całkowicie po innym powstaniu, tym z sierpnia 1944 roku przeciwko Niemcom, kiedy całe lewobrzeżne miasto legło w gruzach. – Tym razem to Węgrzy zachowali się jak Polacy – mówili moi rodzice. W ich głosach wyczuwałem raczej smutek, niż aprobatę. Mama była w warszawskim powstaniu sanitariuszką i widziała, jak pacjenci jej szpitala płoną żywcem, ojciec natomiast należał do tych oddziałów partyzanckich, które lasami przedzierały się na pomoc walczącej stolicy, dziesiątkowane przez Niemców na jej przedpolach.

Sprawy węgierskie były w tych dniach bardzo ważne, nie tylko dla mojej rodziny, ale dla wszystkich upojonych powiewem wolności rodaków. Już na wielkim wiecu przed Pałacem Kultury nad głowami tłumu obok polskich powiewały też flagi o trzech poziomych pasach: czerwonym, białym i zielonym. Do Warszawy dobiegły bowiem wieści o marszu poprzedniego dnia budapeszteńskich studentów pod pomnik Papy Bema i pojawieniu się nazajutrz na ulicach Budapesztu sowieckich czołgów. Podobno Władysław Gomułka był bardzo niezadowolony z tej demonstracji. Ludzie odczytywali jednak prawidłowo, zapewne w większości nieświadomie, prawdziwe znaczenie tych kolorów, które symbolizują odpowiednio siłę, wiarę i nadzieję.

Na łamach polskich gazet echa demonstracji w Budapeszcie były w następnych dniach zróżnicowane. Niektóre z nich, jeszcze pod kontrolą partyjnych aparatczyków, pisały początkowo o „kontrewolucyjnych wypadkach”. Bardzo prędko przeważał jednak ton sympatii. Prasa uzyskiwała – jak się okazało na bardzo krótki okres – sporą swobodę wyrażania opinii. Wydarzenia węgierskie w oczywisty sposób jawiły się jako rewers „Polskiego Października”. Chociaż nadal obowiązywała cenzura, w niektórych pismach ukazywały się dramatyczne zdjęcia czołgów i barykad na ulicach Budapesztu, powstańców pod sztandarami, z których usunięto komunistyczne symbole, a także obszerne relacje. Autorzy starali się prześcigać, jak najwięcej prawdy. Jeden z tych specjalnych wysłanników, pisarz Wiktor Woroszyński w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych był przywódcą najbardziej skrajnych piewców przyniesionej na sowieckich bagnach

rewolucji komunistycznej Nazywano ich złośliwie „pryszczatymi”, co było aluzją do młodzieńczego trądziku na twarzach. Woroszyński tworzył peany o Stalinie i zmęczonych ściganiem wrogów oficerach służby bezpieczeństwa. Pobyt w Budapeszcie jesienią 1956 roku okazał się w jego życiu przełomem. Ludzie wyrwali sobie z rąk numery „Nowej Kultury”, gdzie drukował swój „Dziennik węgierski”. Poznałem go osobiście już w latach siedemdziesiątych, kiedy był jedną z ogólnie szanowanych postaci opozycji demokratycznej i podziemnego ruchu wydawniczego.

Najbardziej dramatyczne karty tych relacji – opisy sowieckiej interwencji – padały oczywiście ofiarą cenzorskich ołówków. Mimo to, dzięki audycjom Radia „Wolna Europa” i innych zachodnich rozgłośni, ludzie doskonale wiedzieli, co się dzieje. Media w Polsce natomiast obszernie informowały o akcji zbierania i wysyłki do walczącego Budapesztu lekarstw i krwi. Ogłosiło ją państwowe Polskie Radio. Odzew był tak wielki, że punkty krwiodawstwa – pracujące 24 godziny na dobę – nie nadążały z przyjmowaniem wszystkich dawców. Jedna z gazet opublikowała wiersz poety Tadeusza Kubiaka, w którym padło takie zdanie: „Siostrzo, otwieraj żyły igłą zimną, jak lód, bierz dla tych, co konają, moją żywą krew”. Jeszcze przed pomocą z krajów „wolnego świata” dotarły z Polski do Budapesztu transporty krwi (około 800 litrów), lekarstw i środków opatrunkowych. Jeden z przyjaciół opowiadał mi niedawno, że kiedy w jego rodzinnym Poznaniu, rozeszła się wieść, jakoby ta pomoc medyczna ma trafić do ZSRR, bo na skrzynkach z ampułkami były jakieś napisy po rosyjsku, to zamalowywano je nocą i pisano po polsku „Dla Węgier”.

Na informacje te, a także reprodukowane z prasy zdjęcia: kolejki przed punktami pobierania krwi, załadunek materiałów medycznych do samolotu – natrafiłem, szukając w Internecie wiadomości o akcji adoptowania w Polsce węgierskich sierot. Jest ona jednak wspomniana tylko na marginesie. Mowa jest o napływających z różnych stron Polski deklaracjach przyjmowania dzieci. Żona mówi mi, że słyszała o tym od swojej matki, która była pracowniczką Polskiego Czerwonego Krzyża. Moja teściowa podobno jeździła nawet w tej sprawie do Budapesztu, ale zmarła 36 lat temu i sprawa zatarła się w pamięci córek. Dzieci chyba przyjechały, nie wiadomo jednak, czy goszczone były w poszczególnych rodzinach, czy zbiorowo w jakichś zakładach. Wygląda na to, że pomysł narodził się w rodzinnym mieście generała Józefa Bema – Tarnowie. Jego mieszkańcy zaprosili setkę sierot, jednak ich przyjazd uzależniono od zgody władz węgierskich, które obawiały się rozluźnienia więzi rodzinnych i narodowych.

Coś podobnego zapamiętałem z wyjaśnień moich rodziców, którzy musieli nam zakomunikować, dlaczego węgierska siostrzyczka nie przyjedzie. W następnym roku zresztą moja Mama urodziła bliźniaki. Wymarzona córka zmarła jednak po ośmiu dniach, a chłopiec przyszedł na świat jako kaleka i przeżył tylko nieco ponad dwa lata.

* * *

Wśród związanych z tym smutnych wydarzeń czuliśmy się z bratem pozostawieni samym sobie. W dodatku przeprowadziliśmy się na drugi brzeg Wisły, do całkiem nowego domu. Tymczasem tęskniłem bardzo za prawobrzeżną, niezniszczoną podczas wojny Pragą, gdzie zachowały się stare kamienice, a ludzie mieli swój niepowtarzalny charakter. Prawdopodobnie z powodu tego osamotnienia i nostalgii zacząłem wieczorami, przed zaśnięciem, opowiadać bratu o wydarzeniach, jakie przed naszą przeprowadzką rozgrywały się na wielkim, niezabudowanym placu opodal mojej dawnej szkoły, gdzie zaliczyłem dwie początkowe klasy podstawówki. Dawniej, może nawet jeszcze za carskich czasów, wojsko ćwiczyło tam musztrę. Po wojnie koszary Legii Akademickiej przy ulicy Namysłowskiej zostały jednak zamienione na więzienie. Z nieznanых powodów ludność okoliczna nazwała je Toledo. Cieszyło się ono bardzo złą sławą, bo najpierw sowieckie NKWD, a później podporządkowane mu UB, więziły tam patriotów, przede wszystkim członków zbrojnego podziemia. Szeptem opowiadano sobie straszne szczegóły o torturach i rozstrzeliwaniach, które ostatnio ustały z powodu politycznej odwilży. Plac nie wchodził chyba w skład więzienia, bo w przeciwieństwie do niego ogrodzony był dosyć niedbale. Przekradaliśmy się tam czasem z kolegami, aby zagrać w piłkę, czy bawić się w Indian.

Miejsce to uczyniłem teatrem opowiadanej bratu historii. Tak naprawdę nie była ona w pełni oryginalna, bo wyraźnie zależna od powieści „Chłopcy z Placu Broni” Ferencza Molnára. Od kilkudziesięciu lat cieszyła się ona w Polsce, podobnie zresztą, jak na całym świecie, ogromnym powodzeniem. Ja także w niej się rozczytywałem. Przełożona jeszcze w 1913 roku, zresztą z wydania niemieckiego, miała nieco archaiczny język. Wcale mi to nie przeszkadzało, bowiem już wtedy doszedłem do wniosku, że świat rozwija się w złym kierunku. Chętnie więc uciekałem w przeszłość. Taki miałem sposób uprawiania lektur: wchodziłem w nie całkowicie, stawiałem się jednym z bohaterów. I tak czytając „Potop” Henryka Sienkiewicza

byłem panem Andrzejem Kmicicem, siedemnastowiecznym zabijaką, walczącym ze Szwedami i zdrajcą Radziwiłłem, a pożerając jedną z licznych opowieści o Indianach – stawałem się ich przyjacielem, Błądą Twarzą.

Chociaż w pomyśle tak zależna od „Chłopców z Placu Broni” opowieść moja miała jednak całkiem inną fabułę i bohaterów. Nie było więc walczących o plac dwóch drużyn budapeszteńskich chłopców, nie było przede wszystkim bohaterskiego Ernesta Nemeczka. Jego śmierć przeżyłem bardzo i zupełnie nie wiedziałbym, jak go wskrzesić. Na placu przy ulicy Namysłowskiej działałem z grupą moich kolegów. Oczywiście mianowałem się ich przywódcą; w opowiadaniu łatwiej o to, niż w życiu realnym, ale i w nim wykazywałem takie skłonności, kiedy buszowaliśmy po ruinach obrzucając odłamkami cegieł konkurencyjne gangi. Braciszek mój, kawał niezłego chuligana, uczestniczył czynnie w tych działaniach jako szeregowy, ale wyjątkowo oddany sprawie żołnierz. W mojej opowieści jednak nie występował, słuchał tylko z wypiekami na twarzy o naszych tajemnych poczynaniach. Na tamtym, pozostawionym za Wisłą, placu toczyła się bowiem bezlitosna walka o ocalenie uwięzionego w murach Toledo przywódcy partyzantów. Przeciwnikami nie byli chłopcy z innej grupy, ale groźni ubecy i strażnicy więzienni. Opowieść snułem tygodniami. Niestety, przez ponad pół wieku zdążyłem zapomnieć te wszystkie perypetie. Szkoda, bo teraz jest zdecydowanie lepsza koniunktura na takie historie i mogłaby wyjść niezła książka przygodowa.

Dlaczego jednak wracam do tego wspomnienia? Otóż jakoś tak się stało, że w mojej opowieści pojawiła się Ilona, nasza węgierska siostrzyczka. Brat w pierwszej chwili nie mógł tego zrozumieć: – Jak to? Przecież jej nie ma, nie przyjechała! – Przyjechała, przyjechała – wyjaśniałem cierpliwie. – Przyjechała, tylko musi się ukrywać! Inaczej musiałaby wrócić na Węgry, a nie wiadomo, co ją tam czeka. Jest przecież sierotą. – Stasio niby wiedział, że to bujda, lecz domagał się dalszego ciągu i zachowywał tak, jakby we wszystko wierzył; nawet wzbogacał narrację własnymi pomysłami: – No nie jest sierotą, ma przecież nas!

Ilona była w naszym oddziale niezastąpiona. Odważna za trzech chłopców, wykazywała też nie lada jaki spryt. Przechadzając się zalotnie odwracała uwagę strażników. Opatrywała rany, kiedy do nas strzelano. Wszyscy byli w niej zakochani: miała oczy czarne, jak węgle i także włosy, splecione w dwa grube warkocze.

Akcja obfitowała w niespodziewane zwroty, powoli jednak wyczerpywała się moja inwencja. Szef partyzantów zbiegł z naszą pomocą z więzienia

i musiał oddać się do nowych, niebezpiecznych zadań. Nie bardzo wiedziałem, co zrobić z Iloną. Nie mogła przecież opuścić opowieści i zamieszkać z nami. Wymyśliłem, że dowódca ją pokocha i zabierze ze sobą. – Czy nie jest dla niego za młoda? – wyraził wątpliwość Stasio. Można było odnieść wrażenie, że był o małą Węgierkę trochę zazdrosny. – Poczekaj aż ona dorosnie! – odpowiedziałem. – Czytałem ci przecież „W pustyni i w puszczy” Sienkiewicza. Nel ma osiem lat, a w zakończeniu osiemnaście. W sam raz dla twojego imiennika Stasia, który osiągnął wiek lat dwudziestu czterech.

* * *

Dziś myślę, że ta przygoda z nieistniejącą siostrzyczką stała się impulsem do mojej pierwszej dorosłej miłości. Stawiam akcent na słowo „dorosłej”, bo w dzieciństwie byłem osobnikiem dosyć kochliwym i pamiętam rozmaite panie mojego serca jeszcze z czasów przedszkolnych. W liceum jakoś mi to przeszło. Naprawdę zakochałem się dopiero latem 1967 roku. Nasza paczka studentów pierwszego roku prawa dopiero się formowała. Pojechaliśmy razem na wspólne wakacje w Zakopanem. Ze wstydem przyznaję, że górskie wspinaczki niespecjalnie nas interesowały; czas spędzaliśmy miło w kawiarniach i na nocnych dansingach. Chyba przy takiej okazji spotkaliśmy kolegę ze studiów, który mieszkał w domu wypoczynkowym dla prominentów na wzgórzu Antałówka. Przyprowadził ze sobą dwie młodziutki Węgierki, które też tam były na wakacjach. Trudno powiedzieć, jak to się stało, że między jedną z tych dziewczyn, a mną, natychmiast coś zaiskrzyło. Rozmawialiśmy po angielsku; mój był wtedy bardzo szkolny, jej także, o ile pamiętam. Umówiliśmy się następnego dnia na spacer Drogą pod Reglami, skąd jest piękna panorama Zakopanego i Gubałówki, ale Wysokich Tatr nie widać, bo zakrywają je okoliczne wzgórza.

Cóż można powiedzieć o parodniowym flircie dziewiętnastoletniego studenta z szesnastoletnią licealistką? Co sprawiło, że tak głęboko zapadła mi w pamięć? Ukryję ją za inicjałem G., gdyż nawet po blisko pół wieku nie chciałbym być niedyskretny. Na pozór wiele nas dzieliło: ona była córką jakiegoś wiceministra, moi rodzice nie mieli nic do czynienia z komunistyczną władzą. Nie przypominała też w żaden sposób Ilony z opowieści o naszych wyczynach na placu obok więzienia przy ulicy Namysłowskiej w Warszawie. Nie miała oczu, jak węgle, ani kruczonych włosów, zaplecionych w grube warlocke. Jedyne czarnobiałe zdjęcie, jakie zachowałem, o marginesie w rozczulające ząbki, przedstawia śpiącą na sianie dziewczynę z dziecinną buzią

i krótką fryzurą, ubraną w jednoczęściowy kostium pływacki z białego trykotu; częściowo przykrywa ją brezentowa plandeka, co sugeruje, że fotografia została wykonana na jakimś młodzieżowym obozie.

Odręczny napis niebieskim atramentem na odwrocie głosi: „*That was me. Velencefűrdő, 1967 june 18*”. Trudnej do odcyfrowania nazwy miejscowości nie udało mi się znaleźć w Internecie. Składa się ona z dwóch słów. *Velence*, po węgiersku Wenecja, to niewielkie i płytkie, zarośnięte w dużej części szuwarami, powulkaniczne jezioro na przedłużeniu Balatonu. *Fűrdő* zaś to po prostu kąpielisko. Data wskazuje, że zdjęcie zostało wykonane przed naszym zakopiańskim spotkaniem.

Mimo wszystko pochodzenie G. musiało wpłynąć na to zauroczenie. Może była w tym duma, że cudzoziemka właśnie na mnie zwróciła uwagę. Zapamiętałem z węgierskiego kilka czułych słówek. Jedno z nich *Nyuszi*, oznaczające małego króliczka – którego zresztą wcale nie przypominałem – stało się na długie lata moim przydomkiem w koleżeńskim kręgu. Miała też młodziutka G. w sobie jakiś smutek i nostalgię, które do dziś kojarzą mi się z tym narodem. Mówiła, że oplakują utratę po pierwszej wojnie światowej trzech czwartych terytorium i mają najwyższy na świecie wskaźnik samobójstw. Prawdę powiedziawszy – zadziwiające uwagi, jak na szesnastoletnią dziewczynę, w dodatku, bądź co bądź, córkę wysokiego rangą funkcjonariusza państwowego. O wydarzeniach 1956 roku nie rozmawialiśmy, ale pamięć o nich tkwiła gdzieś z tyłu głowy.

Po zakopiańskich wakacjach czekało nas zgrupowanie wojskowego przysposobienia studentów. Zabrałem na nie to zdjęcie o marginesie przyciętym w ząbki, nosiłem je w kieszeni munduru na piersiach. Do koszar w Hrubieszowie rodzice przesłali mi też kilka listów poczty lotniczej z Budapesztu. Wszystkie zaczynały się od słowa *Nyuszi* i opatrzone był rysunkiem małego zwierzątka. Później korespondencja się urwała.

* * *

W Budapeszcie po raz pierwszy znalazłem się w sierpniu następnego roku. Paru z nas, zresztą kolegów z tej samej paczki, zapisało się na wyjazd do Kazachstanu, gdzie mieliśmy wziąć udział w młodzieżowym obozie pracy. Kilka miesięcy wcześniej w Polsce były studenckie rozruchy, znane jako Marzec 1968. Uznano nas widać za niezbyt pewnych politycznie, bo zamiast do ZSRR pojechalśmy na Węgry, co było oczywiście znacznie przyjemniejsze. Budowaliśmy siedzibę jakiejś organizacji przy Amerikai út,

dosyć oddalonej od centrum, gdzie zakwaterowano nas w siedzibie dawnego seminarium duchownego. Z okna pokoju, wychodzącego na dziedziniec, widzieliśmy skraj dachu, a przy nim okazały krzyż, na którym zawieszono niemniej okazałą, czerwoną gwiazdę. Raziły te sowieckie symbole, których Polska jakoś szczęśliwie uniknęła. Spotykało się je w wielu miejscach, nawet na kotłach lokomotyw. Natomiast samo miasto, zwłaszcza przeszkłone witryny i wejścia do sklepów na Váci utca, robiły zdecydowanie bardziej zachodnie wrażenie. W Polsce ówczesnej wystawy były jakieś szare i nieciekawe, a żeby wstąpić do „placówki handlowej” trzeba było z niemałym wysiłkiem szarpać jej opancerzone drzwi.

W centrum Budapesztu nie było żadnych śladów wydarzeń sprzed dwunastu lat, ale nieco dalej, po drodze do pracy tramwajem widzieliśmy fasady domów ze śladami po kulach. Ktoś pokazał nam z daleka budynek ambasady amerykańskiej, gdzie korzystał z azylu kardynał József Mindszenty. Uwolniony z komunistycznego więzienia wygłosił w gmachu Parlamentu przemówienie do Węgrów i świata, w którym domagał się wolnych wyborów, dostępnych dla wszystkich partii, a także wycofania z kraju wojsk sowieckich. Zapłacił za to wysoką cenę przymusowego azylu w przedstawicielstwie USA, a później wygnania. W tym samym czasie prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński, też przecież był więzien komunistów, obrał inną taktykę. Poparł komunistycznego przywódcę Władysława Gomułkę, który wkrótce potem zaczął go bezlitośnie zwalczać. Czyja postawa była właściwa? Dyskutowaliśmy o tym wieczorami, ale tylko w swoim gronie. Dopiero teraz uderzyła mnie myśl, że nie mieliśmy wcale kontaktów z węgierską młodzieżą; z sowieckimi studentami obojga płci, którzy też pracowali na budowie, owszem – głównie, alkoholowe i męsko-damskie.

Zadzwoiłem oczywiście do G. Mieszkała w pięknej kamienicy przy bulwarze, niedaleko pomnika Bema, ale umówiliśmy się na mieście. Do baru w przedwojennej galerii handlowej przyszła w towarzystwie swojego aktualnego chłopaka. Wymieniliśmy uprzejmości, wypiliśmy jakiś koktajl; oczarowanie minęło.

Na budowie przydzielono mnie z kolegą do cieśli i jego pomocnika. Obydwaj nosili to samo imię Jancsi, co jest zdrobnieniem od János, po naszemu Janusz. Starszy z przydomkiem *bácsi*, czyli wujek. Młodszy był po prostu tylko Jancsi: niezmiernie chudy pokazywał w szerokim uśmiechu garnitur poczerniałych korzeni zębowych. Wiele się od nich nauczyłem. Do dziś potrafię wbić duży gwóźdź dwoma uderzeniami obucha. Robiliśmy głównie szalunki, do których wylewano beton. Dziwiły, w języku

tak dalekim od polskiego, słowiańskie echa w nazwach narzędzi pracy. Młotek. *kalapacs*, kojarzył się z kłapaniem, a polska siekiera to po węgiersku *szekerce*. Najtrudniej było przyzwyczaić się do kuchni z kotła – głównie tłustej wieprzowiny w słodkim sosie pomidorowym. Posiłki spożywaliśmy na wolnym powietrzu; opodał była kostnica szpitalna, do której od czasu do czasu przywożono świeżo zmarłych pacjentów, szczęśliwie pod przykryciem.

Po miesiącu otrzymaliśmy skromną zapłatę, którą przebulaliśmy w jedną noc, a następnie wyruszyliśmy na objazd Węgier. Ostatnim jego punktem był rejs statkiem po Dunaju na trasie Budapeszt – Visegrád – Esztergom. Nastroje zepsuła historia: już wczesnym rankiem radio doniosło o wkroczeniu do Czechosłowacji wojsk Układu Warszawskiego. Przez cały dzień na pokładzie trwały zażarte dyskusje, szefowie naszej grupy, młodzi kandydaci na aparatczyków, pochwalali oczywiście podjęte na Kremlu decyzje. Ja wstydziłem się za Polaków i Węgrów, którzy odbierają innym wolność. Żał było naszych rówieśników, upojonych odwilżą po latach dyktatury młodych Czechów, których spotkaliśmy na Baszcie Rybackiej poprzedniego dnia.

Droga do domu przez Czechosłowację była zamknięta. Turystów z Polski i Niemieckiej Republiki Demokratycznej ewakuowano przez Ukrainę. Pociąg odjeżdżał z dworca Keleti, jak na starym filmie spowitego parą lokomotyw, których wtedy powszechnie jeszcze używano. Z tej mgły wyłoniła się znajoma para: Jancsi *bácsi* i jego pomocnik Jancsi bez żadnego przydomka. Ten ostatni zaprezentował w promiennym uśmiech resztki swoich zębów i podał przez okno wagonu spory gąsiorek domowego wina. Jakże ich potem błogosławiliśmy! Podróż przez ZSRR, bez prawa wysiadania na stacjach, trwała ponad dobę, suchy prowiant i skąpe ilości wody mineralnej dostaliśmy tylko raz.

* * *

W latach siedemdziesiątych odwiedzałem Węgry parokrotnie. Spędziłem z żoną, w większym zresztą towarzystwie, bardzo miłe wakacje nad Balatonem. Innym razem z klubem reporterów zwiedzaliśmy uzdrowisko Hajduszoboszlo. Wśród uczestników tej wycieczki był mój przyjaciel Mietek Gil, redaktor zakładowej gazetki z Nowej Huty, za kilka lat legendarny przywódca „Solidarności” w Małopolsce. Na razie nic nie zapowiadało przełomu. Polska pod rządami Edwarda Gierka była w lepszej

sytuacji, niż za Władysława Gomułki, ale „gulaszowy socjalizm” Jánosa Kádára wydawał się zdecydowanie bardziej zaawansowany. Prędko okazało się, że obydwaj przywódcy kupowali spokój społeczny dzięki środkom z zachodnich kredytów, które miały spłacać przyszłe pokolenia

Niewiele wiedzieliśmy o reakcjach społeczeństwa węgierskiego na wielkie strajki roku 1980, powstanie „Solidarności” i stan wojenny. Propagandziści generała Jaruzelskiego starali się stworzyć wrażenie, że ościennne narody obawiają się „polskich warcholów”. Nasze losy zbiegły się znowu w roku 1989. Widziana z perspektywy ponad ćwierćwiecza, strategia bankrutujących komunistów w obydwu krajach wygląda podobnie. Próbowali utrzymać władzę w zamian za dopuszczenie do niej części opozycji demokratycznej. Prowadzone w tym celu rokowania przeszły do historii w Polsce pod nazwą „okrągłego”, na Węgrzech „trójkątnego stołu”. Nasz był wcześniejszy o kilka miesięcy. Wiadomo, jak się zakończył: powtórna legalizacja „Solidarności” i częściowo wolnymi wyborami, które mimo ograniczeń narzuconych opozycji, okazały się całkowitą klęską rządzącej partii. Na Węgrzech „trójkątny stół” zaczął się później, ale demokraci licytowali wyżej – domagali się wyborów całkowicie wolnych. Zgodę na ich przeprowadzenie uzyskali 18 września 1989 roku

Wkrótce potem znalazłem się znowu w Budapeszcie. Pewna fundacja z USA poprosiła kilka osób, które ze strony Komitetu Obywatelskiego „Solidarności” przygotowywały kampanię przed wyborami 4 czerwca, abyśmy podzielili się z Węgrami naszymi doświadczeniami. Prędko okazało się, że nie mamy naszych przyjaciół czego uczyć. Przeciwnie, radował nas ich radykalizm, gdy tymczasem część przywódców obozu „Solidarności” narzucała taktykę aż przesadnie ostrożną. Uczyliśmy się nazw nowych partii: Węgierskie Forum Demokratyczne, Niezależna Partia Drobnych Posiadaczy, Chrześcijańsko-Demokratyczna Partia Ludowa. Z działaczami tej ostatniej zaprzyjaźniłem się najbardziej; byłem później gościem na ich zjeździe. To oni zwrócili moją uwagę na niewielką wówczas partię Związek Młodych Demokratów „Fidesz” i jej dynamicznego lidera Viktora Orbána. – Jeszcze o nim usłyszycie – mówili.

O ile pamiętam, poznałem go nawet osobiście. Mieszają się jednak wspomnienia osób i sytuacji. Było dużo węgierskiego wina i gorących dyskusji, przeciągających się do świtu. Wielkiej nadziei, a jednocześnie niepokoju o przyszłość. W Polsce i na Węgrzech stacjonowała jeszcze Armia Czerwona, Imperium zdawało się być osłabione, ale zdolne do obrony stanu posiadania.

Aha! Byłbym zapomniał. Ponieważ nasz przyjazd zorganizowali Amerykanie, przyjął nas też ambasador USA. Zobaczyliśmy pokój, w którym przebywał przed laty kardynał Mindszenty. Był tam kominek, do którego węgierscy bezpieczniacy z AVH zapuszczali z dachu mikrofony na długich przewodach.

* * *

– A więc o mały włos się nie spotkaliśmy – powiedziała G. – Pod koniec lat osiemdziesiątych byłam blisko opozycji,

Miałem przed sobą dojrzałą, ciągle piękną kobietę, której nie widziałem od 36 lat. Niczym nie przypominała zdjęcia szesnastoletniej dziewczynki śpiącej na sianie gdzieś opodal Balatonu. Pomyślałem, że tak, jak tamta, może wygląda jej córka, która odebrała telefon. Siedzieliśmy naprzeciw siebie przy stoliku w jednej z licznych restauracji w pobliżu budapesztańskiej Opery, chyba jakoś tak z tyłu tego okazałego gmachu. Nie zapamiętałem niestety jej nazwy, teraz próbowałem znaleźć ją w Internecie, ale nie przypuszczałem, że jest ich tyle. Zapamiętałem, że na ścianach były zdjęcia dawnych spektakli i gwiazd operowych. Poza nami, pianistą i kelnerami na sali nie było nikogo, bo o tej porze widzowie nie wyszli jeszcze z teatrów.

W scenariuszu filmowym okoliczności naszego spotkania zadowoliłyby najbardziej wybrednego producenta. W roku 2004 od kilkunastu już lat pracowałem w Rzymie jako korespondent polskiej telewizji, radia i prasy. Zajmowałem się głównie Janem Pawłem II. Relacjonowałem jego niestrudzone działania, podróżowałem na pokładzie papieskiego samolotu do różnych pasjonujących krajów, jak Izrael, Kuba i wiele innych. Zacząłem pisać na ten temat książki.

Pewnego wieczora na przyjęciu w Instytucie Polskim panował spory tłok. Goście rozmawiali przede wszystkim po włosku, ale gdzieś obok siebie usłyszałem węgierski. Po paru kieliszkach wina bywam bardziej wylewny, więc zwróciłem się bezpośrednio do nieznanego mężczyzny: – Kocham ten język. Znałem kiedyś dziewczynę o imieniu G. – tu dodałem nazwisko. – Ja też ją znam – odrzekł nieznajomy, jakby było to coś najzwyklejszego w świecie. Po kilku zdaniach było jasne, że już się wcześniej kiedyś widzieliśmy. Miałem przed sobą chłopaka, z którym G. przyszła na nasze ostatnie spotkanie w Budapeszcie, w odległym roku 1968. Teraz był w Rzymie dyrektorem Węgierskiego Instytutu Kultury.

Na odwrocie wizytówki zapisał mi numer jej telefonu. Zadzwoniłem następnego dnia, ale stchórzyłem i odłożyłem słuchawkę zaraz po tym,

jak odezwał się obcy głos. W kilka miesięcy później znalazłem się jednak znowu na Węgrzech. Przyjaciół Konrad zorganizował prezentację jednej z moich papieskich książek dla polskiej wspólnoty w Budapeszcie. Bardzo miłe dla mnie spotkanie odbyło się w salce przy kościele, a po południu poszedłem na spacer. Odwiedziłem kilka znajomych budowli, zrobiłem sobie zdjęcie z Imre Nagy'em, który ma pomnik na szpiżowym mostku. Nawet najpiękniejsza metropolia nie jest specjalnie przyjazna dla samotnego przybysza w pierwszych dniach grudnia. Przenikliwie zimno i silny wiatr były trudne do wytrzymania, przedświąteczne kiermasze wydawały się mało ciekawe. Włoski telefon komórkowy miał na Węgrzech roaming, raz jeszcze wybrałem otrzymany w Rzymie od znajomego G. jej numer. Przez kilka dłuższych chwil nie mogła zrozumieć moich nieskładnych wyjaśnień: – Jacek... Zakopane ... year 1967? – z wyraźnymi oporami zgodziła się na spotkanie. Zaproponowałem ostatni przystanek linii tramwajowej która biegnie bulwarem Dunaju obok Parlamentu. Znałem to miejsce, umawiałem się tam parokrotnie z pewną Francuzką, bardzo dawno temu. Minęło chyba czterdzieści minut po uzgodnionym terminie, kiedy zniecierpliwiony czekaniem zadzwoniłem znowu. Dziewczęcy głos poinformował, że mama właśnie wyszła z domu.

Nie wiem, czy byłbym ją rozpoznał w innych okolicznościach, ale na przystanku nie pojawił się nikt poza nią. Zbyt wiele upłynęło czasu, aby nasze przywitanie było serdeczne. Spotkały się dwie zupełnie obce sobie osoby. Zaprowadziła mnie do jakiegoś baru w pobliżu, który wydał mi się obskurny. – Dajmy spokój tej spelunce – powiedziałem. – Na spotkaniu autorskim sprzedałem za forinty kilkadziesiąt egzemplarzy moich książek. Musimy jakoś lepiej uczcić nasze spotkanie po latach.

Tak znaleźliśmy się w eleganckiej, ale bez przesady, restauracji na tyłach Opery. Znudzeni beczynnością kelnerzy czekali na każde skinienie, pianista grał melodię z filmu „Casablanca”, piliśmy niezłe wino i coś tam jedliśmy. Streściłem G. moje dorosłe życie, szerzej opowiadając o czasach „Solidarności” i pracy w Rzymie. Ona mówiła o kolejach swojego losu; odniosłem wrażenie, że niezbyt fortunnego. Wyszła za Fina i wyjechała z nim do Helsinek. Pokrewieństwo językowe niekoniecznie oznacza bliskość dusz. Fin gustował nadmiernie w alkoholu, a G. uciekała od niego promem do Gdańska, aby odetchnąć bardziej odpowiadającą jej atmosferą. W końcu zostawiła go śpiącego pod stołem i wróciła na Węgry. Teraz wychowywała samotnie córeczkę z innego związku. Przyjaźniła się z Łászló Rajkiem, synem komunistycznego przywódcy o tym samym imieniu,

uwięzionego przez partyjnych towarzyszy, oskarżonego o nacjonalizm, próbę przeprowadzenia zamachu stanu i udział w międzynarodowym spisku, który miał obejmować także Władysława Gomułkę. Rajka – ojca skazano na śmierć w sfingowanym procesie i stracono w październiku 1949 roku. Jego urodzony dziesięć miesięcy wcześniej syn jako dorosły człowiek został dysydemem i obrońcą praw człowieka. Do opozycji demokratycznej wprowadził także G.

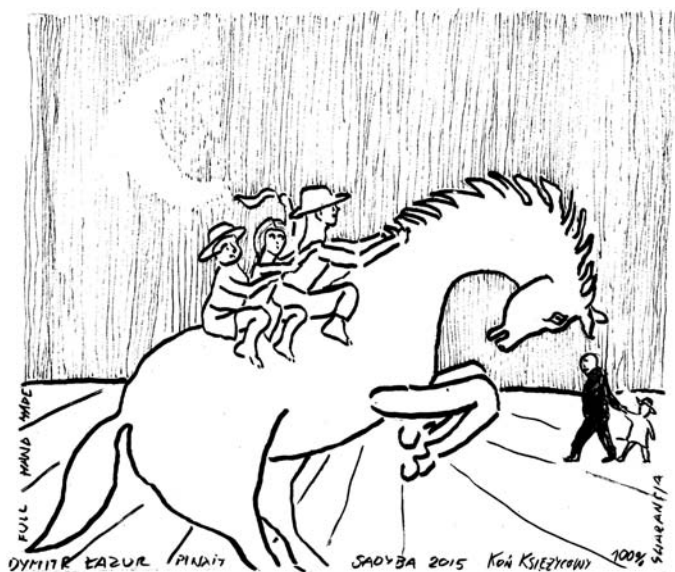
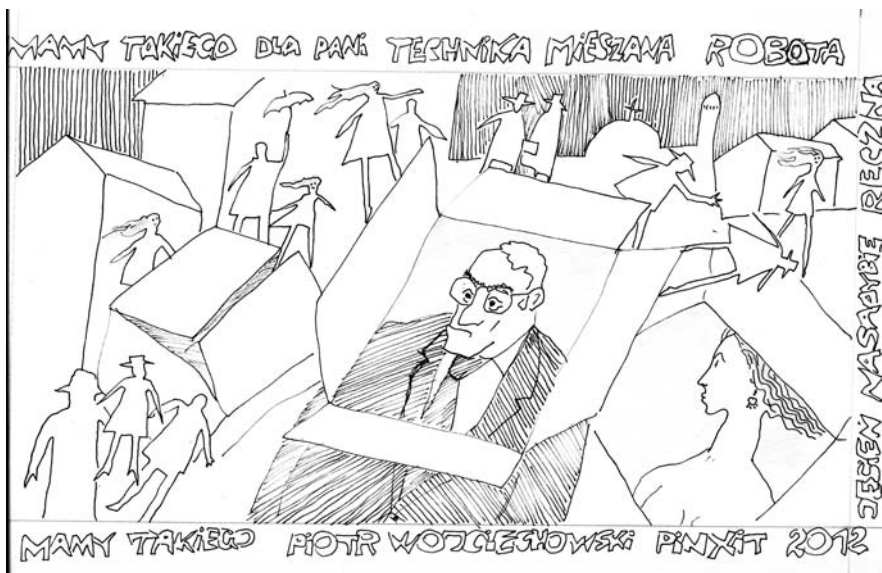
– W latach osiemdziesiątych bardzo nasłuchiwałem głosów z Polski o powstaniu i walce „Solidarności” – opowiadała. – W roku 1989 wiedziałam o przyjeździe waszej delegacji, mało brakowało, a byśmy się spotkali. Właściwie szkoda.

– Szkoda – potwierdziłem. – Odwiozłem ją taksówką do domu w Budzie, a sam wróciłem do polskiego pensjonatu w Peszcie. Po wypitej wieczorem mocnej, węgierskiej kawie długo nie mogłem zasnąć. Wśród innych spraw myślałem też i o tym, że G. i ta nasza nieobecna siostrzyczka z Węgier, której w fantazjach nadałem imię Ilona, byłyby zapewne rówieśnikami.

Jacek Moskwa

Nota

Dnia 29 października 2016 roku w gmachu parlamentu w Budapeszcie miało miejsce międzynarodowe spotkanie pisarzy dla upamiętnienia 60. rocznicy węgierskiego powstania 1956 roku. Z naszej strony wzięli w nim udział prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Sergiusz Sterna-Wachowiak oraz wiceprezes Jacek Moskwa. Uczestników poproszono o przygotowanie tekstów wspomnieniowych, naukowych i literackich związanych z tematem sesji. Publikowany powyżej tekst Jacka Moskwy *Węgierska siostrzyczka* w tłumaczeniu Gábora Zsille ukaże się czasopiśmie Związku Pisarzy Węgierskich „Magyar Napló”.



Rys. Piotr Wojciechowski

Wiesława Oramus

Praca szefa

Wszystko było takie rozwalone, zdeorganizowane! U jednych roztrzęsione ręce, tabletki trzy zamiast jednej na otwartej dłoni, u nerwowych, charakterystyczny brzęk filiżanki kładzonej na spodeczku zbyt gwałtownie przez nieumiejących tłumić złości. Wyczuwało się płytkość oddechów, łapczywe łapanie powietrza, ze świstem, pocharkiwaniami, chyba nawet odgłosy tłumionego szlochu? Szuranie krzeseł dało się też słyszeć, obijającego się drewna o drewno, uderzania poręczami o ścianę, otwartą dłonią o uda, szeroko rozstawione, u kobiet pstrykanie długopisami, szuranie zamków torebek, szelest chusteczek higienicznych, smarknięcia.

Była też agresja, widziało się wąskie, zaciśnięte usta, zjeżone brwi, oczy jak szparki pod nimi, krótkie spojrzenia rzucane na sąsiada albo na całość zgromadzenia, odsuwanie się na odległość uniemożliwiającą okazanie chociażby pobłażliwości, u niektórych było to po prostu zabijanie wzrokiem.

Tak, obrzydzenie też było, nie zmniejszone przez złotka, sreberka owijające czekoladki, ułożone misternie na talerzykach, kolorowe kulki na stroikach, w kolorze purpury, pereł i rubinów, przyprószonych złotym i srebrnym pyłem i takimiż wstążeczkami owijającymi paczuszki, tak demokratycznie, równo ułożonymi, jak terakotowa armia. Obrzydzenie było, jakieś takie odpychające od tych wszystkich kolorów i kształtów, i strategii.

Ogólnie, można tak to zdefiniować, płynność w tym rozwaleniu była, czy może ściślej; była to płynność rozwalenia, czyli brak stałej formy, ani przewidywalności następnej; zwyczajnie, po prostu żadnego constansu, ani szansy na pojawienie się.

Były też reakcje zbiorowe – tworzenie się grupiek, zamykanie się w sobie, w zamkniętym kręgu ciał prezentujących plecy reszcie świata, wewnętrzną siłę. Płeć też miała znaczenie – były kobiece reakcje – szukanie ciepła ludzkiego ciała, przylgnięcie do ciała koleżanki, oparcie głowy na ramieniu, gładzenie po plecach lub ramieniu, pożyczanie chusteczki.

Byli też odcięci od wszystkiego i wszystkich – ponad, z notatnikami na kolanach, z rozłożoną gazetą, kartkujący jakieś książki, broszury, ese-mesujący. Zdarzało się, że byli odbierani jak godni zaufania i ktoś do nich

próbował dołączyć. Najczęściej szybko uciekał, odrącony zimnym lub piorunującym spojrzeniem samych wzbudzających zaufanie, albo reszty zespołu; z uwzględnieniem podziału zachowań skazujących na ostracyzm, z uwzględnieniem podziału zachowań typowych dla płci, jako podejrzeni o jakieś nieczyste intencje, nieczne zamiary, sprzeczne z interesami pojedynczymi i grupowymi tych odcinających się, oczywiście.

Ale, póki co, żadne słowa nie padły. Na ten temat. Ktoś na papierosa wyszedł, odebrać telefon, przejść się po korytarzu, inni woleli być tu, nie ruszać się. Większość wybrała taką postawę.

Potraw nikt nie tykał. Ten piękny stół – jak tajemnicza wyspa na wzburzonym oceanie tkwił. Piękna, ale i odpychająca, wzbudzająca nieokreślone lęki.

Pani Hania weszła nieoczekiwanie. Wniosła baniak, położyła go na jednym z „podstolików”, uchyliła wieczko. Rozszedł się zapach barszczyku. Nikt nie spojrzał nawet w tamtą stronę, ale w tej złej ciszy dało się słyszeć burczenie w brzuchu. Nie wiadomo czyje. Po chwili na „podstoliku” pojawiły się pierożki i krokietki, wraz ze swymi woniami, kształtami. Nikt nie chciał tak za długo na to patrzeć, więc wszyscy odwracali wzrok i... albo można było ściany obserwować, albo stół, albo siebie nawzajem. Większość, tak się złożyło – wybrała stół, stosy ciast na półmiskach. Złe emocje wróciły z podwójną siłą, wzbogacone o agresję werbalną – uwagi o czyjejś nadwadze, udawany brak zainteresowania tortem i ciasteczkami, chociaż widać już było ten głód i żądzę napchania się. Komunikaty werbalne wzbogacane były nieartykułowanymi dźwiękami wyrażającymi pogardę dla ludzkich słabości i chichoty. Ktoś zauważył, że lepsze to niż nadmierna miłość do zawartości butelek.

A pani Hania weszła znowu, rozstawiła między półmiskami kilka butelek. Ktoś zapytał, czy w czymś pomóc, chociaż wiadomo, że pani Hania zawsze wszystko sama robiła i że i tym razem na pewno odmówi. I tak też się stało, ale dało to okazję do jakiegokolwiek aktywności, sensownego, ukierunkowanego na realny cel ruchu, gestów, podniesienia się ze stołka, ucieczki od gęstniejącej, pełnej złych emocji atmosfery.

A za ścianą dały się słyszeć kroki, oj, te kroki szefa. Po odgłosach wszyscy mogli odtworzyć trasę – od biurka do okna, na ukos, wokół biurka, w poprzek, wzdłuż, wszcz. Jakby coś miały odmierzać, jakąś drogę... do wieczności, jakby odmierzaniem tej wieczności, nieskończoności miało być? A nie było. Było osadzaniem wszystkich tu, w tej obmierzłej

przestrzeni. Nie wyciągało stąd w wymiary metafizyczne, osadzało w materialności ścian, krzeseł, rąk, nóg, widoku odrapanej rudery za oknem.

Ktoś kichnął, ktoś ziewnął, smarknął, chrząknął.

I wtedy wszedł, zaprezentował szeroki uśmiech, dłoń do dłoni przyłożył, rozłożył po chwili szeroko, tak jak na ramiona – na kształt skrzydeł.

– Witam wszystkich serdecznie – powiedział.

Złość odżyła, objawiła się gestykulacją, spojrzzeniami, złowrogim milczeniem, unikaniem spojrzenia, kontaktu, jakiegokolwiek, kogokolwiek z kimkolwiek.

– Tacy jesteście, tacy jesteście na co dzień! Ponuractwo, niechęć, zawiść – znowu rozłożył szeroko ramiona, rozluźnił mięśnie dłoni; były jak tulipany na swych wiotkich łodygach.

– Ale przecież potrafimy inaczej, potrafimy się cieszyć, okazać sobie serdeczność, zwykłą radość. Mamy przecież święta, święta, dni radości, ciepła, serdeczności. Wybaczajmy sobie, cieszymy się.

Rozpoczął turę wokół zgromadzonych, całował dłonie, ścisnął dłonie, prezentował uśmiech, oczekując efektu lustrzanego, czy po prostu, uśmiechu dla świętego spokoju – żeby sobie szybciej poszedł.

Był jak w ekstazie! Jego stały zestaw banałów, co wywoływało zawsze znużenie, znudzenie tego dnia został jednak wzbogacony o jeden element. Szef przytulał! Każdego!

– Potrafimy sobie przebaczać, przecież możemy zapomnieć o małostkowości, świętować też umiemy, zapraszam do stołu, zapraszam. Zasiadajmy do stołu, który nie będzie nas dzielił, ale połączy.

Zasiedli.

– Potrafimy, potrafimy, to zależy od wielu czynników, ale...

– Szef pisze artykuł o roli szefa w łagodzeniu konfliktów – szepnęła sekretarka... muszą to jeszcze dziś przepisać. Uwzględnił podobno jakieś nieznane metody.

Informację szeptem podano sobie z ust do ust. Dał się słyszeć śmiech, chichot, spazmy śmiechu. Nie rozładowującego napiętej atmosfery. Raczej potęgującego ekspresję wszystkich złych emocji.

Dopiero po pierwszych toastach, pierwszych lampkach znakomitego wina, kęsach tortu ktoś zaczął się głośno śmiać, powiedział coś do sąsiada, sąsiad do następnego – jak w zabawie w głuchy telefon. Z pominięciem szefa, bo ten wyszedł, przypomniawszy sobie bowiem, że... No, coś tam sobie przypomniawszy.

Kiedy wrócił panowała ogólna wesołość, rozluźniona atmosfera, a jego powrót spotęgował ją.

Szef był zadowolony, coraz bardziej zadowolony, usatysfakcjonowany. Patrzył z czułością na swój zespół; tak pogodzony. Oczywiście dzięki jego talentowi, inteligencji emocjonalnej i ciężkiej pracy.

Nie wiedział, bo skąd mógł wiedzieć, że ten pierwszy rozpoczynający zabawę w głuchy telefon podał informację, że teraz to już wiadomo po co szef wzywał ostatnio wszystkich po kolei „na dywanik”, informował, że docierają do niego informacje o dziwnych, drobnych kradzieżach – ciastek, cukru, herbaty z szuflad biurka, szafek pracowników.

Wiesława Oramus

Jacek Pankiewicz

Doniesienia z ostatniego dnia

Pod naszym niebem mieszka tak naprawdę tylko jedna rodzina. Nazywa się ludzkość. I tak powiada Bruce Lee.

Choć jej członkowie są różni.

A więc oczyść umysł! Powiadał dzielny Bruce Lee. I bądź bezkształtny jak woda!

On zaś był wielki mistrz! Choć tylko fizyczny, kungfungista.

Lecz ty przekształcaj umysł; też swój pomyślunek – gdy umysł zadziała, jak laser niechaj tnie rzeczywistość złudną, od skorupy aż do najgłębiej ukrytego jądra. BO jest co ciąć!

I JEST CO ŁĄCZYĆ!

Oddzielenie jednostki od całości to jest największy problem w tym naszym wielkim świecie. A niby coraz mniejszym się staje.

Ja już łączyłem wiele.

W całym życiu swoim wpierw do wierności sobie dążyłem. I nie napisałem nigdy tekstu na wzór kogoś. Chyba tylko życiorys. Lecz ten i z natury był do nikogo niepodobny.

Zaś im bardziej siebie dookreślałem, tym więcej podobieństw znajdowałem oraz cech wspólnych z innymi; żuczka to mrówkę uobywatelniałem, czasami, jak się trafił, łosia; jesteśmy wszak rodziną wszyscy, my mieszkańcy, my dziedzice naszej wspólnej Ziemi. Powinniśmy zatem występować razem, strzec się wydziedziczania kogokolwiek.

A tu w telewizorze widzę, krakowianie krzyczą:

– Zwróćcie nam Wawel!

Bo Wawel to nasza świętość. Nas i ich. Nie tylko oni go bronią.

Na Wawel nawet jeśli król, to piechotą idzie. Tak było zawsze, tak niech zostanie!

Inaczej kiedyś znów nie będzie i Wawelu.

To za okupacji austriackiej urządzano tam stajnię koni, dla wrażej armii, z pogardy dla Polaków.

...i byliśmy tam w czerwcu 1980, my, dziennikarze, studenci; ach, któż nie pamięta, jak w noc świętojańską nagle, pośród ciszy, światła obite z brzegów i Wisła podnoszą łunę, by Wawel znów wolny się stał!

...i ja tam byłem, przeżywałem, jak wolnym znów staje się świat! my, wszyscy Polacy wolnymi stawaliśmy się!

A dziś wołają znów, zabrano im Wawel!

I tu nad Warszawą zbiera się smog, za sprawą producentów narkotyków głównie.

Zaś dziennikarka pewna – czy dla równowagi? – pyta zdesperowanego mężczyznę:

– A czy pan kocha Polskę?

On wprawdzie długo to zmilcza, gdy ona wciąż pyta,

– Myślałem kiedyś, – odpowiedział – że może pokocham i panią! Ale to było kiedyś! Już nie! By nie pytać! i nie przepraszam pani, choć może...

Nam nie zostaje już nic, tylko czekać,

doczekać się kiedyś wreszcie, zobaczyć, jak może i ostatnie kilo kartofli polskich, czy tam jabłek, trafia przypadkowo za granicę, i obala tam, znów przypadkowo, fitosanitarnie, postsowiecki reżim, który je chciał przeznaczyć na zniszczenie, bo obce.

Wciąż czekać, aż ideał sięgnie bruku.

Tak i nie po raz pierwszy.

19 stycznia 2017

Jan Krzysztof Piasecki

Ostatni tydzień na rowery

Ostatni tydzień na rowery – powiedział Wiktor.

Słońce przypieka, jest jeszcze zielono, ale tutaj na północy chłody przychodzą wcześniej. Złocą się przerzedzone korony brzoź, klony już spłonęły i tracą barwy, a maliny wkrótce zetnie przymrozek i to będzie nieomylny znak końca sezonu. Tymczasem w moim domu przeobrażonym w bazę turystyczną goszczą Wiktor i Jurek. Przyjechali z Warszawy starym autem, ale rowery mają kosmiczne, lekkie jak piórko. Jeżdżą jak szatany, chociaż to starsi panowie jak ja.

Pierwszego dnia wybrali się na rozgrzewkę, zatoczyli wielki łuk, sześćdziesiąt kilometrów. Jurek Wiktora zagonił; on ma uszkodzone kolano. Nazajutrz Wiktor nie chce jechać, Jurek nalega.

– Pokażę wam ładną trasę.

Wyprowadziłem ze stodoły mój stary rower.

– To Mustang, pierwszy polski rower górski – powiedział Wiktor z uznaniem.

Rower miał uszkodzoną przerzutkę, spadał łańcuch. Wiktor pomajstrował, dokręcił śruby i ruszyliśmy.

Wzgórza Sokólskie – przed wojną Grodzieńskie – są wymarzone do rowerowych rajdów. Żwirowe drogi, spadki, podjazdy, wspaniałe widoki po fałdowanych pejzaży z charakterystycznymi stożkami, które kryją we wnętrzu złoża piachu i żwiru przywleczzonego przez lodowiec z Karelii. I te lasy, rozległe pola, olszyny nad rzeczkami... Stada krów...

Jechaliśmy krętymi żwirowymi drogami, minęliśmy zadbaną wieś przeciętą unijnym asfaltem, skręciliśmy na szeroki wyboisty trakt przez wioskę L. i wreszcie dotarliśmy do następnej drogi asfaltowej – łączyła ona wieś leżące przy granicy z Białorusią. Wiktor robił zdjęcia. Miał kilka aparatów, fotografia była jego drugą pasją.

Duży murowany dwór w Pawłowiczach był ogrodzony. Strzegła go staruszka, która podobno odzyskała tę posiadłość od Państwa. Stąd się

wszystko zaczęło czterysta lat temu; Wołłowiczowie wzniesli tu pierwszą siedzibę, a potem kościół parę kilometrów dalej. Członkowie rodu tworzyli, obejmowali, dziedziczyli, a czasem sprzedawali kolejne majątki. Tak powstała struktura dworów, zburzona potem przez powstania i wojny. Włości przechodziły z rąk do rąk, aż do upaństwowienia przez władzę ludową, która rozparcelowane grunty przekazała we władanie chłopom. W mojej posiadłości też stał dwór, a właściwie duży drewniany dom dziedzica. Istniał jeszcze po wojnie, ale geometra tak narysował drogę, że dom znalazł się na jej środku... Pan Janek, który dostał ziemię wokół siedziby majątku, rozebrał dwór i z jego elementów postawił dom w innym miejscu; nie mógł wszak mieszkać na drodze...

Pognaliśmy asfaltem ku wiosce A. Mocno nacisnąłem na pedały i wyprzedziłem moich dwóch orłów. Byli pod wrażeniem. Ale ja mieszkalem na wsi, żyłem zgodnie z naturą, pracowałem fizycznie... Taki tryb życia daje lepszą kondycję, niż nawet najlepsze treningi rowerowe mieszkańców zatrutej aglomeracji.

Wieś A. rozciągała się za zakrętem w lewo. Drewniane domy stały prostopadle do brukowego traktu. Przedłużeniem domu bywała część gospodarcza, w której dawniej trzymano bydło. Ogródki były zadbane, przed domostwami czysto. To właśnie różniło te strony od mazowieckiej prowincji – ludzie dbali o swoje otoczenie.

Zatrzymaliśmy się koło starej studni. Stało tam dwóch obywateli – jeden widocznie podpity, kulawy, pokręcony, ale wesoły i pełen życia. Drugi, jego adwersarz, trzymał się prosto i miał mniej w czubie. Ten wesoły wzbudził zainteresowanie kolegów. Wesołek przemawiał do Jurka, potem odwracał się do ziomka, odganiał go lub szturchał. Fotografowałem ich, potem stary dom.

– Ile ma lat?

– Ja? – spytał wesołek.

– Nie, ten dom.

– Sto pięćdziesiąt lat, albo i więcej. To mojego wujka dom był. A ty nie pijesz? – spytał wykrzywiając komicznie gębę.

– Nie, nie piję i nie palę – odparłem.

– A ruchasz? – wypunktował mnie wesołek...

Odjechałem, chłopaki dalej gawędzili. Wesołek podszedł do ziomka i kopnął go w nogę; sam zachwiał się przy tym i o mało nie przewrócił.

– Wracamy! – krzyknąłem.

Wiktor podjechał do mnie, a Jurek jeszcze chwilę „gawędził”.

– W każdej wsi są takie pijaczki – powiedziałem. – Zazwyczaj stoją pod sklepem i piją piwo. Tu ludzie nawet po wódce są dość spokojni, ten jest wyjątkowo pobudzony.

Puściliśmy się pędem asfaltową drogą. Dojechaliśmy do naszej wsi, skręciliśmy w lewo w drogę żwirową i zjechaliśmy w prawo na podwórze Rosy.

Dom stał daleko od drogi. Rosa była wdową; borykała się z pijącym synem, słabą ziemią i bólem istnienia, który niekiedy łagodziłem. W chylącej się oborze stało siedem krów. Dom był długi jak hangar, drewniany, podmurowany, a prowadziły do niego spróchniałe schodki. Na łańcuchu przed wejściem koło budy pod jabłónką siedział znudzony amstaff.

Rosa była w sadku. Wyglądała pięknie; szczuplutka, młodsza od każdego z nas o kilkanaście lat. Wiktor wyciągnął aparaty i rzucił się do robienia zdjęć. Rosa bardzo mu się spodobała.

Pojechali do mojej nieodległej posiadłości, a ja poszedłem z Rosą do domu.

– Pokażę ci zdjęcie, może ich znasz? – wcisnąłem guzik w aparacie cyfrowym, wyszukałem i powiększyłem na ekraniku fotografię wesołka.

– Byliście w A.? To tamtejszy pijak, wszyscy go znają. Drugi na fotografii ma gospodarkę obok wujka Szymona. Pomagali sobie.

– To już nie pomagają?

Rosa postawiła przede mną herbatę.

Szymon, kuzyn mojego zmarłego męża, mieszkał z rodziną w domu przy drodze przez wieś. Mieli kilkanaście hektarów ziemi – zaczęła opowiadać Rosa. – Pracował na stacji przeładunkowej przy granicy, był brygadziwą. Wiosną dwa tysiące jedenastego zginął tam w wypadku. Wszedł do wagonu z kłocami drewna, a operator ładowarki skierował ramię maszyny nad wagon i wrzucił nowe kłocce. Przygniotło go i zmiażdżyło. Prokurator orzekł: samobójstwo. Dlaczego? Gdy pracownik wchodzi do wagonu by poprawić kłocce, zgłasza to operatorowi i ten nie ładuje. Wujek nie zgłosił. Dlaczego?

Wujek Szymon miał żonę i trzy córki. Po sąsiedzku, w domu obok mieszkała rodzina kierowcy tira: zwalisty mężczyzna, jego żona i córki. Zwalisty zadał się z żoną Szymka, zrobił jej synka. To dlatego żona Szymona wysłała męża do roboty przy przeładunkach, żeby mieć czas spotykać się z sąsiadem. Bo wcześniej Szymek tylko ziemię obrabiał.

Szymon wiedział o romansie żony – ona się nawet chwaliła, że synka zrobił jej sąsiad, „bo Szymon nie umie syna zrobić”... Żona Zwalistego też wiedziała. Zwalisty śmiał się z niej. „Co mi zrobisz?, pierdołę sąsiadkę, bo ją kocham” – wyjaśniał. I bił ją. Zaś Szymon inaczej, on nie tknął żony, nie bił, cierpiał w milczeniu. Mówią ludzie, że gdyby Szymon dał swojej babie porządnie po nerach, to by tego nieszczęścia nie było. Ale nie, Szymek zamykał się w sobie. I w marcu ten wypadek. Niektórzy mówią, że może Szymek tylko poszedł do wagonu za potrzebą, albo trochę się ogrzać? Tak czasem pracownicy robili.

A Zwalisty? Popęłił samobójstwo. Bo jak Zwalisty chwalił się żonie romansem z sąsiadką, to ona wrzeszczała i przeklinała go. On za to odpłacał jej biciem. Przychodziła pracownica socjalna do domu, oglądała siniaki żony; zrobiono kilka obdukcji, złożono skargę do prokuratury. I wsadzili Zwalistego do więzienia. Posiedział i skruszał. Wrócił zmieniony, zupełnie nieswój. Dali mu tam wycisk w więzieniu; ludzie mówią, że go współwięźniowie dobrze wymłócili... Nie bił już żony, zgody szukał, przy córkach chciał zostać. Na tirach nie jeździł, bo karany był. Jeszcze raz poprosił żonę o zgodę, ale ona nie chciała z nim być. Wieczorem poszedł do garażu, zamknął drzwi, włączył silnik samochodu i otruił się spalinami.

Baba Zwalistego znalazła sobie chłopca. I baba wujka Szymona kogoś ma. Córki dorastają, jedna już się wydała i do Anglii z mężem wyjechała jak większość młodych.

– Domki wdów stoją obok siebie przy szosie, zadbane, obłożone kolorowymi panelami z plastiku. Obok stoi dom tego nicponia z twojego zdjęcia. Wdowy często się odwiedzają, zaprzyjaźniły się – zakończyła opowieść Rosa.

– Jedziesz i myślisz jaka to zadbana wieś, jacy porządni i pracowici ludzie tutaj mieszkają – zauważyłem.

– A jeszcze ci powiem o drugim nieszczęściu. Widziałeś sklep w A.? Właściciele mieli syna, był w klasie maturalnej. I pewnego dnia powiesił się w garażu za domem.

– Dlaczego?

– Miał w szkole dziewczynę. Koledzy drwili z niego, wyśmiewali się, że nie dla niego taka ładna dziewczyna. Zmarkotniał. Nie wytrzymał.

Wróciłem do domu. Na kolację jedliśmy grzyby. W lasach jest mnóstwo opieńków, nabierałem na przyjazd chłopaków.

Przy stole opowiedziałem historię zasłyszaną od Rosy.

- Skąd takie tragedie? Jakies fatum ciąży na tutejszymi ludźmi?
- Są bardzo emocjonalni – powiedziałem. – Jak dzieci. Urazę biorą sobie do serca, zacinają się, rozpamiętują.
- Nie potrafią żyć z cierniem w duszy – podsumował Jurek z nutką patosu czy kpiny.
- Syn Rosy też przeżywa dramat. Ale on wybrał inny sznur – powiedziałem.
- Jaki?
- Alkohol.

Chłopaki odjechali.

- Zwalisty też przeżył tragedię – Rosa uzupełniła swoją opowieść. – Syn mu się utopił.
- Ten, co go zrobił sąsiadce?
- Nie. Miał syna z żoną. To były dawniejsze czasy, przed tym jego romansem, za komuny. Pojechał z żoną i chłopakiem do Grodna na zakupy. Polacy coś tam zawozili, coś przywozili i był dobry zarobek. Zwalisty wysadził żonę z synem nad Niemnem i pojechał do miasta po towar. Było gorąco. Chłopak wszedł do rzeki ochłodzić się i nurt go porwał. Szybko go wyłowiono, ale nieżywego. I rodzice przewieźli go przez granicę do Polski, do domu. Posadzili chłopca na tylnym siedzeniu auta i tak ułożyli ciało, że wyglądało, że śpi. Przejechali. Bo inaczej to pewnie zostałby za granicą pochowany.

- To wstrząsające! – zdumiałem się. – Naprawdę?!
- Tak.

„Nie potrafią żyć z cierniem w duszy”, wspomniałem słowa Jurka. Czy przemiana, romans i upadek Zwalistego zaczęły się od tej tragedii?

Wesołek spotkany w trakcie naszej rowerowej wycieczki żył jeszcze niewiele ponad rok. Znalezione go w A. pobliżu starej studni przy ulicy; wracał nocą pijany do domu, tam się przewrócił i zamarł. Selekcja naturalna naszych obywateli postępuje w zastraszającym tempie. Kto tu zostanie? Albo postawmy pytanie inaczej – kto przyjdzie?

Jan Krzysztof Piasecki

Małgorzata Karolina Piekarska

Straszne przygody Tulisia Palanta

(fragment)

Pluszowy Miś – jedyny powiernik moich łez
(zasłyszane)

Wszystkim, którzy kochają pluszowe misie.

ROZDZIAŁ VIII

STRASZNA HISTORIA Z GŁOWĄ

Robert nie był zbyt długo chłopcem Marysi. Strasznie ją zranił, ale do dziś nie wiem, co dokładnie zrobił. Marysia owszem, szeptała mi sporo do ucha, ale nigdy nie opowiedziała, o co miała żal do Roberta i dlaczego przestała się z nim nie tylko całować, ale w ogóle spotykać. Nie znaczy to jednak, że Robert przestał być obecny w naszym, to znaczy moim i Marysi, życiu. Przez wiele, wiele miesięcy to jego imię wymawiała Marysia, szlochając wieczorami w poduszkę i wycierając łzy moją jedyną ruchomą łapką.

Na szczęście po jakimś czasie w jej życiu pojawili się inni chłopcy. Każdego z nich obserwowałem ukryty między poduszkami. Chyba bałem się, że postąpią ze mną jak Robert, choć przecież nie miałem już nic, z czego można byłoby mnie rozebrać. Jednak Marysi chłopcy nie przejmowali się mną zbyt wiele. No, może poza Jasiem, który wyraźnie mnie lubił, a nawet czasem głąskał po coraz bardziej wyleniałej głowie. Często powtarzał, że sam też miał kiedyś ukochanego misia, ale kilka lat temu jego misio gdzieś zniknął. Jasio został z Marysią na dłużej. Myślałem, że na zawsze, ale pewnego dnia Jasio przestał ją odwiedzać. Z Marysinych rozmów telefonicznych zrozumiałem, że w ogóle przestała z nim się widywać. Miejsce

Jasia w jej sercu zajął... Kacper, potem Andrzej, a wreszcie Szymon. Ten wydawał mi się sympatyczny. Nie śmiał się ze mnie. A gdy zostawał u Marysi na noc, to chował mnie między poduszkami w łóżku, choć odwracał twarzą do prześcieradła. Mówił wtedy:

– Czasem mam wrażenie, że nas podgląda.

Nie wiedziałem więc, co tam w tym naszym łóżku się dzieje, ale... chyba nic złego. Takie wnioski wyciągałem z dobiegających mnie odgłosów. Marysia wprawdzie czasami wzdychała, ale i chichotała. Po jakimś czasie przyzwyczailem się do obecności Szymona w naszym pokoju. Pewnego wieczora Marysia szepnęła mi na uszko, że będzie miała dziecko. Trochę się zdenerwowałem, bo nie wiedziałem, czy łóżko nas pomieści. Mnie, Marysię, Szymona i dziecko. Nie chciałem też, by nagle się okazało, że nie mogę spać z Marysią. Szybko jednak stwierdziłem, że niepotrzebnie się bałem. To Szymon się wyprowadził. Znów miałem Marysię dla siebie. Czułem, że jestem jej potrzebny. Szeptala mi do ucha, że mnie kocha, że może Szymon się opamięta i wróci, no i dawała mi posłuchać dziwnych odgłosów, które dobywały się z jej brzuszka. To było dziecko. Gdy przyszło na świat, Marysia nazwała je Mateuszek i przygotowała mu pokoik z małym łóżeczkiem. Pogodziła się też z Szymonem, który jak dawniej spał z nami, ale nie był dla mnie już tak miły jak kiedyś. Bywało, że brał mnie w rękę i bezceremonialnie wyrzucał z łóżka daleko w kąt, mówiąc:

– Dosyć tego gówna! Ile mogę znosić oglądanie po przebudzeniu tego koszmarnego, pocerowanego ryja!

Marysia jednak zawsze wtedy przynosiła mnie z powrotem. Jednak już nie kładła obok siebie, ale sadzała na szafce nocnej. Po pewnym czasie to właśnie ta szafka stała się moim miejscem. W ciągu dnia siedziałem na niej i obserwowałem, co dzieje się w pokoju, a wieczorem obserwowałem to, co działo się w łóżku. Zazdrośnie śledziłem pocałunki Marysi i Szymona. Niestety zawsze po pewnym czasie Szymon wyciągał w moim kierunku rękę, odwracał mnie plecami do łóżka i mówił:

– Nie podglądaj, oberwańcu!

Marysia przestawiała mnie twarzą do łóżka i pokoju dopiero rano.

Mateuszek, syn Marysi i Szymona, miał swoje zabawki. Jednak pewnego dnia Marysia pokazała mu mnie i powiedziała:

– Mati, to jest Tuliś. Tuliś Palant. Mój najukochańszy misio. Pamiętaj, że masz go szanować – zaznaczyła i dodała: – jest starszy od ciebie.

Mateuszek jednak najwyraźniej niewiele z tego zrozumiał, bo wyciągnął ręce w moim kierunku, a chwyciwszy za łapkę, bezceremonialnie

wsadził sobie do buzi moje ucho. Marysia zaśmiała się i zabrała mnie z rąk Mateuszka, mówiąc, że do mnie trzeba podchodzić z szacunkiem. Mateuszek się rozpląkał, ale Marysia podsunęła mu plastikową grzechotkę w kształcie samochodu. Jednak Szymon usłyszał płacz synka i zorientowawszy się w sytuacji, zaczął krzyczeć:

– To siedlisko zarazków – wykrzykiwał, próbując mnie wyrwać Marysi! – Zarazków! – powtarzał uparcie i z naciskiem, a potem ujrawszy, że Marysia schowała mnie za swoimi plecami, tłumaczył spokojniej: – Przecież ten misiek ma sto lat i powycierał chyba wszystkie kąty nie tylko w domu, ale i w całym mieście! A ty dajesz go dziecku? Już dawno ten syf powinien leżeć na śmietniku! Tam jest jego miejsce!

– Nigdy mnie nie zrozumiesz! Nigdy! – krzyknęła rozgniewana Marysia i się rozpląkała.

– Ty się zdecyduj, czy jesteś kobietą, czy małą dziewczynką! Czy normalne kobiety trzymają misie? I to w łóżku? Ja jestem cierpliwy! Znoszę twoje dziwactwo w postaci tej kupy brudu i zarazy, ale mam tego dość!

To była jedna z pierwszych zapamiętanych przeze mnie awantur, jakie słyszałem. Potem było ich z dnia na dzień coraz więcej. Najpierw myślałem, że ja jestem przyczyną wszystkich, ale szybko okazało się, że chodzi o masę rzeczy na literę „p”, które nazywały się praca, pieniądze i piwo...

Pewnego dnia między Marysią i Szymonem wybuchła naprawdę straszna awantura. Niewiele z niej rozumiałem poza tym, że Marysia błagała go, by nie wychodził z domu. Mówiła, że źle się czuje, że nie mają za wiele pieniędzy, bo on nie ma pracy, a jak on teraz wyjdzie, to wróci pijany. Szymon jednak nie słuchał. Odepchnął Marysię i ruszył do drzwi. Marysia ze mną pod pachą wybiegła zastąpić mu drogę. Szymon jednym ruchem wyrwał Marysi mnie, a drugim ruchem błyskawicznie urwał mi głowę.



– Zajmij się przyszywaniem, a ode mnie się odczep! – krzyknął i wyszedł trzaskając drzwiami.

Marysia wrzeszczała jak opętana. Stała z moim korpusem w garści w przedpokoju, łzy ciekły jej po twarzy i krzyczała tak, że obudził się Mateuszek. Szymon znów stanął w drzwiach i powiedział:

– Radzę ci zająć się dzieckiem, a nie tym wstrętnym śmieciem. Jeżeli teraz nie pójdziesz do syna, tylko zajmiesz się tym gównem, to wyrzucę ci twojego zafajdanego Tulusia na śmietnik. A tak, to pozwolę ci zszyć.

Marysia potulnie wzięła Mateuszkę z łóżeczka. Zaczęła karmić go piersią i patrząc w kierunku mojej głowy, która leżała na środku przedpokoju, bezradnie głaskała korpusik. Bałem się strasznie! Najbardziej tego, że nigdy już nie będę cały i że już nie będę z Marysią. Na szczęście Szymon wyszedł, a po godzinie Marysia położyła Mateuszkę do łóżeczka i przyszyła mi z powrotem głowę. Jednak moja głowa, która przecież tak jak i łapki czy nóżki była na drewnianym kółku, dzięki czemu obracała się dookoła tułowia, nie była łatwa do zreperowania. Po wypadku mechanizm, dzięki któremu kółko się obracało, przestał istnieć. Głowa przestała się więc obracać. A Marysia, chcąc, bym w ogóle miał głowę, musiała ją przyszyć na sztywno. Zrobiła to tak, że nie patrzę na wprost siebie, ale trochę w bok. Myślę, że to ma sens. Przecież od dawna patrzę z boku na życie Marysi. I tak bardzo żałuję, że jestem tylko pluszowym misiem i poza byciem i trwaniem nic więcej nie mogę dla niej zrobić. Jedyne, co mnie w sprawie z głową ucieszyło, to fakt, że Marysia przyszywając mi ją, szepnęła na uszko:

– Pozbędziemy się go. Zobaczysz! – a ja wiedziałem, że ma na myśli Szymona.

Małgorzata Karolina Piekarska

Joanna Sendłak

Marzyciel z 76th Street

(fragment)

Sebastian Kosmicki wyjął ze skrzynki list i wbiegł na trzecie piętro. Otworzył drzwi do mieszkania. Korytarz był ciemny, wysoko pod sufitem świeciła słaba żarówka. Zajrzał do kuchni, w której krzątała się starszka o siwych włosach, pocałował ją w policzek i z westchnieniem opadł na krzesło.

- Przyszedł list od Paula.
- Przeczytaj, martwię się o niego. Miałam dziwny sen.
- Zawsze się martwisz, zupełnie niepotrzebnie, mamu.
- Czytaj – ponagliła i zmarszczyła brwi.

Sebastian sięgnął po leżący na stole nóż i wsunął w rożek cienkiej, lotniczej koperty, której krawędzie zdobiły granatowo-czerwone paski. Rozdarł ją, wyjął bibułkę zapisaną drobnymi literami, przejrzystą jak opłatek. Dlaczego Paul pisał piórem, skoro atrament prześwitywał po drugiej stronie? Cień liter mieszał się z czytаныmi znakami. Ta jego chorobliwa oszczędność, przecież nieźle mu się wiodło, znacznie lepiej niż im. Ostrożnie wygładził kartkę i zaczął czytać:

New York, grudzień, tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku.

Wczoraj spadł metrowy śnieg, była okropna śnieżycą. Dostałem od ucznia dziesięć dolarów i poszedłem na przyjęcie do Modrowów, Arabów, którzy chcą wyswatać mnie z Octavią. Pewnego dnia stary Arab powiedział wprost, że powinienem ożenić się z jego córką, bo wtedy dostałbym obywatelstwo i moje kłopoty by się skończyły. Ale nie wciągnął mnie w pułapkę, co za policzek dla Octavinii Modrow! Na przyjęciu tańczyłem z wieloma pięknymi kobietami, młodymi Syryjkami, a wszystkie szeptały sobie coś na ucho, byłem pewny, że Octavinia zaprosiła je, żeby pokazać im narzeczonego, tym narzeczonemu miałem być ja! Co sobie wyobrażają! Mam czterdzieści dwa lata i nie zamierzam się żenić, ani teraz, ani nigdy. A gdyby kobieta, którą uwielbię okazała się zwykłą, cielesną istotą, która puszcza

bąki i miewa migreny, albo zrzędzi i się poci? Po co niszczyć iluzje, niech trwają! Moje życie powinna wypełniać sztuka. Nie mam zamiaru poświęcać wolności, a uważam, że obydwie strony muszą oddać pięćdziesiąt procent wolności, a i to wyłącznie w wypadku ogromnej miłości, która prędzej czy później się skończy. I co dalej? Kompromisy, przynęcenie, rezygnacja z ideałów? Kiedy pomyślę o biednym Willim Temkowskim, który ożenił się ze starą babą, żeby dostać pozwolenie na stały pobyt! Co za brak smaku!

Teraz siedzę przed oknem i patrzę na zaśnieżone ulice, tęsknię do naszych polskich świąt. W oknach domu naprzeciwko widzę choiny pięknie oświetlone masą kolorowych lampek i piszę do was listy, które wysłę dopiero po świątach. Od jutra będę się uczył swojego nowego koncertu fortepianowego, dyrektor filharmonii przyjął partyturę, ale raczej nie ma mowy, żeby wykonał utwór w tym roku, czekam na jego odpowiedź.

Dwudziestego ósmego grudnia o pierwszej w nocy Paul wysiadł na stacji Pensylwania, przeciął Trzydziestą Pierwszą Ulicę i otworzył drzwi poczty mieszczącej się na rogu Ósmej Alei. Strzepnął śnieg z kapelusza, uśmiechnął się do panienki ukrytej za szybą pocztowego okna i położył wytarte rękawiczki na kamiennej ladzie. Paczka, którą zamierzał wysłać do Polski była ciężka, wskazówka wagi zatoczyła szeroki łuk. Nakleił odpowiednią ilość znaczków i patrzył, jak karton znika na zapleczu urzędu.

– Kiedy paczka dojdzie?

– Za sześć tygodni – westchnęła panienka i uśmiechnęła się pokrzepiająco. Paul skinął głową i podszedł do stolika. Pochylił się i szybko napisał list, który wyprzedzi paczkę:

Droga mamo, jestem na poczcie i właśnie wysłałem wam paczkę. Była w niej: szynka, z górą trzynaście funtów w puszcze, jednofuntowa puszka kawy, cztery puszki kakao po pół funta.

Paul Kosmicki mieszkał w New Yorku od siedmiu lat. Był kompozytorem i pianistą, uważał się za twórcę bezkompromisowo nowoczesnego. A nowoczesna była atonalność, ostrość brzmieniowa, muzyczne wizje wolne od romantycznej cikliwości. W Starym Kraju wrócono mu wielką karierę. Skończył konserwatorium w Polsce i wyjechał na Litwę, stamtąd pochodził jego ojciec. Przez kilka lat studiował w Paryżu, a latem trzydziestego dziewiątego roku wyruszył na tournée koncertowe do Ameryki Południowej. Wtedy wybuchła wojna. Z Rio de Janeiro pojechał do Stanów.

Spędził trzydzieści dni na Ellis Island, gdzie z pozostałymi emigrantami został umieszczony w obozie dla uchodźców. Opuścił go w październiku czterdziestego roku. Siedem lat później jego status prawny ciągle nie był uregulowany, pozostawał uciekinierem z kraju, który przestał istnieć, wchłonięty przez Sowietów.

Jego brat bliźniak i matka zostali w Polsce. Paul regularnie pisał do nich listy, umieszczał na papierze niezliczone ilości liter, drobne rządkie znaków opisujących jego życie. Brakowało mu rozmów z bratem. Sebastian grał na wiolonczeli i komponował podobnie jak on, z tą różnicą, że robił w Polsce karierę. Paul śledził jego postępy. Czuł zazdrość i podziw podobne w smaku do gorzko-słodkich migdałów, którymi matka posypywała torty.

Westchnął ciężko i wszedł do kawiarni, gdzie zwykle koło południa jadał śniadania, pod warunkiem, że uczniowie regularnie płacili za lekcje gry na fortepianie. Specjalnie dlatego kupił fortepian, za który spłacał raty i długo jeszcze nie stanie się jego właścicielem. Uczył bez przekonania, odczuwał zniechęcenie, zwłaszcza, kiedy uczeń fałszował albo nie umiał na pamięć nowego utworu. Czuł się bezradny i wypalony. Nie rozumiał własnego ojca, który przez całe życie uczył z zapałem. Jego wysiłki nie przynosiły rezultatów.

– Jak się masz, Stan – mruknął do kelnera, który pozdrowił go szerokim uśmiechem.

– Witaj, Paul, co podać?

– Kawę i rogalik, jak w Paryżu.

Paul usiadł i z rozmachem strzepnął papierową płachtę „New York Timesa”. Jego oczom ukazał się artykuł o międzynarodowym konkursie kompozytorskim. Zerknął na datę, był dwudziesty dziewiąty dzień stycznia, pięćdziesiątego drugiego roku. Czas tak szybko mijał, kilka lat przemknęło jak cień.

– Zimno jak cholera, od dawna nie było takiej zimy! – mruknął Stan i podsunął talerzyk z rogalikiem i kawę.

– Była pięć lat temu. Na święta spadło dużo śniegu, paczki szły sześć tygodni. Byłem wtedy na przyjęciu u Modrowów.

– Tych Arabów, co mają córkę Oktawinię? Teraz ma troje dzieci i jest gruba jak własna matka.

– Więc dobrze zrobiłem, że wtedy uciekłem – zauważył Paul i posłał mdły uśmiech w kierunku Stana.

– W radiu mówili o twoim bracie.

– Tak? Kiedy?

– Nadawali jego utwór, podobał mi się, chociaż nie rozumiem współczesnej muzyki, nie ma żadnej melodii, żadnego oparcia, człowiek czuje się jakby włożył w środek mrowiska.

– Oni też tak twierdzą. – Paul otwartą dłońią uderzył gazetę, aż papier zaszeleścił i pękł na zgięciu.

– Kto? – spytał przez grzeczność Stan, chociaż sam czytał tylko ogłoszenia o castingach, był aktorem.

– Międzynarodowy konkurs kompozytorski, a ja oczywiście niczego nie wiedziałem! – parsknął Paul.

– Ja też nigdy nic nie wiem, dobre role przechodzą mi koło nosa! To mafia, trzymają w tajemnicy wszystko, a potem zgarniają najlepsze kaski, mówię ci, to zmowa agentów!

– W jury byli sami krytycy muzyczni, którzy źle odnoszą się do kompozytorów, przemawiają dyktatorskim tonem w imieniu stu pięćdziesięciu milionów obywateli amerykańskich i wszystkich kompozytorów na świecie! Wiesz, co piszą? Że nigdy żaden Amerykanin nie wygrał europejskiego konkursu!

– Nienawidzą Europejczyków, to jasne!

– Pierwszą nagrodę dali Swansonowi za *Krótką symfonię*, potem był Aaron Copland. Piszą, że muzyki atonalnej z całego serca nienawidzą wszyscy Amerykanie.

– Akurat w tym mają rację – westchnął Stan i przetaił ściereczką blat drewnianego stołu. Jego gust muzyczny był przeciętny, lubił tonalność, która dawała się uchwycić i powtórzyć podczas porannego golenia, co w tym złego?

– Piszą, że publiczność płaci za bilet i kompozytor nie może komponować dla własnej przyjemności. Po wyjściu z koncertu słuchacz ma być zadowolony i w drodze do domu gwizdać melodię z symfonii. Wyobrazasz sobie? – Paul podniósł głos. – A matematycy i astronomowie powinni zniknąć, bo dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzkości nie zna się na wyższej matematyce!? Chcą znaków przy kluczach, tradycyjnej harmonii, melodii na pierwszym planie, sentymentalizmu rodem z piosenek śpiewanych w night clubach! I koniecznie jakiś amerykański element narodowy. Piszą, że przez wiele lat atonalizm był dowodem twórczego ubóstwa, a kompozytorzy stawali się coraz suchsi i suchsi! Ich zdaniem tworzenie sztuki dla sztuki to absurd!

– Ludzie powinni wiedzieć, za co płacą, jak w knajpie, taki jest rynek!

– Miałbym komponować pod publiczność, na zamówienie? – zawołał Paul tak głośno, że kilka osób spojrzało w ich stronę. – Nie można komponować bez satysfakcji, wbrew sobie. Żeby tworzyć coś oryginalnego trzeba być wolnym!

– Zawsze tak uważałem, ale teraz zgodziłem się zagrać w reklamie płatków, trzeba iść na kompromisy.

– Tak uważasz? Ja nazywam to stylem syntetycznym, w Ameryce nie można inaczej, nie odrzucam przeszłości, bo najbardziej atonalne akordy mogą się łączyć z figuracją klasyczną. Nawet impresjoniści, jak Debussy i Ravel, mieszały swój styl z klasycznym i dobrze brzmiali. Jestem semiatonalistą i w czasie pisania o tym nie myślę.

– Ja jestem semiaktorem i zagram płatkę z bakaliami lepiej niż Hamleta! – Stan podniósł do góry ramię i odszedł kołyszącym się krokiem w kierunku zaplecza. Paul złożył gazetę i wyciągnął z kieszeni bilon. Zawsze płacił tyle samo, bo od lat zamawiał to samo. Tylko tutaj, „U Johna”, rogalik smakował jak w Paryżu. Podczas studiów w Europie był szczęśliwy, wolny i zakochany w muzyce, był pewny, że podbije świat. Ciągłe miał nadzieję, ale czuł złość, jakby w duszy palił się ogień, gorąca kula ognia, która wybuchała przy byle okazji. Musiał nad sobą panować, zwłaszcza, kiedy w opiniotwórczej gazecie czytał podobne bzdury. Dlaczego nie miałby tworzyć całkowicie własnych utworów, dostosowanych do swoich myśli i idei w dowolnej formie i harmonii. Miał nieograniczone możliwości!

Czwartego kwietnia pięćdziesiątego drugiego roku Paul dostał od dozorczyni sporą paczkę. Pani Witz zerkała spod opuszczonych rzęs, gruba i wylewna, zawsze uśmiechnięta i niesamowicie wścibska. Stała na progu pokoju i zajrzała do środka.

– Nie ciasno panu z takim dużym fortepianem?

– To mały instrument, droga pani Witz.

– Niektórzy sąsiedzi skarżą się na głośną muzykę.

– Doskonale pani wie, że nie gram po dwudziestej drugiej, a w ciągu dnia udzielam lekcji.

– Moja znajoma bardzo chciałaby grać.

– Na czym?

– Na fortepianie, jest nieprzeciętnie zdolna, szkoda, żeby taki talent się marnował. Na jej granie nikt by nie narzekał.

– Ile ma lat?

– Piętnaście.
 – Trochę za późno, żeby zaczynać naukę.
 – Co pan mówi? Nie będzie zadowolona, kiedy jej powtórzę, jej ojciec zasiada w radzie naszego budynku, ma udziały właścicielskie, to poważny biznesmen.

– Niech przyjdzie jutro w południe, jak ma na imię?
 – Monique. Przyda się panu parę groszy.
 – Dziesięć dolarów za godzinę. Dziękuję za paczkę, pani Witz. – Paul wyjął z jej dłoni nuty i zrobił krok do przodu. Poczul zapach potu i czosnku, który zjadła na śniadanie. Drzwi zatrzasnęły się i natychmiast rozerwał papier. Tak jak przypuszczał, to były nuty najnowszej kompozycji jego brata. Sonata na wiolonczelę. Drżącymi palcami przewracał kartki, w głowie słyszał muzykę, która rozwijała się na wzór myśli. Nie musiał grać na fortepianie, żeby słyszeć muzykę. To było arcydzieło, cudowne pod każdym względem, pełne fantazji, rytmiczne, ale o solidnej konstrukcji. Trochę przypominała jego koncert fortepianowy, ale była bardziej przejrzysta i klarowna. On niepotrzebnie zagęszczał, zaciemniał. Kiedy opadły emocje, położył nuty na fortepianie i zaczął grać, grał bez przerwy przez trzy godziny, aż usłyszał gniewne stukanie w ściany. Spojrzał na zegarek, dochodziła dwudziesta trzecia.

Na początku maja Paul zaczął organizować wieczór muzyczny, który miał się odbyć w jego mieszkaniu. Najpierw poszedł do pani Witz, żeby uprzedzić sąsiadów, a zwłaszcza ojca Monique, która nawiasem mówiąc, okazała się niezłą uczennicą. Zjechał na parter i zapukał do drzwi dozorczyń. Stała w progu, spowita wonią trawionego czosnku i kalafiorów, które właśnie gotowała.

– Co słysząc, panie Kosmicki?
 – Wszystko znakomicie, droga pani Witz.
 – Jak ocenia pan postępy Monique?
 – Znakomicie, to niezwykle utalentowana młoda dama, ale... – Paul zawiesił głos i spojrzał głęboko w oczy pani Witz, która przysunęła się do niego, chciwie łowiąc nowinę.
 – Pomyślałem, że jej wykształcenie nie będzie kompletne, jeżeli nie pozna prawdziwych muzyków, nie posłucha wykonań innych osób.
 – Ach tak? Może zabierze ją pan na koncert? Jej ojciec chętnie opłaci bilety, nawet do Carnegie Hall.

– W przyszłym sezonie będę miał już szósty recital w Carnegie Hall, przygotowuję nowy repertuar, ale teraz zamierzam zaprosić znajomych na koncert do mojego mieszkania. Będą same znakomitości świata muzyki, a pani zostanie gościem honorowym!

– Znowu koncert w mieszkaniu! Chyba pan przesadza, ostatnio wszyscy narzekali na hałasy, a pan znowu to robi?!

– Ojciec Monique na pewno zaszczyci mnie swoją obecnością, droga pani Witz.

Oczy kobiety zwęziły się niepokojąco, przez chwilę mierzyła go boleśnie nienawistnym wzrokiem bazyliuszka, a w końcu machnęła pulchnym ramieniem:

– Trudno, skoro będzie ojciec Monique...

Paul uklonił się szarmancko i nawet uchylił kapelusz, który zakładał specjalnie na oficjalne okazje, do kompletu nosił płócienny garnitur w odcieniu khaki, który pasował na letnie spacer po Central Parku, oraz załatwianie spraw urzędowych. Ostatnio miał dużo załatwiania, poruszył niebo i ziemię, żeby zapobiec deportacji, która groziła mu, jako kawalerowi przebywającemu nielegalnie w USA. Pochodził z dalekiego kraju, gdyby w Ameryce miał żonę, rodziców albo rodzeństwo, sprawa wyglądałaby inaczej, ale był sam. Licząc od siódmego maja pięćdziesiątego drugiego roku powinien opuścić Stany w ciągu sześćdziesięciu dni. Miałby wrócić do ZSRR, które wchłonęło jego kraj? To było zbyt straszne! Dlatego zależało mu na zorganizowaniu koncertu i zaproszeniu jak największej liczby znajomych, obywateli amerykańskich, którzy mieli wpływy w senacie i w jego sprawie rozmawiali z kongresmenami.

Uklonił się pani Witz i po trzy stopnie wbiegł na czwarte piętro. Nad jego mieszkaniem był tylko strych, suszarnia, po której w nocy biegały myszy, chociaż pani Witz przysięgała na wszystkie świętości, że w budynku nie ma gryzoni.

Usiadł przy biurku i zaczął spisywać listę osób, które mogłyby mu pomóc, teraz i w przyszłości. Jeżeli każdy zobowiąże się do sprzedania dziesięciu biletów na jego koncert i dołoży się do wynajęcia sali, cały świat w końcu się dowie, jakim jest znakomitym pianistą! Już do jednego z senatorów został wysłany oficjalny list, mówiący, że Paul Kosmicki jest *first rank pianist, one of the best in the country!*

Paul zerknął na listę nazwisk i poczuł zadowolenie. Znał dwieście osób, które poprosi o pomoc, na pewno wszystko się uda. Jego brat byłby z niego

dumny, nie ustępował mu, szli łeb w łeb, też zrobi karierę, będzie znanym pianistą i kompozytorem słuchanym przez Amerykanów!

Koncert rozpoczął się o wpół do ósmej. Przed niewysoki budynek, stojący w ciągu podobnych, brązowych domów, zaczęły podjeżdżać elegancznie samochody. Wysiadały z nich kobiety ubrane w wieczorowe suknie. Było ich coraz więcej, aż przed okienkiem pani Witz, sunęła kawalkada eleganckich dam spowitych zapachami drogich perfum. Czy ona mogłaby tak wyglądać, gdyby było ją stać na drogą kreację? Zastanawiała się, wycierając spocone dłonie w kwiecisty fartuch. Kobiety po cztery wciskały się do wąskiej windy i majestatycznie sunęły na ostatnie piętro, gdzie Paul, ubrany w koncertowy frak, czarny jak płetwy pingwina, witał je i sadzał w rzędach prowizorycznie ustawionych miękkich krzeseł, specjalnie na tę okazję wynajętych w sklepie naprzeciwko po pięćdziesiąt centów za sztukę. Pani Witz stwierdziła z satysfakcją, że żadna z kobiet nie była młodsza od niej, czyli wszystkie, w bliżej nieokreślonej przeszłości, przekroczyły czterdziestkę. Tylko Monique z wdziękiem nastolatki kręciła się po pokoju z tacą ciasteczek, które przyniósł szofer jednej z bogatych pań. Ojciec Monique usiadł z boku i wszystkich obserwował, jak ojciec Scarlett O'Hary doglądający niewolników.

– Dlaczego zaprosiłeś same kobiety? – spytał Stan scenicznym szeptem, wyćwiczonym podczas przygotowania roli przecieru pomidorowego w reklamie sosu Hellmann's.

– Ich mężowie wolą przyjemne rozrywki, jak większość Amerykanów – zauważył Paul i wyszedł na środek pokoju. Sebastian byłby z niego dumny. Świadomość sukcesu uskrzydlała go. Zaraz po koncercie, kiedy wyjdą głośnie, napisze do brata list, opowie o swoim zwycięstwie.

Wyszedł na środek pokoju, uklonił się i zapowiedział występ wspańalej śpiewaczki Ety Tikowej, a po niej tenora Damiana Chestertona oraz skrzypaczki Edny Trough, która razem z nim zagra sonaty Mozarta i Beethovena. Na zakończenie zaprezentuje solowe sonaty Scarlattiego oraz preludia Debussy'ego, które zawsze robiły wrażenie na słuchaczach. A jeżeli brat zapyta, kim są nieznani w Europie muzycy, to wykaże się ignorancją. Paul mieszkał w centrum światowej muzyki.

Podczas koncertu Stan obserwował Monique, dziewczyna wlepiła zamglony wzrok w Paula i rozchyliła usta w zachwycie. Reszta dam również się rozmarzyła, każda myślała o romansie z przystojnym cudzoziemcem,

który miał magnetyczny wzrok hipnotyzera. Był tak przystojny, że panie zapomniały o dolegliwościach, na które skarżyły się domowym lekarzom, gdy menopauza stawiała się szczególnie dotkliwa. Ojciec Monique wyszedł zaraz po koncercie i zabrał ze sobą córkę, a Stan zajął się tym, co robił najlepiej – nalewaniem do kieliszków alkoholu. Damy obstały Paula i gratulowały wykonania Scarlattiiego. Ostatnia wielbicielka w czerwonej aksamitnej etoli z piór opuściła studio kwadrans po drugiej w nocy, co zaspana pani Witz skwapliwie zanotowała w notesie, na wypadek gdyby muzyk jednak stracił poparcie ojca Monique.

Stan klepnął Paula i zapytał z troską:

- A co zrobisz, jeżeli nawet one nie powstrzymają twojej deportacji?
- Ta w niebieskiej sukni, Ivet, jest dyrektorką urzędu imigracyjnego.
- Wrócisz na Litwę?
- Do Sowietów? Nie ma mowy! Może pojedę do Paryża albo do Wenezueli, do Caracas. Jedna z uczennic mnie zapraszała.
- Wszystkim zawróciłeś w głowie – stwierdził Stan i zabrał się do sprzą-tania.

Kiedy schował ostatni kieliszek przyniesiony z restauracji „U Johna”, wyszedł z mieszkania. Na dworze właśnie zaczynało świtać, a pani Witz zasnęła tak twardo, że nie usłyszała stuknięcia wyjściowych drzwi.

Joanna Sendłak

Grzegorz Walczak

Koncert

– Górka, zatkaj swoją prostacką gębę i nie otwieraj jej, dopóki ci nie pozwolę. – Ostrowskiemu, staremu pułkownikowi w stanie spoczynku, wydawało się, że już ten moment kiedyś przeżył i nawet wypowiedział to zdanie wiele lat temu. Może nie do tego człowieka. Na pewno nie był z nim wtedy Górka – opasły właściciel fabryczki konserw warzywnych czy innych powideł, niegdysiejszy jego podwładny w MSW. Pospiesznie przemierzali hall Filharmonii Warszawskiej. Byli już spóźnieni. Górka trzeszczał mu wciąż nad uchem, opowiadał jakieś dyrdymały. Ostrowski miał już dość tego współczesnego zdobywcy zmumifikowanej w swym wąskim komercjalizmie Europy. Unia Europejska w całej swej pstrokatej uniwersalności brzydziła czerwonego pułkownika. Wolał być sam, zapuszczać się we wspomnienia, w podróż do ziemi świętej swej przewrotnej młodości. On, hrabia kresowy, co prawda trochę wątpliwy (niektórzy mówili, że jest zwykłym bękartem), wychowany w kulcie Dziadka wśród tych, którzy jeszcze bardziej bali się bolszewików niż ich nienawidzili, stał się zaprzańcem i odmieńcem. Dał się oczarować tą siłą bezwzględna, masą brudną, gdyż sam był zbyt wyrafinowany, znudzony wielkopaństwem, dworską stęchłą i inteligentnym rozmęśnieniem. Pewnego razu z daleka zobaczył to mrowie, a potem ich z bliska przy tankach, które się nagle zatrzymały. I kiedy widział, jak usmoleni, półprzytomni zasypiają w kałużach, bo kolumna stanęła, bo armia stanęła, bo wielka ojczyzniana wojna utknęła w pół kroku, zanim o świcie *komandir* dał sygnał do marszu – i to wszystko stworzone z jakiejś strasznej masy ruszyło bez słowa skargi – zrozumiał, że ich nic nie pokona. A kiedy w jego rodzinnym Włodzimierzu Wołyńskim zdrowo obili mu mordę, bo się sprzeciwiał i nie chciał dać koni, oddał im wreszcie swe najlepsze lata, oddał potęgę, która go przywaliła i urzekła. Nie umiał żyć bez władzy, bez panowania nad innymi. Na początku zachłysnął się też ideą. Później wrósł jak huba w drzewo w rdzeń ludowego państwa. Im bardziej gardził motłochem, niskim chamstwem, tym lepszym był rewolucjonistą – jak Pankracy Krasińskiego. Rewolucja wymaga pogardy, zwłaszcza

wobec ofiar. A ofiarami muszą być nawet jej współtwórcy, a co dopiero tacy Ostrowscy czy Potoccy! Niszczyć własną klasę, zwłaszcza tak przerasowioną – to najśłodsza perwersja. On rozumiał reżim, który z natury jest kręgosłupem wszelkiej rewolucji, ale rozumiał też wyższe smaki, które rewolucja swym ognistym ogonem wymiałała, paliła. Wiedział, że jest to nieuniknione, chylił głowę, płacił swój kulturowy haracz, bo przecież trzeba było czymś zapłacić za swoje skażenie wyższością niewłaściwie poczętą, wyższością z rozdania przodków, teraz skarłałą, wstydliwą, ze wszech miar społecznie niesłuszną. Zdobyć wyższość własnymi rękami, czynem, choćby najobrzydliwszym, zaznaczyć siebie, uwyrażnić, nad sobą zapanować, by wreszcie zapanować nad innymi – to idea godna mężczyzny. Miał teraz szansę zmazać swój niejasny status hrabiego-niehrabiego, enigmatyczność nieokreślonej istoty. Pragnął być kimś prawdziwym, wyklarowanym, chociażby w nikczemności. Lecz gdzieś się podziała ta ziemia obiecana zwycięskiej młodości, tak w końcu sromotnie pohańbionej.

Pułkownik zatrzymał się przed lustrem. Spojrzał w nie i poczuł jakiś dziwny chłód. Przez chwilę wydawało mu się, że to się działo w tym samym miejscu, w tym samym gmachu, ale to był tylko ten sam koncert. Gmach Filharmonii jeszcze straszył swoją ruiną. Koncertowano w Romie na Nowogrodzkiej. Kiedy to było? Niemalże pół wieku temu. Wtedy też przystanął przed lustrem, by spojrzeć na swoje oblicze. Z koncertowej sali dobiegały coraz mocniejsze dźwięki fortepianu. Orkiestra próbowała się wtrącić, ale solista już rozpędzony brał liczne przeszkody, nie pozwalał, wybiegał perlistymi pasażami przed jej skomasowany atak. Czyste harmoniczne tony, pełne ukraińskich pejzaży i patosu historii zachwyciły wirtuozerią opusu dwudziestego trzeciego.

– Allegro non troppo – wyszeptał. – Słucham? – Górka nie zrozumiał. – Nic, nic. – Ostrowski wpatrywał się w lustro. Czuł jakiś chłód, który ciągnął z tego zwierciadła, jak potok koncertu fortepianowego b-moll Piotra Czajkowskiego, osaczał go coraz bardziej dojmująco. Górka odpłynął gdzieś daleko, może coś mówił, może przynaglał. Pułkownik – wychowanek nie tylko NKWUD-owskiej Alma Mater, ale też przedwojennej Akademii Muzycznej, już go nie słyszał. Z drugim takim psem gończym, na swej taśmie pamięci, co się w nim przewijała, doganiał właśnie młodego mężczyznę, który nagle rozpułnął się w tłumie wchodzących do sali. Dzwonek oznajmił, że koncert zaraz się zacznie. Przebiegli wzdłuż rzędów tropiąc swoją zwierzynę. Ostrowski zwątpił już, że odnajdą tego opozycjonistę, AK-owca, wroga ludu o niewinnych oczach, który przed chwilą zniknął mu

wśród ludzi. Czy dobry wyżeł może być zmęczony? Opadł na fotel. W tym momencie rozległy się głęboko zuchwałe, niemalże triumfalne takty I koncertu. Wielkoruski patos orkiestry wzmacniały wydobyte z tła coraz wyrazistsze, granitowe uderzenia fortepianu. Mogło się to równać jedynie z ukrytą mocą „Dziwiatej” czy też tubalną zapowiedzią najsłynniejszej na świecie „Fugi”. Nie, nie – to brednie. Taki mógł być tylko początek tego w gruncie rzeczy banalnego dzieła. Ostrowski znał się na tym, był melomanem. Odczuwał jednak wszystkimi porami ciała i swym wysmakowanym słuchem mistrzostwo Rosjanina. Kompozytor i muzyk-wirtuoz stali się jednym, jak jeździec i koń w szalonym galopie. Rozumiał ich galop, bezczelność ich muzyki, ten pochód niewolników z bardzo wysoko podniesioną głową. Była w tym buta, jakiś rodzaj buntu, nieodwołalność, a także niewyobrażalna potęga niby tych czołgów przebudzonych o świcie. Ostrowski czuł, że wbrew własnemu przyzwoleniu, mimo jego ugruntowanej od lat teoretycznej świadomości ta muzyka zaczyna go porywać. Ależ!... Przecież nic się nie mogło równać z precyzją i niewątpliwym geniuszem rozwiązań niemieckich i austriackich mistrzów, a jednak u Czajkowskiego odnajdywał ponadto nieskończoną, nostalgiczną przestrzeń nasyconą melodią serca, przeżycie osobiste splątane z narodowym. Zdawał sobie sprawę z tego, że w tym wczesnym okresie twórczości tak mu bliska, a zarazem wroga melancholia Czajkowskiego jeszcze nie została przebudzona, pesymistyczna filozofia schyłku podobnie jak i samobójcza obsesja były odległe. I koncert pełen temperamentu, spontanicznej gonitwy za własnym cieniem był już jednak zapowiedzią głębszej tajemnicy. To jakby bardzo długi, lecz już zapalony lont – pomyślał. – Tego narodu nigdy się nie pokona. – Nim pojął nieestosowność tej myśli, przeżył moment zdumienia i zgrozy. Przy fortepianie siedział jego chłopak z niewinnymi oczami, solista-wirtuoz, tropiony przez niego zajęć, może bohater? Jak gdyby nigdy nic siedział naprzeciw niego rozhuśtany, natchniony, zaplątany w muzyczne pasaże, syjący kryształkami dźwięków, przed nim, bezwzględnie konsekwentnym funkcjonariuszem UB. Jakby mu ktoś sychnął w oczy piaskiem. Wstał, namacał pistolet, mógłby tego psa... Wtedy zobaczył, że pianista go widzi, że wie, co za chwilę się stanie, a mimo to nawet nie drgnął mu mięsień twarzy, ręce jego nie straciły rytmu, jak pikujące wrony nadal z niezwykłą trafnością dziobały klawiaturę fortepianu. – Pozwolę ci skończyć – pomyślał. – Tak będzie nawet lepiej. Odegraj do końca miłe memu sercu ukraińskie „wiośnianki”. Szlachcie polskiej zawsze wydawało się, że Ukraina do nich należy. – Ostrowski uśmiechnął się. Wspomniiał Żytomierz, Krzemieniec,

Lwów. Był już spokojny. Znow poczuł rozkosz władzy. Władał nawet koncertem. Mógł go przerwać, przestrzelić fortepian lub wirtuoza, powstrzymać w tej muzyce rozpedzone ukraińskie pola, pokłony wieśniaków i ich chamskie tańce – on polski rewolucyjny hrabia. – Do diabła z hrabiostwem, trzeba zapomnieć, to niegodna przeszłość. Ale przecież coś z niej zostało, coś, dzięki czemu Czajkowski, Chopin, Brahms, Beethoven mogą mu nadal służyć. Chyba może przyjmować te kwiaty utkane z muzyki jako najwyższy hołd składany jemu – panu proletariackiej idei – jeśli i ona ma być najwyższa? – Idea rewolucji! Co ma być jej ostatecznym wyrazem, jej ukoronowaniem, czymś takim jak monarchia pruska w heglowskiej idei absolutu? Ot, fałszywy, groteskowy ton. Był zbyt inteligentny, żeby nie wiedzieć, do czego prowadzi to karykaturalne porównanie. Tak, we wszystkim tkwi utajone ziarno błędu, które jeśli się rozwinie, musi doprowadzić do śmieszności, a w końcu do upadku wyśnionej idei. Czego chcieć od siebie, czego chcieć od nas, skoro nawet Hegel, wprowadzie od początku stracony idealista, sam sobie podrzucił kukulcze jajo absolutnego absurdu? Ta myśl zepsuła mu jednak nastrój. Nie wolno dopuszczać do siebie takich myśli. Trzeba poruszać się w pewnym systemie. Wykroczenie poza nawias przyjętego systemu może się okazać fatalne w skutkach. Cóż bowiem się dzieje z ludźmi, którzy wykraczają poza granice życia i nagle pytają się o jego celowość, o to, co jest poza nim samym? Prowadzi to do postawienia niegodnego dla rewolucjonisty pytania o Istotę Najwyższą. Poruszać się w tych mgławicach, gmatwać w transcendencji, wiedząc, że w tym życiu nigdy się nie uzyska odpowiedzi – to wielce upokarzające. Mógłby się na to zgodzić tylko ktoś skłonny do pokory. Skłonność do niej, a zarazem do jej przeciwieństwa przejawiali mistycy i słowiańscy artyści, pogrążający się w wiecznym kompleksie niewolników. Nie, nie wolno się pytać, co jest poza systemem, co jest poza granicą, co jest poza życiem. Czy na pewno? Konieczne jest przecież przełamanie, przekroczenie, bo czymże jest w końcu rewolucja? Czy jednak każdemu jest wolno przekraczać? A dla idei wyższej? Czy prawo Raskolnikowa nie może stać się prawem wybranego narodu lub wybranej klasy, lub wybranego hegemonawodza? Czy ci niewolnicy nie grają dla mnie, bo ja mam smak, bo ja mam subtelne, wykształcone czujki-receptory, bo moja jest Kultura, a ona jest przecież ostatecznym rozgrzeszeniem? Dostojewski na pewno by mnie zrozumiał, nie tylko Nietzsche.

Ostrowski dał się swobodnie unosić swoim myślom, które płynęły na falach tanecznego finału *Allegro con fuoco* – ostatniej części opusu dwudziestego trzeciego. Sygnęły się brawa. Ostrowski też nagradzał artystów

oklaskami. Chwilę potem znalazł się przy pianiście. Gratulował mu pięknej gry. Kiedy, jak dobrzy znajomi, bliźnięta przy sobie wychodzili na ulicę, pianista nagle zaczął uciekać. Ostrowski pozwolił mu przebiec kilkanaście kroków. Wreszcie wymierzył i wystrzelił. Muzyk zająknął się w biegu.

Lustro przykuwa starego człowieka. Fabrykant Górka na próżno przy-
nagła. Pułkownik Ostrowski stoi nieruchomo i przygląda się sobie. Czy
mógł wtedy wypuścić tego chłopaka? Przecież raz jeszcze musiał zmyć
ze swojej twarzy, z całego siebie, ze swojej młodości, niejasne hrabiostwo,
ten uciążliwy balast. Jakiś dziwny chłód emanuje z gładkiej szklanej ta-
fli. Nie potrzebuje wchodzić na salę. Dokładnie słyszy i widzi. Ten szcze-
niak z bujną czupryną i niewinnymi oczami, przy fortepianie, to przecież
on... kołysze się we wszechogarniającym rytmie, wkracza w coraz wyższe
stopnie uniesienia. Widzi go dobrze. Patrzą sobie w oczy. Nie minęło pół
wieku. Chłopak jest ciągle młody i zwycięski, jak ten koncert, jak ta od-
rodzona, wspaniała Warsaw National Philharmonic Symphony Orches-
tra. A Ostrowski? ...jest bardzo zmęczony. Całe piętra lat przyduszają go
do ziemi, dławią zmorą gdzieś w sercu. Słyszy muzykę. Nie musi wcho-
dzić do sali, zresztą drzwi są zamknięte. Muzyka odpływa mu z głowy.
Musiałby je otworzyć, musiałby tyle rzeczy zatrzymać w biegu... jak tę kulę.
A przecież kula sprzed pół wieku... nieważna. Może jeszcze tylko koncert
ma jakieś znaczenie. – Koncert... – myśli stary człowiek i powoli osuwa się
na posadzkę hallu.

Grzegorz Walczak

Przekład Anny Bańkowskiej

Johann Wolfgang Goethe

Król Olch

Ach, cóż to za tętent, gdy noc wichrem łka?
 To ojciec z dziecięciem na koniu w skok gna.
 I trzyma je mocno w swych silnych ramionach,
 Ogrzewa oddechem i tuli do łona.

– Dlaczego, mój synu, odwracasz twarz w trwodze?
 – Mój ojczy, nie widzisz? Król Olch! Tam, przy drodze.
 Król Olch, ma koronę i szpony u rąk...
 – To tylko mgły pasmo podnosi się z łąk.

– O pójdz, lube dziecię, nie zwlekaj ni chwili,
 Zobaczysz, jak ładnie się będziem bawili.
 Tam matka ci moja złocistą da szatę
 A kwiaty nad wodą zapłoną szkarłatem.

– Ach, ojczy, mój ojczy, czy wcale nie słyszysz?
 Król Olch to mnie wabi i szepcze, i syczy.
 – Mój synu, mój synu, nie lękaj się tak,
 To liście szeleszczą miecione przez wiatr.

– O, zechciej pójść ze mną, młodzianku mój miły!
 Me córki już gniazdko dla ciebie uwiły.
 I śpiewać ci będą, i tańczyć ochoczo,
 Do snu ukołysz, opieką otoczą.

– Mój ojczy, mój ojczy, czy wzrok cię zawodzi?
 Król Olch tam z córkami na drogę wychodzi!
 – Mój synu, mój synu, toć wzrok mam jak sokół!
 To wierzby tam sterczą i bielą się w mroku.

– Miłuję cię, chłopczy, masz postać foremną,
 Zabiorę cię siłą, gdy nie chcesz pójść ze mną!
 – Mój ojczy, mój ojczy, ach, ratuj swe dziecię,
 On już mnie dosięga, już chwyta mnie przecie!

Zatrwożył się ojciec, popędza wciąż konia,
I dziecko słabnące utula w ramionach,
Ostatnim wysiłkiem na siodle się trzyma...
Do domu dojechał, lecz nie miał już syna.

Przełożyła Anna Bańkowska

Johann Wolfgang Goethe

(ur. 28 sierpnia 1749 we Frankfurcie nad Menem, zm. 22 marca 1832 w Weimarze) – niemiecki poeta przełomu XVIII i XIX wieku i jeden z najbardziej znaczących w skali światowej, dramaturg, prozaik, uczony, polityk i wolnomularz. Jeden z głównych obok Fryderyka Schillera przedstawicieli klasycyzmu. Był także myślicielem, uczonym oraz znawcą wielu dziedzin wiedzy i sztuki. Ukończył prawo w Lipsku i Strasburgu. W 1775 roku osiadł w Weimarze, gdzie pozostał do końca życia. Pełnił różne funkcje na dworze księcia sasko-weimarskiego. Najbliższa przyjaźń łączyła go z Fryderykiem Schillerem.

Osamotniony po śmierci żony i syna zmarł w Weimarze w 1832 roku, a ostatnie jego słowa, brzmiały: „Więcej światła”.

Jednym z najbardziej znanych jego utworów jest napisana w 1782 roku ballada „Król elfów” tłumaczona też jako „Król olch” lub „Król olszyn”. Ballada opisuje śmierć dziecka z rąk nadprzyrodzonej istoty. Motyw utworu pochodzi z duńskiej ballady przetłumaczonej na niemiecki przez Johanna Gottfrieda Herdera.

Ballada była wielokrotnie tłumaczona na język polski.

„Król olszyn” przekład Władysława Syrokomli z roku 1856,

„Król elfów” przekład Jadwigi Gamskiej-Łempickiej,

„Król elfów” przekład T. Piątkowskiego,

„Król olch” swobodny przekład Wisławy Szymborskiej,

„Król olch” przekład Antoniego Libery,

„Król olch” przekład Andrzeja Lama,

„Król elfów” przekład Włodzimierza Lewika.

(oprac. Red.)

Przekład Ryszardy Grzybowskiej

William Golding

Spadkobiercy

(fragment powieści)

Dudnienie wodospadu przycichło, było jak westchnienie, jak odgłos morza z daleka, przy złej pogodzie. Słowa ich rozpraszały się jak stado ptaków, które krążyło w pobliżu i w tajemniczy sposób się pomnażało. Urwiska skalne w głębokim wąwozie rozbrzmiewały śpiewem. Fa przyłożyła mu rękę do ust i stali tak chwilę w miejscu, gdy tymczasem ptaki odlatywały coraz dalej i dalej, a wokół panowała cisza, słysząc było tylko wodę przepływającą u ich stóp i westchnienia wodospadu.

Fa odwróciła się i zaczęła wspinać wąwozem w górę, Lok pospieszył za nią. Zatrzymała się i ze złością pchnęła go do tyłu, ale kiedy ruszyła naprzód, on ruszył także. Wobec tego Fa znowu się zatrzymała i zaczęła miotać się między urwiskami, robiąc miny i szczerząc zęby, ale nie chciał jej opuścić. Droga powrotna prowadziła do drugiego Loka, którego czekała niewypowiedziana samotność. W końcu Fa zrezygnowała i przestała go dostrzegać. Wspinała się pod górę wąwozu, a Lok za nią, szcękając z zimna zębami. Wreszcie nie mieli już pod stopami wody. Pojawiły się za to zastygłe lodowe pnie przyrośnięte mocno do skały; pod każdym głazem, tam gdzie nie docierało słońce, leżały zwały śniegu. Poczuł znów całą niedolę zimy i lęk przed lodowymi kobietami, szedł więc blisko Fa, tak jakby była ciepłym ogniem. Niebo w górze prześwitywało wąskim pasmem; było to mroźne niebo, usiane gwiazdami i poznaczone przesuwającymi się chmurami, które trzymały w zasadzce księżyc. Zauważył, że do ścian

*Powieść „Spadkobiercy”, mniej znana niż „Władca much”, to chyba najtrudniejsza i najbardziej satysfakcjonująca moje zadanie przekładowe – powiedziała mi Ryszarda Grzybowska – warto tę książkę przypomnieć. Są w niej sceny i dramatyczne, i wzruszające. Wiele postaci i wiele imion, więc praca wymagała szczególnej uwagi. Neandertalczyki u Goldinga to nie przerażające małpoludy. *The Inheritors* (1955) ukazują budzenie się świadomości i wyższych uczuć u gatunku, który przegrał z człowiekiem współczesnym. (kbj)*

wąwozu lód przylega mocno niby bluszcz, u dołu rozpościerając się szeroko, natomiast wyżej rozdziela się w tysiące gałęzi i pędów, a liście lśnią śnieżną bielą. Lód mieli także pod stopami, które z początku piekły ich dotkliwie, potem skostniały. Lok zaczął sobie pomagać rękami, ale także mu skostniały. Widział przed sobą podskakujące pośladki Fa i posuwał się tuż za nimi. Wąwóz rozszerzył się, zrobiło się jaśniej. Zobaczył teraz, że idą wprost na stromą ścianę skalną. Niżej, na lewo, ciągnęło się pasmo najgłębszej czerni. Fa podczołgała się w tę właśnie stronę i zniknęła. Lok posuwał się tuż za nią. Znalazł się w przejściu tak wąskim, że łokciami dotykał ścian, ale zdołał się przecisnąć. Oślepiło go światło. Schylił głowę i zakrył oczy obiema rękami. Mrugając, spojrzął w dół i zobaczył lśniące kamienie, bryły lodu i ciemnoniebieskie cienie. Widział nad sobą stopy Fa, zbiele, pokryte lśniącym szronem, jej cień na lodzie i kamieniach zmieniał co chwila kształt. Zaczął teraz spoglądać przed siebie; na wysokości oczu spowijały ich opary oddechów, które przypominały mgiełkę bryzgów wodospadu. Zatrzymał się i zobaczył, że Fa niemal zniknęła w oparach własnego oddechu.

Miejsce to było ogromne i przestronne, otoczone zewsząd skałą; lodowy bluszcz sięgał wysoko, rozpościerając się nad jego głową. U podnóża sanktuarium gałęzie bluszczu nabrzmiały, a im dalej, tym bardziej przypominały pnie starych dębów. Sięgające wysoko gałęzie znikwały w lodowych grotach. Lok zatrzymał się i spojrzął na Fa, która wspięła się wyżej, w stronę drugiego końca sanktuarium. Przykucnęła na kamieniach i uniosła w górę zawiniątko z mięsem.

Panowała tu głęboka cisza, nie dochodził nawet szum wodospadu.

Fa zaczęła mówić cichym szeptem. Z początku wyławiał pojedyncze słowa, takie jak „Oa” czy „Mal”, które odbijały się od ściany i znowu wracały. „Oa” mówiła ściana i ogromny bluszcz, a ściana za plecami Loka śpiewała „Oa, Oa, Oa”. W końcu przestały rozbrzmiewać oddzielne słowa, rozlegało się jedynie śpiewne „O” i „A” w jednym momencie. Dźwięk ten wznosił się jak woda w rozlewisku podczas przypływu, był gładki jak tafla wody, stał się rozdzwonioną literą „A”, napierał na niego i Spośród oparów oddechu Fa dobiegł go jej głos:

– Człowiek nie wpada do wody. Ha jest na wyspie.

Umilkła. Lok usiłował sobie wyobrazić, jak Ha Skacze ponad przełęczą na skałę. Nie mógł zobaczyć tego obrazu. Fa znowu się odezwała:

– Drugi musi być kobietą.

– Ma zapach mężczyzny.
 – Wobec tego musi być jeszcze kobieta. Czy może mężczyzna wyjść z brzucha drugiego mężczyzny?

Pewnie była tam kobieta, i jeszcze jedna, i jeszcze jedna. Nikt więcej.

Lok zamyślił się. Tam gdzie jest kobieta, jest też życie. Jaki więc pożytek z mężczyzny, który tylko węszy i ma obrazy. Utwierdzony w swoim poniżeniu, nie miał ochoty przekonywać Fa, że widział drugiego ani też, że widział starą kobietę, a ona go nie widziała. W tej chwili zresztą nie w głowie mu były ani rozmowy, ani obrazy, posuwali się bowiem po najbardziej stromej części szlaku. Schodzili mozolnie nie odzywając się ani słowem, tylko wodospad huczał głośno. Dopiero, gdy znaleźli się na tarasie i biegli truchtem w stronę jaskini, uprzytomnił sobie, że wyruszył po to, by odnaleźć Ha, a wracał bez niego.

Zaczęli pędzić, tak jakby wciąż jeszcze ściagała ich groza sanktuarium.

Mał jednak nie był tym nowym człowiekiem, jakiego spodziewali się zastać. Leżał bezsilnie, a oddychał tak płytko, że prawie nie poruszała mu się klatka piersiowa. Twarz jego miała kolor ciemnej oliwki i błyszczała od potu. Stara kobieta podsycala ogień. Liku zaś wysunęła się z jego kręgu. Jadła kawałek wątroby, wolno i z powagą, jednocześnie przyglądając się Malowi. Dwie kobiety siedziały skulone przy Malu. Nil, pochylona, ścierała mu własnymi włosami pot z czoła. Jaskinia nie była teraz odpowiednim miejscem dla opowieści Loka o drugim. Kiedy Nil ich usłyszała, podniosła głowę, a nie ujrawszy Ha, znowu się pochylila, by otrzeć pot z czoła Mała. Stara kobieta poklepała go po ramieniu.

– Będziesz zdrowy i silny, staruszk. Fa zaniósł Oa ofiarę, prosząc o twoje zdrowie.

W tym momencie Lok przypomniał sobie, jak bardzo był przerażony, kiedy stał w pobliżu lodowych kobiet. Już chciał coś powiedzieć, ale Fa również zobaczyła ten sam obraz i położyła mu rękę na ustach. Stara kobieta niczego nie zauważyła. Wyjęła kęs mięsa z parującego żołądka.

– Usiądźcie teraz i jedzcie.

Lok powiedział:

– Ha poszedł sobie. Są inni ludzie na świecie.

Nil podniosła się; Lok wiedział, że chce się oddać rozpaczy, lecz stara kobieta rzekła to samo, co Fa:

– Bądź cicho!

Z pomocą Fa uniosła Mała ostrożnie do pozycji siedzącej, podpierając go ramionami, jego głowa kołysała się na piersi Fa. Stara kobieta wsunęła mu w usta kąsek mięsa, ale natychmiast go wypłuł. Zaczął mówić:

– Nie otwierajcie mojej głowy ani kości. Tylko słabość tam znajdziecie.

Lok popatrzył z rozchylonymi ustami na kobiety. Bezwiednie roześmiał się, po czym zaczął paplać:

– Ale jest drugi. I Ha odszedł.

Stara kobieta podniosła na niego wzrok.

– Przynieś wody.

Lok zbiegł do rzeki i przyniósł dwie garście wody. Polał nią wolno twarz Mała. Nowy wysunął głowę ziewając na ramieniu Nil, po czym przegramolił się na drugą stronę i zaczął ssać. Zauważyli, że Mał znowu usiłuje coś powiedzieć:

– Połóżcie mnie na ciepłej ziemi przy ogniu.

Zapadła cisza, słychać było tylko szum wodospadu. Nawet Liku przerwała jedzenie i stała spoglądając na wszystkich. Kobiety siedziały bez ruchu, nie spuszczać oczu z Mała. Cisza przepełniała Loka smutkiem, w jego oczach pojawiły się nagle łzy. Fa i stara kobieta ułożyły Mała ostrożnie na boku. Przytknęły jego wychudzone kościste kolana do piersi, podciągnęły stopy i uniosły mu głowę podkładając pod nią obie jego ręce. Mał leżał teraz blisko ognia i wpatrywał się w płomienie. Jego brwi zaczęły się skręcać od gorąca, ale wcale tego nie czuł. Stara kobieta wzięła odłupany kawałek drzewa i obrysowała nim ciało Mała na ziemi. Potem uniosły go z takim samym uroczystym spokojem. Stara kobieta wybrała płaski kamień i podała Lokowi.

– Kop!

Księżyc przesunął się nad przełęczą na zachód, ale jego blask był prawie niedostrzegalny na ziemi z powodu jaskrawej czerwieni, jaka dobywała się z paleniska. Liku znowu zaczęła jeść. Przemknęła ukradkiem między dorosłymi i usiadła oparta o skałę w głębi jaskini. Ziemia była twarda i Lok musiał wyżyć wszystkie siły, aby ją poruszyć. Stara kobieta podała mu ostro zakończoną rozłupaną kość łani; poszło mu o wiele łatwiej. Głębiej ziemia nie była już tak twarda. Wierzchnia warstwa odchodziła płatami, niżej kruszyła się w rękach i mógł ją wydobywać kamieniem. Kopał, a księżyc przesunął się coraz dalej. Głowę wypełnił mu obraz młodszego i silniejszego Mała, który robił to samo, tylko po drugiej stronie paleniska. W nieregularnym dole, jaki kopał, pojawiła się zaokrąglona kupka gliny, będąca pozostałością dawnego paleniska. Wkrótce, kopiąc głębiej,

natknął się na następne palenisko, i jeszcze następne. Było tam też usypisko spalonej gliny. Im dalej, tym cieńsza była warstwa pozostałości paleniska, a kiedy wykopał już dość głęboki dół, ziemia stała się twarda jak kamień, jej poszczególne warstwy miały zaledwie grubość brzozy kory. Nowy przestał ssać, ziewnął i zsunął się na ziemię. Przytrzymując się nogi Mala podciągnął się w górę i patrzył bystro, bez zmruczenia oka, wprost w ogień. Po chwili obsunął się, okrążył na czworakach Mala i zajrzał do dołu. Przechylił się jednak i wpadł grzęznąc w miękkiej ziemi tuż przy rękach Loka. Wydostał się pupą do góry i pomknął do Nil sadowiąc się na jej kolanach. Lok usiadł zziąjany. Lał się z niego pot. Stara kobieta dotknęła jego ramienia.

– Kop! Jest tylko Lok!

Ledwie żywy zabrał się znowu do pracy. Wyciągnął jakąś starą kość i rzucił ją daleko. Podniósł znowu kamień i przewrócił się do przodu.

– Nie mogę!

Wtedy, a było to niespotykane zjawisko, kobiety wzięły kamień i zaczęły kopać. Liku w milczeniu obserwowała je, a także coraz głębszy i ciemniejszy dół. Mal zaczął drzeć. W miarę jak kopały, słup gliny pozostałej z dawnych palenisk stawał się coraz węższy. Sięgał daleko w zapomnianą głębię jaskini. Z każdą następną warstwą gliny ziemia stawała się łatwiejsza do kopania. Z trudem jednak utrzymywały osypujące się ściany dołu. Natknęły się na wysuszone już i bezwonne kości, które tak dawno rozstały się z życiem, że nie miały już dla nich żadnego znaczenia. Zgromadziły je więc w jednym miejscu, a były to piszczele, żebra, zmiażdżone i otwarte czaszki. Znajdowały się tam także kamienie o ostrych brzegach, do cięcia, albo spiczaste, przeznaczone do wiercenia, z których postanowiły teraz skorzystać, ale nie zatrzymywać ich na później. Z wykopanej ziemi utworzyła się nad brzegami dołu piramida, ale cała lawina brązowych ziarenek piasku spadała z powrotem, gdy wyrzucały garściami ziemię. Na piramidzie leżały rozrzucone kości. Liku bawiła się kośćmi czaszki. Lok wreszcie odzyskał siły i znowu zabrał się do kopania, dzięki czemu dół szybko się pogłębiał. Stara kobieta podsyciła ogień, a poprzez jego płomienie sączył się już szary brzask poranku.

Wreszcie dół był skończony. Kobiety jeszcze raz polały wodą twarz Mala. Była to już tylko skóra i kości. Usta miał szeroko otwarte, jakby chciał chwycić powietrze, którym już nie mógł oddychać. Przyklękli wokół niego półkolem. Stara kobieta objęła ich wzrokiem.

– Kiedy Mal był silny, zdobywał dużo mięsa.

Liku usiadła oparta o skałę w głębi jaskini, przyciskając małą Oa do piersi. Nowy spał pod włosami Nil. Palce Mała poruszały się bezwiednie, otwierał i zamykał usta. Fa i stara kobieta uniosły go lekko w górę, podtrzymując mu głowę. Stara kobieta szeptała mu czule do ucha:

– Oa jest ciepła. Śpij!

Jego ciało zaczęło drgać spazmatycznie. Głowa przekręciła się z boku na bok na piersi starej kobiety i tak już została.

Nil zaczęła rozpaczać. Jej lament wypełnił jaskinię, unosząc się wibrującym echem ponad wodą ku wyspie. Stara kobieta położyła Mała na boku i podciągnęła jego kolana do piersi. Następnie z pomocą Fa podniosła go i spuściła do dołu. Kładąc mu ręce pod twarz, zauważyła, że są bezwładne.

Wstała, jej twarz była bez wyrazu. Podeszła do skalnej półki, wzięła kawałek mięsa z zadniej części łani i, przyklękawszy, położyła go tuż przy twarzy Mała.

– Jedz to, Mał, kiedy będziesz głodny.

Spojrzeniem nakazała im, aby poszli za nią do rzeki, została tylko Liku z małą Oa. Stara kobieta nabrała wody w obie dłonie, wszyscy zrobili to samo. Wróciła i połała wodą twarz Mała.

– Pij, kiedy będziesz spragniony.

Wszyscy po kolei polali wodą jego szarą, martwą twarz. I wszyscy powtórzyli te same słowa. Lok był ostatni, a kiedy woda spływała z jego dłoni, ogarnęła go wielka tkliwość dla Mała. Wrócił do rzeki i przyniósł w darze jeszcze jedną garść wody.

– Pij, Mał, kiedy będziesz spragniony.

Stara kobieta wzięła dwie garście ziemi i posypała głowę Mała. Jako ostatnia zbliżyła się bojaźliwie Liku, ale zrobiła wszystko, co nakazywały ich oczy. Potem wróciła na swoje miejsce pod skałą. Na znak starej kobiety Lok zaczął zgarniać piramidę ziemi do dołu. Spadała z lekkim świstem i wkrótce zakryła Mała. Lok uklepał ziemię rękoma i nogami. Stara kobieta patrzyła, jak kształty Mała zmieniają się i znikają, ale twarz jej nie zdradzała żadnych uczuć. Ziemia wypełniła dół, Lok usypał nad Malem niewielki kopiec, a ziemię, która pozostała, rozgarnął, po czym mocno, z całych sił, udeptał. Stara kobieta przysiadła przy świeżo usypanej ziemi, czekając, aż wszyscy będą na nią patrzyli. Powiedziała:

– Oa wzięła Mała do swego brzucha.

Przełożyła Ryszarda Grzybowska

Przekład Piotra Müldner-Nieckowskiego

William Faulkner

* * *

co zatem powiem — między dwoma fałdami wzdętej spódnicy
widziałem nagrobne kielichy kolan
a przemknęła chmura sytych pszczoł
gdzie roją się jej miodne uda te małe księżyce
delikatne zwarte księżyce którym był rozłączył
i gładko napoczął drzemiącą niewinność
snu goszczącego w jej wąskim domku
co mógłby mnie kołysać kiedy się przebudzi —

nie — proszę pani kocham twoją córkę — powiem

gąszczem pożądań ciągnie podmuch
źródła ziejącego spod uchylonych falban
a ręka co wpierw drgnęła ku ruchomej piersi
teraz daje klapsa w pupę niech się zaróżowi

— panie a jak zdrowie a twój portfel niech się dowiem —

Z tomu *A Green Bough* (Zielona gałąź), 1933

Joe Dassin

Chanson triste

Paroles: Pierre Delanoë et Claude Lemesle

Devant sa page blanche un musicien commence
Une valse triste, c'est pas toujours gai les artistes
Il chante pour lui-même les notes qui lui viennent
Comme un vent d'automne, c'est pas toujours gai la Pologne

Sa chanson, son chagrin l'a volée au piano
Et elle tourne sur ta stéréo
Dans la nuit quand tu as le coeur gros
Sa chanson, c'est l'adieu qu'il n'a pas su lui dire
Une musique pour se souvenir, se souvenir...

Le soleil se rallume, il a usé sa plume
Sur sa valse triste, ça dort pas souvent, les artistes
Qu'importe qui tu aimes, les adieux sont les mêmes
Et le vent d'automne va bien plus loin que la Pologne

Sa chanson, il l'a faite sans savoir comment
C'est peut-être son coeur qu'on entend
Quand un autre la chante en passant
Sa chanson, c'est l'adieu qu'il n'a pas su lui dire
Une musique pour se souvenir, se souvenir...

Devant sa page blanche un musicien commence
Une valse triste, c'est pas toujours gai les artistes
Il chante pour lui-même les notes qui lui viennent
Comme un vent d'automne, c'est pas toujours gai la Pologne.

Przekład Andrzeja Tadeusza Kijowskiego

Joe Dassin

Smutna piosenka

Przed białymi kartkami, siadł artysta z nutami
I smutne walce wciska, niewesoły artysta.
Śpiewa tu sam dla siebie, nutki stworzone w niebie.
Jak jesienny wiatr swojski, niezbyt wesoło być z Polski.

Jego pieśń, smutek bije znad pianina
Uporczywie grająca maszyna
W noc bezsenną co serce zabija
Ta piosenka - to niewypowiedziane pożegnanie
I muzyka jak jego wspomnianie, wspomnianie ...

Słońce już znowu wschodzi, artysta piórkiem wodzi
I grają smutne walce, noc przecieka przez palce.
Nie ważne to kochanie, pożegnania te same,
A jesienny wiatr swojski ucieka hen od Polski.

Ta piosenka napisana mimo woli
Prosto z serca co słucha i boli
Ktoś przypadkiem ją nuci wśród swoich
Ta piosenka niewypowiedziane żegnanie
Ta muzyka, wspomnianie, wspomnianie

Przed białymi kartkami, siadł artysta z nutami
I smutne walce wciska, niewesoły artysta.
Śpiewa tu sam dla siebie, nutki stworzone w niebie.
Jak jesienny wiatr swojski, niezbyt wesoło być z Polski.

Grzegorza Łatuszyńskiego
przekłady młodej poezji czarnogórskiej

Boris Jovanović Kastel

1971

Dziś w nocy

Montenegro,
pęknięte jabłko granatu z tysiącem ziaren
na sok dla upiorów
i chorych dzieci wyciśnięte.

Montenegro,
czarna skorupko żółwia,
przez zwierzęta pustynne omijane.

Montenegro,
tyś lotem błyskawicy w skalnej powłoce,
zakłóconym bredzeniem nietrzeźwym.

Dziś w nocy nawet grzmot
pośród krzyku ludzi trudno usłyszeć.

Montenegro,
tej nocy wątpliwość budzisz
we własnych myślach,
perspektywa bez palca Bożego,
który by cię ostrzegł i wyprowadził,
a i z nim nie jest ci łatwiej.

Montenegro,
dziś w nocy...

To, czego nie zdążył powiedzieć

Wiersz, który nie jest o miłości
 To był pierwszy dzień babiego lata.
 Choć miała taki zwyczaj, nie spóźniła się tym razem
 do kawiarni Florijan otoczonej murami.
 Zdjęła pelerynę koloru lawendy rozsiewając
 lawendowy zapach, siadła zdyszana
 i upiwszy łyk herbaty, powiedziała:
 – Czas naszej miłości upłynął!
 Kiedy bez żegnaj nawet
 wychodziła z chustką w ręku,
 wstając jako człowiek dobrze wychowany
 zauważył, że z jego dziurawych kieszeni
 w spodniach kapiały krople morza.
 Tego nie zdążył jej powiedzieć.
 A gdyby nawet mógł, przemilczałby, żeby
 za wszelką cenę uchronić dumę pogromczyni,
 co nie rozumie genetyki morskich kropli.
 Tylko morze cię zna,
 o czym nawet nie wiesz,
 przed własną myślą ukryje,
 a gdy ją wypowiesz, jest już za późno.
 Czytelniej niż łacińscy astrologowie
 wypisał na kawiarnianym rachunku
 na kilkaset lirów:
I tyleż kropli wyciekło z kieszeni.

noc, 3 X 2007

Nigdy nie widział jej nagiej

Miała jasne loki.
 W dzień, kiedy spała
 (nocami przygotowywała się do egzaminów)
 nosił jej czerwoną sukienkę
 jako sztandar we wszystkich bitwach
 od Tudjemili i Lepanto

do Wilczego Dołu i Sutjeski.
 Ubrudzoną prochem,
 podziurawioną kulami, spaloną słońcem,
 przeżartą morską solą
 i poszarpaną przez wiatr
 przed nocą wieszał ją z powrotem
 na wieszaku z gąbki.
 Kiedy – trafiony kulą potomków
 Barbarossy – uznał swoją porażkę
 i opuścił sukienkę na pól drzewca –
 dziewczyna została
 modelką pewnej globalnej telewizji.
 Nigdy nie widział jej nagiej.
 Bitwy o basen Morza Śródziemnego
 prowadzone były dalej,
 a on potrzebował sztandaru
 i loków – na frędzle.

9 X 2007

Bezkresna podróż

Od wyspy do piasku na wybrzeżu,
 którym ożywie klepsydrę,
 od filozofii inkwizycji do
 pijackich barów w Wenecji,
 od gier miłosnych kurtyzan
 do matczynego dorsza świątecznego.
 Podróż...
 od Bosforu do Heraklesa Słupów,
 od piramid do fresków Najświętszej Marii Panny
 Tripo Kokolja –
 zakończyła się w moim małym pokoju,
 który maluję na niebiesko,
 żeby przypominał mi Morze Śródziemne.
 Żeby ożył.
 Całkiem zwykły, mały pokój do pracy
 staje się przybytkiem świętym.

13 VII 2007

Morze na wygnaniu

Dla morza i dla mnie tłumacz nie jest potrzebny.
 Rozumiemy się, nawet gdy głośno milczymy.
 W czasach przygasłego istnienia
 noszę koszulę ze starych sztandarów,
 z powodu moli namoczoną w morzu,
 dratwą żeglarską zszytą.
 Zmęczony od nawoływania, język
 jest wskazówką kompasu prowadzącego ku brzegom,
 na których rozbrzmiewa samotność.
 Dzisiaj krajowi heraldycy nie rozpoznają
 sztandarów, muzea przeszyte promieniami
 słonecznymi zamykają swoje podwoje.
 Język koniecznego wygnania jest daremny,
 morze i ja nie szukamy już siebie wzajemnie.
 Nawoływanie ciszą – nie ma sensu...
 Kiedy opalona striptizerka opuszcza piwnicę
 i językiem z kącika ust bezskutecznie
 zlizuje krople wina –
 nie przeczuwa, że ta pierwsza kropla, to płód morza
 powracającego z wygnania,
 że bez tłumacza znów się rozumiemy
 w języku bliźniaków.

Przełożył Grzegorz Łatuszyński

Boris Jovanović Kastel

poeta i eseista czarnogórski, ur. w 1971 w Trebinju, mieszka w Podgoricy. Zadebiutował w 1994 zbiorkiem wierszy *Kiedy się rozniesie woń skruchy* jest autorem jedenastu tomików poezji i czterech książek eseistycznych. *Śródziemnomorski pan* to tytuł zbioru krajowych i zagranicznych krytyk o jego poezji, który ukazał się w 2009 roku. Jest laureatem nagrody UNESCO. Jego wiersze, tłumaczone na włoski, angielski, polski, czeski, albański, węgierski i słoweński, prezentowane były w wielu antologiach tematycznych oraz antologiach czarnogórskiej poezji, krajowych i zagranicznych, m.in. we Włoszech, w Wielkiej Brytanii, Polsce, Czechach i Słowenii. Ukazały się również dwa zagraniczne wybory jego poezji – w Anglii i Słowenii.

Przekład Andrzeja Sobola-Jurczykowskiego

Jorge Luis Borges

Homeryckie wersje

Żaden problem nie jest dla literatury i jej skromnej tajemnicy tak znamienity jak ten, który stawia przekład. Tak zwane pisanie bezpośrednie przesłonięte jest zapomnieniem powodowanym próżnością, obawą przed wyznaniem umysłowych procesów, które są, jak się domyślamy, niebezpiecznie powszechne, próbą pozostawienia centralną i nienaruszoną nieobliczalnej rezerwy cienia. Przekład natomiast zdaje się jakby stworzony do zilustrowania dyskusji estetycznej. Model proponowany do naśladowania jest tekstem widzialnym, nie zaś nieocenionym labiryntem dawnych projektów czy uleganiem chwilowej pokusie łatwości. Bertrand Russell określa przedmiot zewnętrzny jako promieniujący kolisty system możliwych wrażeń¹; to samo można powiedzieć o jakimś tekście, ze względu na nieobliczalne reperkusje tego, co werbalne. Częściowy i cenny dokument kolei losu, jakie tekst przechodzi, pozostaje w jego przekładach. Czymże innym są liczne przekłady *Iliady*, od Chapmana² po Magniena³, jeśli nie rozmaitymi perspektywami ruchomego faktu, długim eksperymentalnym losowaniem pominięć i emfazy? (Nie ma zasadniczej konieczności zmiany języka, ta zamierzona gra uwagi nie jest niemożliwa wewnątrz tej samej literatury). Przypuszczać, że wszelka ponowna kombinacja elementów jest obowiązkowo gorsza od oryginału, to przypuszczać, że brulion 9 jest obowiązkowo gorszy od brulionu H – jako że istnieć mogą tylko bruliony. Pojęcie *tekstu ostatecznego* może się odnosić jedynie do religii czy znużenia.

Przesąd o niższej randze przekładów, ukuty w ogólnie znanym włoskim przysłowiu⁴, pochodzi z roztargnionego doświadczenia. Nie ma dobrego tekstu, który nie wydawałby się niezmienny i ostateczny, jeśli powtarzamy go dostatecznie wiele razy. Hume utożsamiał utarte pojmowanie przyczynowości z następstwem⁵. W ten sposób jakiś dobry film, widziany po raz drugi, wydaje się jeszcze lepszy; mamy skłonność do przyjmowania za nieuniknione tego, co jest jedynie powtórzeniem. W wypadku sławnych książek pierwszy raz jest już drugim, gdyż już je znamy, kiedy zabieramy się do ich czytania. Przezorne potoczne zdanie *czytać ponownie klasyków*

okazuje się niewinnie prawdziwe. Nie wiem, czy informacja: *W pewnej miejscowości Manczy, której nazwy nie mam ochoty sobie przypominać, żył niedawno temu pewien szlachcic, z tych, co to mają kopię w tulei, starodawną tarczę, chudą szkapę i gończego charta*⁶, jest dobra dla bezstronnego bóstwa; wiem tylko, że jakakolwiek jej modyfikacja byłaby świętokradztwem i że nie mogę wyobrazić sobie innego początku *Don Kichota*. Cervantes był, jak sądzę, wolny od tego błahego przesądu i być może nie rozpoznałby tego ustępu. Ja natomiast jakakolwiek rozbieżność mogę tylko odrzucić. *Don Kichote*, ze względu na moje przyrodzone posługiwanie się hiszpańszczyzną, jest jednorodnym zabytkiem, jedynie z wariacjami wprowadzonymi przez wydawcę i zecera; *Odyseja*, dzięki mojej dogodnej tu nieznamomości greki, jest międzynarodowym zbiorem dzieł prozą i wierszem, od dobranych parami Chapmana po *Authorized Version*⁷ Andrewa Langa⁸ czy klasyczny dramat francuski Bérarda⁹, czy krzepką sagę Morrisa¹⁰, czy ironiczną powieść mieszczańską Butlera¹¹. Wymieniam tu szczerze nazwiska angielskie, ponieważ literatura Anglii zawsze miała intymne podejście do tej epopei morza i seria jej wersji *Odysei* wystarczyłaby do zilustrowania biegu jej wieków. Tego różnorodnego, a nawet sprzecznego bogactwa nie należy przypisywać ani ewolucji języka angielskiego, czy po prostu długości oryginału, ani potknięciom czy rozmaitemu talentowi tłumaczy, ale pewnej charakterystycznej dla Homera okoliczności: jest nią kategoryczna trudność rozróżnienia co należy do poety, a co do języka. Tej szczęśliwej trudności zawdzięczamy możliwość powstania tylu wersji, wszystkich szczerych, autentycznych i... rozbieżnych.

Nie znam lepszego przykładu niż homeryckie przymiotniki. Boski Patroklos, życiodajna ziemia, winne morze, jednokopytne konie, mokre fale, czarny okręt, czarna krew, umiłowane kolana – to wyrażenia, które wzruszająco powracają nie w porę. W pewnym miejscu mowa jest o *bogatych mężach, pijących czarną wodę Ezezu*¹²; w innym, o tragicznym królu, który *nieszczęsny w rozkosznych Tebach rządził Kadmeami z fatalnego wyroku bogów*¹³. Alexander Pope¹⁴ (którego okazały przekład Homera omówimy później) uważał, że te niezbywalne epitety miały charakter liturgiczny. Rémy de Gourmont¹⁵ w swoim długim eseju o stylu pisze, że kiedyś musiały być one zachwycające, choć już takie nie są. Ja wolałam podejrzewać, że te wierne epitety były tym, czym dotychczas są przyimki: obowiązkowymi i skromnymi dźwiękami, które zwyczaj dodaje do pewnych słów, i co do których nie można praktykować oryginalności. Wiemy, że poprawna jest składnia *ić na piechotę*, a nie *przez piechotę*. Rapsod wiedział,

że w wyrażeniu *boski Patroklos* poprawne jest użycie właśnie takiego przymiotnika. W żadnym razie nie chodziło tu o zamiysł estetyczny. Snuję bez entuzjazmu te przypuszczenia; jedyną rzeczą pewną jest niemożność rozgraniczenia tego, co należy do pisarza, od tego, co należy do języka. Kiedy czytamy u Agustina Moreto¹⁶ (jeśli już zdecydujemy się czytać Agustina Moreto):

*Cóż więc w domu, tak strojne,
Robią przez cały dzień święty?*

to wiemy, że świętość tego dnia jest pomysłem języka (hiszpańskiego), a nie autora. U Homera natomiast nie mamy najmniejszego pojęcia o emfazach.

Dla poety lirycznego czy elegijnego nasza niepewność co do jego intencji byłaby druzgocąca; nie jest tak w przypadku kogoś, kto szczegółowo przedstawia rozległe wątki. Wydarzenia z *Iliady* i *Odysei* nadal żyją w swej pełni, ale zniknęli Achilles i Odyseusz, zniknęło to, co Homer wyobrażał sobie, gdy o nich mówił i to, co rzeczywiście o nich myślał. Obecny stan jego dzieł podobny jest do skomplikowanego równania, podającego ściśle relacje między niewiadomymi. Nic nie ma większego potencjalnego bogactwa dla tych, którzy go tłumaczą. Najsławniejsza książka Browninga składa się z dziesięciu szczegółowych informacji, dotyczących jednej zbrodni, różnych w zależności od osoby w nią wmieszanej. Cały kontrast wynika z charakterów, nie zaś z faktów, i jest niemal tak intensywny i przepastny jak kontrast dziesięciu poprawnych przekładów Homera.

Piękna dyskusja Newmana¹⁷ i Arnolda¹⁸ (1861-1862), ważniejsza niż obaj rozmówcy, analizowała obszernie oba zasadnicze sposoby tłumaczenia. Newman bronił w niej dosłowności, zachowania wszystkich osobliwości werbalnych; Arnold zaś – rygorystycznego eliminowania szczegółów, które rozpraszają czy zatrzymują, podporządkowywania zawsze nieregularnego Homera z każdego wiersza zasadniczemu, czy konwencjonalnemu, Homerowi stworzonemu ze składniowej prostoty, z naturalności myśli, płynnego tempa i wzniosłości¹⁹. Ten ostatni sposób może dostarczyć rozkoszy jednolitości i powagi; pierwszy zaś – ciągłych małych zaskoczeń.

Przechodzę do rozważenia kilku losów jednego tekstu homeryckiego. Śledzę fakty zakomunikowane przez Odysa cieniowi Achillesa, w mieście Kimmeryjczyków, podczas nieustającej nocy (*Odyseja*, XI). Chodzi o Neptolemosa, syna Achillesa. Oto dosłowna wersja Buckleya²⁰: *A kiedy*

spłądrowaliśmy wysokie miasto Priama, zdobywając doskonały łup i nagrodę, zaokrętował się bezpieczny na okręt ani ugodzony ostrym brązem, ani raniony w walce wręcz, jak to jest powszechne na wojnie, bowiem Ares szaleje bez ładu. A oto wersja również dosłownych, ale archaizujących, Butchera²¹ i Langa: *A gdy strome miasto Priama zostało złupione, wsiadł nietknięty na statek ze swą częścią zdobyczy i szlachetną nagrodą; nie został unicestwiony przez ostre lance, ani nie odniósł ran w zwartym boju: i wiele takich niebezpieczeństw jest na wojnie, gdyż Ares wścieka się w zamęcie.* Oto wersja Cowpera²² z 1791 roku: *W końcu, po tym, jak ograbiliśmy wyniosłe miasto Priama, obładowany obfitymi łupami wsiadł bezpiecznie na okręt, ani nie doznał obrażeń od lancy ni dzidy, ani od ostrza szabli w zawierusze, jak zazwyczaj bywa na wojnie, gdzie rany rozdzielane są na oślep, zgodnie z wolą porywczego Marsa.* Oto przekład, którym w roku 1725 kierował Pope: *Kiedy bogowie ukoronowali oręż podbojem, kiedy dumne mury Troi dymiły powalone, Grecja, by wynagrodzić mężne znoje swego żołnierza, wypełniła jego flotę niezliczonymi łupami. I tak, wielki w swej chwale, powrócił bezpieczny z marsowej wrzawy, bez jednej wrażeń blizny, i chociaż lance nacierały wokół w nawałnicach żelaza, ich próżna gra nie była winna ran.* Oto wersja George'a Chapmana, z roku 1614: *Gdy wyludniła się wysoka Troja, wsiadł na swój piękny okręt, z wielką obfitością zdobyczy i skarbów, bezpieczny i nie nosząc nawet śladu lancy, którą ciska się z oddali, ani nacierającego miecza, którego rany są darami, co śle wojna, których on (choć poszukiwał) nie znalazł. W zamęcie bitewnym Mars nie ma zwyczaju walczyć: szaleje.* Oto wersja Butlera, która pochodzi z roku 1900: *Po zajęciu miasta, mógł on wziąć i załadować na statek swoją część osiągniętych zysków, co stanowiło poważną sumę. Wyszedł bez jednego draśnięcia z całej tej niebezpiecznej wyprawy. Wiadomo: wszystko polega na tym, żeby mieć szczęście.*

Dwie wersje na początku – te dosłowne – mogą wzruszać z rozmaitych powodów: pełna uszanowania wzmianka o rabunku, naiwne wyjaśnienie, że zwykle można zostać zranionym na wojnie, nagle obarczenie jednego boga nieskończonymi zamętami bitwy, fakt szaleństwa boga. Wchodzą również w grę inne, podrzędne przyjemności: w pierwszym z tekstów, które przytaczam, występuje ładny pleonazm *Zaokrętował się na okręt*; w drugim – użycie spójnika łączącego zamiast przeciwstawienia¹, w zdaniu *i wiele takich niebezpieczeństw jest na wojnie*. Trzecia wersja – Cowpera – jest najbardziej nieszkodliwa ze wszystkich: jest dosłowna, w takim stopniu, na jaki pozwalają rygory miltonowskiego akcentu. Wersja Pope'a jest niezwykła. Jego luksusowy dialekt (jak dialekt Gongory) da się określić poprzez

pochopte i mechaniczne użycie superlatywów. Na przykład: samotny czarny okręt bohatera rozmnaża się u niego do eskadry. Zawsze podporządkowane temu ogólnemu wzmocnieniu, wszystkie linie jego tekstu wchodzą w dwie wielkie klasy: jedne czysto oratorskie: *Kiedy bogowie ukoronowali oręż podbojem*; drugie wizualne: *Kiedy dumne mury Troi dymiły powalone*. Przemówienia i widowiska: oto cały Pope. Żarliwy Chapman jest również widowiskowy, ale jego przekaz jest liryczny, nie oratorski. Butler natomiast uzewnętrznia swój zamiar pominięcia wszelkich wizualnych możliwości i rozpuszczenia tekstu Homera w serii spokojnych informacji.

Który z tych wielu przekładów jest wierny? – zechce być może wiedzieć mój czytelnik. Powtarzam: żaden albo wszystkie. Jeżeli ma to być wierność wobec wyobrażeń Homera, wobec niemożliwych do odzyskania ludzi i dni, jakie on przedstawił, to żaden nie może być wierny dla nas, wszystkie zaś – dla Greka z dziesiątego wieku. Jeżeli ma to być wierność wobec zamiarów Homera, to którykolwiek z wielu, jakie przytoczyłem, oprócz dosłownych, które mają to do siebie, że odsłaniają cały kontrast z obecnymi zwyczajami. Nie jest rzeczą niemożliwą, że spokojna wersja Butlera jest najwierniejsza.

1932

Przełożył Andrzej Sobol-Jurczykowski

Przypisy

I Innym zwyczajem Homera jest wielkie nadużywanie spójników przeciwstawienia. Podaję kilka przykładów:

Giń, ale ja przyjmę moje przeznaczenie, gdzie spodoba się Zeusowi, i innym bogom nieśmiertelnym. Iliada, XXII.

Astioche, córka Aktora: skromna dziewczyna, kiedy weszła do górnej części domu swojego ojca, ale bóg zespolił się z nią tajemnie. Iliada, II.

(Mirmidoni) byli jak krwiożercze wilki, w których sercach jest moc, które pokonał w górach wielkiego, gałęzistego jelenia, rozrywając, pożerając go; ale pyski wszystkich są czerwone od krwi. Iliada, XVI.

Królu Zeusie, dodoński, pelagijski, który władasz daleko stąd ponad zimową Dodonę; ale mieszkają wokół twoi dworzanie, co mają nieumyte stopy i śpią na ziemi. Iliada, XVI.

Kobieto, ciesz się naszą miłością, i kiedy rok się obróci, wydasz na świat chwalebnych synów – bo łoża nieśmiertelnych nie są nadaremno – ale ty dbaj o nich. Idź teraz do twojego domu i nie wyjawiaj tego, ale ja jestem Posejdon, ten, co wstrząsa ziemią. Odyseja, XI.

Potem spostrzegłem moc Heraklesa, obraz; ale on pośród bogów nieśmiertelnych raduje się biesiadami, i ma Hebe, tę o pięknych pęcinach, dziecię potężnego Zeusa i Hery, tej o sandałach, które są ze złota. Odyseja, XI.

[Nie mogłem podać tych cytatów za istniejącymi przekładami polskimi, gdyż żaden z polskich tłumaczy (Fr. K. Dmochowski, L. Siemiński, J. Wittlin, I. Wieniewski, J. Parandowski, K. Jeżewska) nie zachowuje tych homerowskich spójników przeciwstawienia – obj. tłum.].

*Down with these was thrust
The idol of the force of Hercules,
But his firm self did no such fate oppress.
He feasting lives amongst th'immortal States
White-ankled Hebe and himself made mates
In heav'nly nuptials. Hebe, Jove's dear race
And Juno's whom the golden sandals grace.²³*
(przyp. aut.)

- 1 Bertrand Russell określa przedmiot zewnętrzny jako promieniujący kolisty system możliwych wrażeń – chyba *Our Knowledge of the External World*.
- 2 George Chapman (ok. 1559-1634) – angielski dramaturg, poeta i tłumacz, przyjaciel Ben Jonsona, przedstawiciel późnego dramatu elżbietańskiego, bywa uważany za rywala *Sonetów* Szekspira. Pisał melodramatyczno-sensacyjne tragedie (np. *Bussy d'Ambois*) i komedie obyczajowe (m.in. *All Fools*). Przełożył wierszem *Iliadę* i *Odyseję*, *Hymny* Homera oraz utwory Petrarki, Muzajosa, Hezjoda i Juwenalisa. Przyjaciel H. Marlowe'a – dokończył jego poemat *Hero and Leander*. Uwieczniony w sonecie przez Keatsa, ceniony przez Swinburne'a za twórczość dramatyczną.
- 3 Victor Magnien – francuski filolog klasyczny, profesor uniwersytetu w Tuluzie. Drukował swoje prace w latach 1912-1944. Dokonał przekładu prozą *Iliady* na francuski (1930) oraz napisał prace: *Le futur grec, Grammaire comparée du grec et du latin, Les composés dans la langue et la poésie homérique, Le mariage chez les Grecs, Les mystères d'Eleusis, Vocabulaire grec reflétant les rites du mariage*.
- 4 Znane włoskie przysłowie – *Traduttore traditore* (tłumacz to zdrajca).
- 5 Hume utożsamiał utarte pojmowanie przyczynowości z następstwem – zob. David Hume, *Traktat o naturze ludzkiej*, przeł. Czesław Znamierowski, Polska Akademia Umiejętności, Kraków 1951, Tom I, Księga I *O umyśle*, Część III *O wiedzy i prawdopodobieństwie*, rozdział II *O prawdopodobieństwie i o idei przyczyny i skutku*, s. 77-78.
- 6 *W pewnej miejscowości Manczy...* – początek *Don Kichota* Cervantesa w przekładzie Anny Ludwika Czerny i Zygmunta Czernego, PIW, Warszawa 1966.
- 7 Wyrażenie *Authorized Version* – (tytuł ocenzonego wydania Pisma św. z 1611 r.) funkcjonuje na tej samej zasadzie, co francuskie *ad usum Delphini*. Tutaj odnosi się do przekładów Homera dokonanych przez Langa.
- 8 Andrew Lang (1844-1912) – szkocki poeta, biograf i eseista, powieściopisarz i krytyk literacki. Przełożył (wraz z S.H. Butcherem) *Odyseję* i (z E. Myersem i W. Leafem) *Iliadę*, oba dzieła archaizowaną prozą. Utwory poetyckie: *Ballads and Lyrics of Old France* (1872), *Helen of Troy* (1882), *Grass of Parnassus* (1888);

- powieści: *The Mark of Cain* (1886), *The Disentanglers* (1902). Napisał również wiele opowiadań dla dzieci.
- 9 Victor Bérard (1864-1931) – francuski uczony i publicysta, autor prac związanych z twórczością Homera i literaturą starożytną, jak *Les Phéniciens et l'Odyssée*, *Origines des cultes arcadiens*, oraz przekładu *Odysei*, opatrzonego obszernymi komentarzami. Pisał również na temat polityki zagranicznej (*France et Guillaume II*).
 - 10 Saga Morrisa – William Morris dokonał poetyckiego przekładu *Odysei* i *Eneidy*. Określenie „saga” nawiązuje do jego epickiego poematu *Sigurd the Volsung*, napisanego pod wpływem tłumaczonych przezeń sag norweskich.
 - 11 Samuel Butler (1835-1902) – angielski pisarz i satyryk, znawca i tłumacz Homera, autor przekładu prozą *Iliady* (1898) i *Odysei* (1900), a także ceniony malarz i kompozytor. W *The Humour of Homer* i w *The Authoress of the Odyssey*, głosi, że *Odyseja* została napisana przez kobietę. Inne jego teorie literackie przedstawione są w *Shakespeare's Sonnets Reconsidered* i *Essays on Life, Art and Science*. Butler jest autorem utopijnej powieści *Erewhon*, będącej satyrą na darwinizm i chrześcijaństwo oraz satyry *The Fair Haven*. Za główne jego dzieło uważa się autobiograficzną powieść *The Way of All Flesh* (1903). Inne utwory: *Life and Habit* (1878), *Evolution, Old and New* (1879), *Unconscious Memory* (1880), *Luck or Cunning* (1887), *Erewhon Revisited* (1900) i in..
 - 12 *Bogaci mężowie...* – por. przekład Fr. K. Dmochowskiego, *Iliada*, II, 839, i K. Jeżewskiej, *Iliada*, II, 824.
 - 13 *W rozkosznych Tebach rządził Kadmeami...* – por. przekład L. Siemieńskiego, *Odyseja*, XI, 283.
 - 14 Alexander Pope (1688-1744) – poeta angielski, jeden z największych satyryków w światowej literaturze, przyjaciel Jonathana Swifta. Jest autorem angielskiego przekładu *Iliady* (1715-1720) i *Odysei* (1725-1726).
 - 15 Rémy de Gourmont (1858-1915) – pisarz francuski, współzałożyciel pisma „*Mercure de France*”, jeden z najwybitniejszych krytyków i historyków symbolizmu: *Le livre des masques. Portraits symbolistes...*, *Le deuxième livre des masques*. Eseistyka Gourmonda obejmuje erudycyjne szkice krytycznoliterackie, historyczne i filozoficzne: *Promenades littéraires* oraz estetyczne: *Le latin mystique*, *L'esthétique de la langue française*, *La culture des idées*, *Le problème du style*. *Sixtine, roman de la vie cérébrale* należy do najwybitniejszych powieści symbolistycznych. Jego praca, o której tu mowa, to *Le problème du style*.
 - 16 Agustín Moreto y Cabaña (1618-1669) – hiszpański dramaturg, przyjaciel Calderona, niemal równie popularny co on dzięki sztukom *El Lindo Don Diego* (*Przystojny Don Diego*) i *El desdén con el desdén* (*Pogarda za pogardę*).
 - 17 Francis William Newman (1805-1897) – angielski pisarz i naukowiec, brat sławnego kardynała Johna Henry'ego Newmana, reformatora religijnego. Od 1840 r. profesor filologii klasycznej. Napisał wiele dzieł poświęconych historii starożytnej i lingwistyce. Tłumaczył Horacego, *Iliadę* Homera (1856) i innych autorów klasycznych.
 - 18 Matthew Arnold (1822-1888) – wybitny angielski krytyk, poeta i eseista, profesor poetyki w Oksfordzie. Autor prac teoretycznych o literaturze *On*

- Translating Homer*, 1862, *On the Study of Celtic Literature* (1867), *Essays in Criticism* (1865-1888), *Culture and Anarchy* (1869); zbiorów esejów *Discourses in America* (1865), *Civilization in the United States* (1888) oraz studiów teologicznych *Literature and Dogma* (1873).
- 19 Piękna dyskusja Newmana i Arnolda – ta dyskusja między Newmanem a Arnoldem, a ściślej ich wymiana korespondencji, zawarta jest w zbiorze esejów Arnolda *Essays in Criticism*.
- 20 Theodore William Alois Buckley (1825-1856) – angielski filolog klasyczny. Autor *Canons and decrees of the Council of Trent*, *Dawnings of genius: early lives*, *The great cities of the ancient world, in the glory and their desolation*, *The graet cities of the middle ages*, *The seven wonders of the world and their associations*. Przetłóżył na angielski *Iliadę* i *Odyseję* oraz dramaty Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa, *Traktat o retoryce* Arystotelesa, *Eklogi*, *Georgiki* i *Eneidę* Wergiliusza oraz dzieła Horacego.
- 21 Samuel Henry Butcher (1850-1910) – irlandzki filolog klasyczny, profesor w Cambridge, Edynburgu i Harvardzie (USA). Autor prac: *Demosthenes*, *Some Aspects of the Greek Genius*, *Aristotle's Theory of Poetry and Fine Art*, *Greek Idealism in the Common Things of Life* i in. Wspólnie z Andrew Langiem dokonał przekładu *Odysei* prozą.
- 22 William Cowper (1731-1800) – angielski poeta i tłumacz z francuskiego, włoskiego, łaciny i greki. Autor poematów satyrycznych *Tirocinium*, *John Gilpin* i *The Task*. W 1791 r. opublikował przekład *Odysei*.
- 23 *Down with these was thrust* (ang.):

I wraz z nimi został przebity
 Idol siły Heraklesa,
 Lecz jego dzielnej natury nie pognębił taki los.
 Żyje uczując wśród Nieśmiertelnych Sfer,
 Połączył się z Hebe o białych pęcinach
 W niebiańskich godach. Z Hebe, drogą córą Jowisza,
 I z Junoną, którą zdobią złote sandały.

Przekłady Elżbiety Woźniak

William Boyd

Punkt widzenia

The Argument

(fragment)

Jesteś nikim, dopóki ktoś cię nie pokocha.
Jesteś nikim, jeśli nikomu na tobie nie zależy.
Możesz być królem, mieć świat i całe jego złoto,
ale złoto nie przyniesie ci szczęścia, kiedy się starzejesz.

Świat jest wciąż taki sam, nigdy go nie zmienisz.
To tak pewne jak gwiazdy błyszczące nad nami.
Jesteś nikim, dopóki cię ktoś nie pokocha,
więc znajdź kogoś, kogo będziesz mógł kochać.

Morgan, Stock & Cavanaugh 1944

W sztuce mamy sześć postaci i cztery sceny – pokoje należące do czterech różnych mieszkań/domów. Mogą być one pokazane realistycznie albo minimalistycznie, w ostateczności wystarczy stół z dwoma krzesłami. Sporo się tu pije, więc w każdym pokoju powinien być alkohol i napoje bezalkoholowe: wino, piwo, wódki, woda mineralna, cola. Wszędzie są też papierosy i popielniczki. Aktorzy mogą z tego korzystać lub nie – w zależności od nastroju – chodząc, siedząc, pijąc, paląc i kłócąc się.

TRZECIA KŁÓTNIA

Pip wchodzi na scenę i otwiera piwo. Jakiś mężczyzna wchodzi na scenę i rozgląda się, jakby oglądał wnętrze. Nie podoba mu się. Jest w wieku Pipa i jest jego najlepszym przyjacielem. Wydaje się trochę zakręcony. Pip podaje mu piwo. Mężczyzna ma na imię Tony.

TONY: Jest nie do powstrzymania. Aż trudno w to uwierzyć.

PIP: Idzie jak maszyna.

TONY: Czysta siła miażdżenia.

PIP: Czysta nuda.

TONY: Niepokonany w dwudziestu siedmiu meczach. Masz pojęcie, co to znaczy w dzisiejszym świecie? W świecie męskich rozgrywek?

PIP: „W świecie męskich rozgrywek”. Podobą mi się. Ale to znaczy, że to już nie jest tenis. Wszystko zależy od siły, jak w podnoszeniu ciężarów czy w przeciąganiu liny.

TONY: Bardzo cię przepraszam, ale nie możesz tak mówić. Wygrał tylko pięć szlemów.

PIP: Posyłanie zabójczych podkręconych piłek z końca boiska w każdym forhendzie i bekhendzie to nie jest tenis. To jakaś trawestacja tenisa. Gdzie jest finezja? Dotyk? Sprytnie rozegranie piłki... Delikatne uderzenie...

TONY: On wygrywa. I tylko to ma dla niego znaczenie.

PIP: Wygrywanie to nie wszystko. (*wytwornie*) „Anthony, mój chłopcze, czy nie ma w twojej grze miejsca na styl?”

TONY: (*Amerykański akcent*) „Przegrywanie jest dla przegranych”. (*pauza*) Skoro już o tym mowa. Jak ci idzie, „leszczu”?

PIP: Dlaczego „leszczu”?

TONY: Kiedyś mieszkałeś w fajnej chacie, kolego. Zazdrościłem ci jej. Sam chciałem mieć taką. Popatrz na to miejsce. Wyprowadziłeś się, a ona została w tym zarąbistym mieszkanku. W moim języku to oznacza, że „przegrałeś”. Jesteś przegrany.

PIP: Niczego nie przegrałem. Podjąłem decyzję. Postanowiłem się wyprowadzić, bo nie mogłem już tam mieszkać. Nie chodzi o to, że ona „wygrała” mieszkanie... a ja przegrałem. Zachowuję się jak dorosły.

TONY: Jak dorosły, który kończy w takiej norze.

PIP: Ta nora kosztuje mnie dwa tysiące miesięcznie.

TONY: Przepraszam. W drogiej norze. Zdegradowałeś się w życiu. Byłeś szczęśliwie żonatym mężczyzną mieszkającym w pięknym apartamencie w dobrej dzielnicy, a teraz jesteś smutnym facetem w separacji, który pieprzy jakąś tandetną księgową i mieszka sam w zbyt drogiej norze na przedmieściach. W Crouch End.

PIP: To taka fanaberia.

TONY: Co? Fanaberia?

PIP: Nieważne.

TONY: O czym ty mówisz?

PIP: Przepraszam. To jest coś, czego Meredith nienawidziła: użycie ciekawych lub dziwnych nazw wsi albo miast – albo dzielnic – dla taniego dowcipu. Nazywała to angielską chorobą. Fanaberia.

TONY: Ne próbowałem być śmieszny, mój przyjacielu... Mówiłem prawdę. Mieszkanie, które wynająłeś, jest okropne. To rzeczywiście jest dowcip – ale nie taki, z którego można się śmiać.

PIP: Meredith by się śmiała.

TONY: Oczywiście, że tak. Jakby się jej udało śmiać. Przepraszam, przepraszam...

PIP: O czym ty mówisz? Meredith ciągle się śmiała. Cały czas się śmialiśmy.

TONY: Wydaje mi się, że widziałem, jak się śmieje... hm... dwa razy. Dwa razy w ciągu trzech lat. Jesteście małżeństwem od trzech lat?

PIP: Może nie uważała, że jesteś zabawny.

TONY: Jestem pewien, że tak było. Kobiety takie jak Meredith nie rozumieją mojego poczucia humoru. Bo jest zbyt czarny... Zbyt... no wiesz... wysublimowany...

PIP: Meredith rozumie każde poczucie humoru. Zapewniam cię...

TONY: Ale mojego nie. Śmiała się dwa razy w ciągu trzech lat.

PIP: Może... Może wydaje ci się, że jesteś zabawniejszy, niż naprawdę jesteś. Publiczność nie kłamie.

TONY: Mój drogi, publiczność kłamie przez cały czas, jak obaj dobrze wiemy.

PIP: Tak. Cóż... pieprzyć to.

Pip zamyśla się. Tony chodzi po pokoju.

PIP: Dlaczego zawsze czułeś niechęć do Meredith?

TONY: Nigdy nie czułem żadnej niechęci. O czym ty mówisz? Zналиśmy się, zanim ciebie poznała, nie pamiętasz?

PIP: Och, tak. Poznałeś ją w „Oksfordzie”.

TONY: Poznałem ją na imprezie w Oksfordzie, a to pewna różnica. Ja byłem w Cambridge, ty głupku.

PIP: To była jedna z tych imprez... na łódkach? Pimms, truskawki, bardzo dużo hazardu.

Tony wzdycha. Pozwala Pipowi wyrzucić to z siebie.

TONY: Właściwie to była impreza z narkotykami. Wszyscy odlecieliśmy. Pamiętam tylko pierwsze dwie godziny. To wtedy poznałem Meredith – która była z Jane. No wiesz... Jane zaprosiła mnie... Okazało się, że Meredith jest jej najlepszą przyjaciółką... (zamyśla się) Mój Boże,

wtedy ćpaliśmy wszystkie toksyczne świństwa... Nic nie pamiętam z tego weekendu. Poza tym, że poznałem Meredith i prawdopodobnie mogłem się z nią pieprzyć. Pieprzyłem się z wieloma ludźmi w ten weekend. Tak myślę. A może tylko tak sobie wyobraziłem.

PIP: Gdybyś pieprzył się z Meredith, to byś zapamiętał.

TONY: Nikt nie jest aż tak dobry, kolego.

PIP: A może tylko waliłeś konia gdzieś w kącie, pod wpływem LSD.

TONY: Uważaj, co mówisz, palancie.

Pauza. Piją piwo. Napięcie.

PIP: Dlaczego czujesz niechęć do Meredith?

TONY: Już mnie o to pytałeś... i odpowiedziałem ci. Nigdy nie czułem niechęci do Meredith. Kropka.

PIP: Czułem... taką delikatną niechęć z twojej strony, od kiedy ja i Meredith się pobraliśmy. Coś jak „brzęczenie komara” niechęci, za każdym razem, gdy spotykaliśmy się w trójkę. Wiesz, takie ledwo słyszalne iiiiiiiii... ci-chutki dźwięk nieprzychylności wydobywający się z jakiegoś miejsca, jakiegoś otworu w twoim ciele. Iiiiiii... Jakby dzwonienie w uszach... zwane niezyczliwością.

Pip uderza w czuły punkt. Tony'emu to się nie podoba.

TONY: Wiesz... Jesteś moim przyjacielem, jesteśmy starymi przyjaciółmi... A staremu przyjacielowi nie podoba się, gdy jego stary przyjaciel daje się prowadzić na smyczy jakiejś panience.

PIP: Prowadzić na smyczy? Co to ma być? Jakiś film klasy B z lat 60.? (z amerykańskim akcentem) „Kiedyś to był cool gość. A teraz skacze jak piesek wokół swojej dziwki”. Jezu Chryste, Tony!

TONY: Dobrze wiesz, o czym mówię.

PIP: Nie, absolutnie nie...

TONY: Dominowała nad tobą i dlatego pieprzyłeś tę całą Minty.

PIP: Mandy.

TONY: Mandy.

PIP: To jest całkowita, absolutna, kosmiczna bzdura, tak pozbawiona sensu, że chce mi się śmiać...

TONY: Twoja „przygoda” z Mandy – twój trzymiesięczny romans – to było wołanie o pomoc. Nie, nie... To nie było wołanie o pomoc. To była

metafora – gest, wyraz twojego niezależnego ducha uwalniającego się z łańcuchów małżeństwa.

PIP: O czym ty gadasz, człowieku?

TONY: (*na całego*) Przyznaj się. Chcesz kontynuować swój związek z uroczą Mandy, księgową z firmy Melhuish, Laing i Longmuir? Nie, kurwa, nie! Ale, ALE – ponieważ nie udało ci się przytrzymać „małego Pipa” w spodniach, doprowadziłeś do ruiny swoje małżeństwo, co tak naprawdę chciałeś zrobić. Sprokurowałeś to, żeby się uwolnić. Właśnie o to ci chodziło. Ale nie mogłeś po prostu powiedzieć: „Odchodzę, kochanie, dobrze się bawiłem. Sayonara”. Nie. Musiałeś zrobić z tego duże gówno.

PIP: Pieprzę cię!

TONY: Prawda boli. Trzeba być miłym, żeby być okrutnym i tak dalej. Stary przyjacielu...

Patrzą na siebie. Uspokajają się.

TONY: Spójrz prawdzie w oczy, Pip. Dlatego krzyczymy i wrzeszczymy na siebie. Żeby oczyścić powietrze. Prawda zaczyna wypływać. Widzimy jaśniej. Wiesz, co zrobiłeś. Przyznaj się do tego sam przed sobą. Możesz mówić mi – albo komukolwiek – co tylko chcesz, ale nie okłamuj samego siebie, kolego. Zmieniła cię. Stałeś się jakby duchem Pipa. Wyglądał jak ty, ale to nie byłeś ty. Wiesz, o czym mówię? Udało ci się wydostać w samą porę, zanim zmieniłeś się w zombie.

Pip przez chwilę wygląda tak, jakby chciał uderzyć Tony'ego. Ale nie robi tego. Chodzą wokół siebie pełni wrogości i ostrożni. Nagle obejmują się – tak po męsku.

WYCIEMNIENIE.

ŚWIATŁA.

Nick Payne

Elegia

Elegy

(fragment)

OSOBY

Carrie – 60 lat

Lorna – 60 lat

Dr Miriam Gomez – 40 albo 60 lat

Scena 6

MIRIAM: Wiesz, przejdźmy dalej.

CARRIE: Tak, myślę, że... jeśli mam być szczerą...

MIRIAM: (*przechodzi do sedna*) Lorna poprosiła... Mam prośbę od Lorny...
Lorna poprosiła, żebyś już więcej... Żebyś już jej nie odwiedzała. Koniec
z wizytami. Na zawsze.

CARRIE: (*pauza*) Dlaczego?

MIRIAM: Lorna... ona czuje, przygotowując się do opuszczenia szpitala,
ona czuje, że chce, by jej poprzednie... teraz chce skoncentrować się
na swoim życiu, by pójść do przodu.

CARRIE: Ciebie o to poprosiła?

MIRIAM: Tak.

CARRIE: Bezpośrednio?

MIRIAM: Tak.

CARRIE: A co z... a co z resztą, z pozostałymi... Powiedziała to?

MIRIAM: Przepraszam: co?

CARRIE: Że nie będzie się ze mną widywać.

MIRIAM: Prośba wyszła bezpośrednio od Lorny, zgadza się. Tuż przed jej
wypisaniem...

CARRIE: Czy się zdenerwowała? Co? Moimi wizytami?

MIRIAM: Wiesz, myślę, że nałożyły się tu różne czynniki.

CARRIE: Pieprzyć czynniki. Najwyraźniej powinno być: tak albo nie.
Prosta odpowiedź.

MIRIAM: Ja mogę przekazać tylko to, o co zostałam poproszona.

CARRIE: Albo możesz wziąć na siebie pewną odpowiedzialność. Wziąć pewną odpowiedzialność i być ze mną szczerą.

MIRIAM: Kiedy Lorna zostanie wypisana, nastąpi okres dochodzenia do zdrowia. Okres przejściowy. Czas po chorobie. Który będzie oznaczał połączenie kilku różnych, intensywnych, szczególnych...

CARRIE: Mogę w tym pomóc.

MIRIAM: Ok.

CARRIE: Mogę jej pomóc w... mogę pomóc bez żadnych zobowiązań.

MIRIAM: Czy chcesz, żebym przekazała to Lornie?

CARRIE: Tak, tak, proszę.

MIRIAM: W takim razie ok. Wiesz, tak zrobię.

CARRIE: Ale jak myślisz? Jak myślisz, o co tutaj chodzi?

MIRIAM: Wiesz, mówiąc szczerze... będąc z tobą szczerą, widzimy takich spraw dużo. Widziałam pacjentów, którzy porzucali swoje rodziny, zostawiali swoją pracę... Robili duże, duże zmiany w swoim życiu. To jest ich druga szansa. Ludzie reagują, ludzie... dochodzą do siebie na różne sposoby. Nie wspominając, że na każdym *etapie*... Szczególnie Lorna może czuć się różnie w tym wyjątkowym okresie. I to wcale nie znaczy, że będzie się tak czuła później.

CARRIE: Mówisz, że zostanę zatrzymana?

MIRIAM: Zatrzymana?

CARRIE: Jeśli będę próbowała ją odwiedzać.

MIRIAM: Szpital szanuje życzenia pacjentów.

CARRIE: Wyrzucisz mnie?

MIRIAM: Osobiście nie będę odpowiedzialna...

CARRIE: Wiem, wiem, nie mówię, nie mówię, że ty, mówię...

MIRIAM: Jeżeli Lorna... jeżeli poczuje w jakikolwiek sposób, powiedzmy, jeżeli w jakikolwiek sposób poczuje się skrzepowana albo...

CARRIE: Mam stałe pełnomocnictwo.

MIRIAM: Przekazuję prośbę Lorny. Tylko tyle mogę zrobić.

CARRIE: Czy możesz jej powiedzieć, że chciałabym się z nią znowu spotkać?

MIRIAM: Ok.

CARRIE: Powiedz jej... powiedz jej, że chciałabym z nią trochę posiedzieć.

MIRIAM: Ok.

CARRIE: Usiąść i porozmawiać.

MIRIAM: Przekażę jej.

CARRIE: Czy będzie się widywać z rodziną? Siostrzenicami, bratankami.

MIRIAM: (*pauza*) Carrie, czy mogę ci coś powiedzieć? I mówię to nieoficjalnie. Decyzja, którą podjęłaś, uratowała życie Lorny. Bez tej procedury ta choroba zakończyłaby się śmiercią. Bez wątpienia obrabowałaby ją z życia, zabrałaby jej tożsamość, zabrałaby jej wszystko, kim jest i kim była. Powoli, boleśnie i bez wyrzutów sumienia. Podtrzymywałaś Lornę na każdym etapie, z szacunkiem i godnością... A teraz to poświęcenie, ta chęć niesienia pomocy, powstrzymania tej choroby, ta chęć zapewnienia... Teraz musimy się na tym skupić. Taka jest moja sugestia. Musimy pozwolić Lornie na autonomię, dać jej prawo do tego, by zdecydowała, kim chce teraz być. Na dobre lub na złe, na lepsze lub na gorsze.

CARRIE: Przysięgam, że spalę to cholerne miejsce na popiół.

Pauza.

CARRIE: Oczywiście, nie zamierzam tego robić.

MIRIAM: Carrie, myślę, że dotknęłyśmy choć trochę tej sprawy, choć w jednym punkcie, ale... Zastanawiam się, czy myślałaś o... Bo jest wiele, bardzo wiele różnych... dla osób w twojej sytuacji... Myślę o wsparciu.

CARRIE: Mówisz o terapii?

MIRIAM: Ostatnio pracowałam z księdzem, księdzem parafialnym... I ten szczególny pacjent poprosił nas, żebyśmy usunęli... Bo on... Ten pacjent...

CARRIE: Ksiądz.

MIRIAM: Spowodował wypadek. Karambol. I nie był w stanie... męczył się, ale nie mógł zrozumieć, że on, jak to powiedział... Nie mógł ze sobą żyć. Więc razem z zespołem cofnęliśmy się, tak jak on chciał, i usunęliśmy wszystko, co wiązało się z manifestacją, z zachowaniem... długoterminowej, krótkoterminowej...

CARRIE: Nie rozumiem.

MIRIAM: Jego wiary.

CARRIE: Moja głowa zaraz... Usunęliście jego...

MIRIAM: Jego wiarę, tak.

CARRIE: Nie mogę uwierzyć, że coś takiego jest w ogóle możliwe...

MIRIAM: Chodzi o to, że... Jeden lub dwóch członków jego parafii zostało kompletnie wytraconych z równowagi...

CARRIE: (*przerywa przy „dwóch”*) Mówię poważnie, bo to jest problem. Prawda? To jest... rozróżnienie. Lub coś takiego. Między tym, co myślisz, że zrobiłeś, a tym, co *naprawdę* zrobiłeś. Nie można odebrać czyjejs...

Bo to nie jest tak jak... Zabranie pewnych rzeczy nie oznacza, że zabrało się tę rzecz samą w sobie. Ponieważ wszystkie te... te części, wszystkie te komponenty stanowią coś o wiele większego. Chcę powiedzieć, o Boże, coś o wiele większego...

MIRIAM: Możemy pomóc. Pomoc jest dostępna. To wszystko, Carrie, co chciałam ci przekazać.

CARRIE: Zrobiłaś... Nie chcę twojej... Wzdrygam się na samą myśl o tym, że możemy rozmawiać w ten sposób. Jakby to, co się z nami dzieje, nie miało żadnego znaczenia. Jakbyśmy niczego się nie uczyli, jakby to nie było ważne. Mogę już więcej nigdy nie zobaczyć się z Lorną. Możemy już nigdy... Ale miłość do niej z *całą pewnością*... Nie jestem przygotowana na to, żebyś ty mnie otwierała, podłączała do czegoś, cokolwiek to jest... Ja chcę tego.

MIRIAM: Ja nie sugerowałam...

CARRIE: To jest prawdziwe i tego chcę.

MIRIAM: Ale zobacz, jak my leczymy ból. Jako...

CARRIE: Przepraszam, co?

MIRIAM: Przez cały czas leczymy objawy bólu fizycznego, nawet bez... Pacjent przychodzi do szpitala z, powiedzmy, bardzo silnym... Czy powinniśmy nie podejmować leczenia bólu fizycznego, bo to może pozbawić go całego emocjonalnego doświadczenia?

CARRIE: Ty nie jesteś...

MIRIAM: Możliwości uczenia się na błędach?

CARRIE: Ty nie porównujesz...

MIRIAM: To, co my tutaj robimy, jest w różny sposób podobne...

CARRIE: Ale...

MIRIAM: Zapominanie jest jednym z najbardziej korzystnych procesów, które mamy...

CARRIE: Wystarczy, dosyć...

MIRIAM: Ok.

CARRIE: Przestań, proszę, przestań.

MIRIAM: Ok., w porządku, nie będę...

CARRIE: Popeliłam okropny, pieprzony, straszny, pieprzony, nie musimy...

Carrie jest zdenerwowana. Pauza.

CARRIE: Czy możesz jej powiedzieć, że chciałabym się z nią znowu zobaczyć? Proszę. Jeśli ona nie zechce, uszanuję jej decyzję. Jeżeli nie zechce zobaczyć się ze mną, to oczywiście to uszanuję.

MIRIAM: Pomimo tego, co myślisz o mnie, o pracy, którą wykonuję, jest mi bardzo przykro.

CARRIE: Kiedy zostanie wypisana?

Przełożyła Elżbieta Woźniak

PROZA cd. ze str. 2

Jan Krzysztof Piasecki

Ostatni tydzień na rowery 168

Małgorzata Karolina Piekarska

Straszne przygody Tulsia Palanta .173

Joanna Sendlak

Marzyciel z 76th Street 177

Grzegorz Walczak

Koncert 186

PRZEKŁADY

Anna Bańkowska

Johann Wolfgang Goethe.....191

Ryszarda Grzybowska

William Golding 193

Piotr Müldner-Nieckowski

William Faulkner..... 199

Andrzej Tadeusz Kijowski

Joe Dassin 201

Grzegorz Łatuszyński

Boris Jovanović Kastel..... 202

Andrzej Sobol-Jurczykowski

Jorge Luis Borges 202

Elżbieta Woźniak

William Boyd.....214

Nick Payne219



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa



Pastuszek. Mal. Katarzyna Boruń-Jagodzińska